

FUGA BACHA.



ESTEJA.

318890

FUGA BACHA.

POWIEŚĆ.



884-3=84

WARSZAWA

WARSZAWA.

NAKŁAD I DRUK S. LEWENTALA.

Nowy-Swiat Nr. 41.



474775

Дозволено цензурою.

Варшава, 19 Ноября 1891 г.





I.

Margrabina de Groeck, wsparta na ramieniu panna de Fondres, schodziła po miękkich kobiercach, między festonami kwiatów, ze schodów ambasady angielskiej w Paryżu.

Młodziutka, jasna bardzo blondynka, drobna, maleńka, jak lalka, o wielkich, zdziwionych oczach piwnych, o zadartym nosku i dołeczkach nad ustami, margrabina Elżbieta, inaczej Liza de Groeck, wyglądała na niedoroślą panienkę. Toaleta jej, pokryta całą różnobarwnym kwieciami caprifolium, harmonizowała ślicznie z jej twarzyczką, tak bardzo do świeżo rozwiniętego bzu podobną.

Tuż za nią starsza jej siostra, typ zupełnie różny, choć wiele piękniejszy, dążyła, podając rękę księciu de Moussy. To hrabianka Klementyna, w skróceniu Klima Sieniawska. Zimny i dumny wyraz twarzy miała w tej chwili. Cery matowej nie ożywiały żaden rumieniec, ani podnosił kolorytu srebrny od-

cień gazy, której lekkie fale podtrzymywały jaskółki.

Nieco żałobna toaleta, bardzo piękna, równie jak właścicielka; ale widocznem było, że nie kokieterya i chęć podniesienia urody kierowała jej wyborem. Nos cienki, rasowy, klasyczny, usta wydatne, pełne, choć w tej chwili zacięty był w nich wyraz; nad oczyma dwa ciemne łuki brwi, wzorowo narysowane — oczy blado, bardzo blado niebieskie, długie, w nich źrenice także ściągnięte w tej chwili — z całej twarzy widać było chłód i niezadowolenie. Wpięte w czarne włosy dwie jaskółki stanowiły jedyną ozdobę. Dziwnie poważne wrażenie robiła młoda ta osoba, dążąc za siostrą.

Pan de Fondres, towarzysz tej ostatniej, ku Klimie, w górę oczami i profilem był zwrócony. Coś do niej mówił, ale ona zajęta była zapinaniem bransolety i monosylabami odpowiadała. Pan de Fondres przydeptał nieostroźnie suknię margrabiny, ta mu paluszką pogroziła, mówiąc:

— Pan zanadto w górę spoglądasz; tym razem na dół, byłoby bezpieczniej.

On rączkę pocałował na znak przeproszenia i zapytał półgłosem:

— Czy wszyscy, którzy patrzą na siostrę pani, patrzą *zanadto* wysoko?

Zanim urocza Lila zdążyła odpowiedzieć, Klima obok niej się znalazła u dołu schodów, w pięknym,

na średniowieczny sposób urządzonym przedsionku, gdzie lokaje futra przygotowane trzymali, a tak pan de Fondres, jak ksiązę de Moussy, otulali starannie dwie piękne panie.

— Czemu tak wcześnie? — pytał ksiązę — to się nie godzi. Panna Klima pozbawia mnie kotyliona, chociaż tak pokornie o niego prosiłem.

— Tyle pań zostało, jeszcze ksiązę będziesz miał dla kogo figury i „tours de force” układać. Galeria dość liczna — odrzekła chłodno Klima.

— *Attrappel* — zawołał pan de Fondres.

— *Je ne fais que cela* — odparł ksiązę.

Tymczasem konie margrabiny zajechały; panowie we frakach z gołemi głowami, mimo mroźnego wiatru, odprowadzali te panie do drzwiczek karety.

Lila wskoczyła lekko, jak piórko, a otulając się szeszelniej w swoje angora, niebieskim pluszem pokryte, ubolewała nad zimnem. Klima, zanim weszła do powozu, spojrzała w stronę kozła, a w niezrozumiałym dla dwóch panów polskim języku, zapytała zdziwiona:

— Jakto? Więc to wy Wojciechu? Czemu nie Ludwik powozi?

Jaśne światło elektryczne padało na twarz starego stangreta, o czysto słowiańskim typie.

— Ludwik się urznął, proszę panny hrabianki, ja musiałem zaprzęgać.

— To bardzo źle. Po wczorajszej febrze zmar-
ziliście pewnie.

Nie czekając odpowiedzi, zwróciła się do pana
Fondres:

— Czy pan zechce przynieść mi tutaj butelkę
wina i kieliszek?

Zapytanie było widocznie rozkazem, bo żaden
wojskowy pruski nie wykonuje tak ruchów na dany
znak przez swego dowódcę, jak obydwaj panowie
wykonali zwrot na lewo, zniknęli i w mgnieniu oka
stawili się z powrotem, jeden z butelką starego bur-
gunda w rękę, drugi z kieliszkiem.

Klima nalewała jeden kieliszek po drugim, a po-
dając trzy porcey wina staremu słudze, zapraszała
go mówiąc:

— Pijcie, Wojciechu, pijcie, nie chcę was mieć
na sumieniu.

Stary spełnił rozkaz; Klima kieliszek i butelkę
oddała lokajowi z ambasady, wskoczyła do powozu,
nie podając ręki żadnemu z dwóch asystentów, któ-
rzy dzwonili zębami na zimnie, kiwnęła tylko zlekka
głową i rzuciła im krótkie: „Merci” — w dowód
wielkiej łaski.

Konie ruszyły. Panowie, sini z zimna, cofnęli
się prędko, znikając we drzwiach ambasady, a Lila
serdecznym śmiechem wybuchnęła, wołając:

— Klimo, Klimo! jesteś jedyna w swoim rodza-
ju. Twoja ekscentryczność na medal zasługuje.

— I cóż ja takiego zrobiłam? — zapytała starsza siostra. — Dlaczego Wojciech miał za naszą światowość pokutować?

— Ale dlaczegóż ci panowie mieli pokutować na mrozie dla twojój fantazyi? Ten biedny de Fondres był arcykomiczny, nos siny, usta fioletowe i jeszcze się na uśmiech silił. Mogłaś mu przynajmniej rękę podać na pożegnanie.

— Ja byle komu ręki nie podaję. Nie mówmy o tém, bo mi humor zepsujesz, a ja w tej chwili w pysznym jestem humorze.

— Tak, naturalnie! Mnie na przekór. Szkaradna jesteś, Klimo. Tak się dobrze bawiłam, nigdy mi nie pozwolisz zostać do końca zabawy.

— Bo się *zanadto* dobrze bawisz...

— Po to właśnie bywam w świecie, żeby się zerwać. Inaczéj dawno byłabym się otruła albo utopiła. Wyjdź za mąż, to zobaczysz, czy można wytrzymać podobny system.

— Ja też dlatego za mąż się nie wybieram, żebym podobnego systemu nie zniosła. A! Lileczko moja, pomyśleć, że oni wszyscy tacy...

— Zdaje się, że wszyscy. Ci, których w świecie widzimy, zdają się bardzo poczciwi i mili, ale widocznie małżeństwo tak na nich źle działa. Mój mąż — pierwszy papa, drugi papa i trzeci papa — to okropne!

— Twój mąż mógł przynajmniej dla oczu ludz-

kich towarzyszyć nam dzisiaj. Już dziesiąty wieczór same się pokazujemy; ja o to nie dbam, ale ty tak za tém gonisz. A mama jeszcze mniej świat znosi odemnie.

— Biedna mama! Ale bo też kto jej kazał wychodzić drugi raz za mąż?

— Kto? serce naturalnie! Serce, to sławny doradca. Kto idzie za jego głosem, dąży do własnej zguby. Ja mamy nie potępiam. Była nieszczęśliwą z pierwszym mężem, próbowała szczęścia z drugim i... i poprawiła je sobie, no, winszuję. Całe złe leżało w tém, że mama z nami kraj opuściła; u nas by się taki książe de Poligny nie znalazł.

— Nie mów tego. U nas znalazłby się jeszcze gorszy może. Książe, to jest, *beau-papa* jest przynajmniej dobrze wychowany, ma wszelkie pozory wielkiego pana, a nawet kiedy robi mamie „*des niches*”, to robi je z galanterią. Odebrał mamie berło, ale wszystkie królewskie honory oddaje. Ja to wolę.

— Wolisz, niż postępowanie twego męża Karola?

— Nie dotykam osobistości, ale widzisz, kochanko, ja bywałam nieraz imaginacją w Wersalu, w Trianon; wolę tamte czasy. Kobietom lepiej wtedy być musiało. *Beau-papa* mógł się podobać i Maryi Antoinecie nawet. A teraz ta moda *sans-jaçon* jest straszna. Jeszcze gorsza w domu, niż w świecie. Do równouprawnienia przypuścić nas nie chcą i mają słuszność; tymczasem są źle wychowani,

bezwzględni, brutalni, traktują żony, jak panie z Folies-bergère, albo gorzej, i to wszystko znosić trzeba.

— Nie, nie trzeba. Zawsze byli i będą ludzie z ciałem Don Juanów, z duszami Arlekinów, ale niechże przynajmniej pozory dobrego wychowania zostaną. Ja także wolę męża mamy, niż...

— Niż mego?

— Ja tego nie mówię, ale wolę naprzykład, niż ojca twego męża.

— Już umarł, daj mu pokój.

— Ja kobiet nie żałuję. Mają to tylko, co mieć chciały. Psujecie, dorlotujecie tych panów, jak piesków faworytów. Cóż dziwnego, że się zachowują, jak pieski faworyty, tylko sto razy podłej, bo gryzą rękę, która je pieści. Mama mogła gorzej trafić, bo u nas w kraju, aby od dawniej tradycyi nie odstępować, naśladują wszystko, co paryskie i prawie nie zdarzyło mi się spotkać człowieka dobrze wychowanego w naszym kole.

— A ksiądz Witold? A pan Leon Braclawski?

— Ksiądz Witold, to ksiądz — to co innego; jaka ty dziecinna jesteś, Lilo. A pan Leon? Tak, oddaję mu sprawiedliwość, ale bardzo mi się zdaje, że i to grób pobielany.

— A brat mamy, wuj Przemysk?

— To jedyny wyjątek, który potwierdza regułę. Dlatego też się nie ożenił, aby nie było powiedziane, że jest mężatka szczęśliwą.

— A tutaj Vero de Montroye?

— On? a on!... Czy ja wiem, jaki on jest.

W tej chwili, na Avenue de l'Opéra, blask światła elektrycznego oświecił wnętrze karety, a nikt nie byłby poznał oczu Klimy, tych jasnych i zimnych oczu w chwili, gdy ambasadę opuszczała. Ciemnym szafirem połyskiwały teraz aksamitne, rozmarzone, o wielkiej ciemnej źrenicy. Były zachwycające.

Lila spoglądała na siostrę z pod oka; uśmiechnęła się złośliwie i rzekła półgłosem:

— *Rira bien qui rira le dernier!*

— Co mówisz? — zapytała Klima.

— Nic, nic! Nigdy nie pytaj o to, co mówię pochichu, to jeszcze mniej warte, niż moje głośne odezwy.

— A tak, to prawda. Lilo, jaka ty jesteś roztrzepana, takie nonsensa prawisz tym panom, że ja truchleję, przysłuchując się temu zdaleka.

— Co ci to szkodzi? Kiedy ich to bawi i mnie to bawi, a Karol nie jest bynajmniej zazdrosny.

— Ale twoje dzieci!

— Moje dzieci! Jedno w kołysce, a drugie ma dwa lata i już mnie tyranizuje, tak samo, jak ojciec.

— Bo je już psujesz.

— Cóż ja temu winnam? Kogo kocham, tego psuję, taka już moja natura. Nie gderaj, Klimo, poczekaj, zobaczymy, jaką ty będziesz matką?

— Z balu na bal, piękna miłość!

— Klimo, moja jedyna, tylko mnie nie dręcz. Każda miłość piękna w swoim rodzaju. Na balu zapominam, że mam męża, którego kocham, a który mnie nie kocha. Ty nie wiesz, jakie to przykre uczucie. Vero powiada, że większego nieszczęścia być nie może.

— Pan Vero? Czyś ty mu się zwierzała z twoich osobistych przykrości?

— Ależ, moja droga, wszyscy o nich wiedzą, Vero de Montroye, to taki dobry chłopiec! Czytał mi dzisiaj poezję, w której swoje sentymta dla ciebie objawiał, porównywując ciebie do ptaka rajskiego, i do archaniola strzegącego bram raju, jedném słowem, wszystko odnosi się do raju. Ma to być dedykacją do nowego tomu poezyj, jaki chce tobie ofiarować, ale nie śmie cię prosić o upoważnienie. Okropnie się ciebie boi. Ja go uspokoiliam; powiedziałam mu, że go może do raju wpuścisz, że jest w łaskach u ciebie. Poczzerwieniał z radości.

— Lilo, zastanów się, co ty złego tym swoim językiem narobisz!

— Złego? To wołaj o pomstę do nieba! Vero powiedział, że mój język, to balsam na rany, które mu zadajesz. Klimo, jaka ty jesteś niesprawiedliwa!

— Język balsamem? Przyznaj, że to trochę niedorzeczne.

— On nie powiedział „język”, on powiedział:

„słowa”, ale ja już tego powtórzyć nie potrafię. Nie mam pamięci. On to bardzo ładnie powiedział.

Ostatnie wyrazy wymówiła Lila, gdy karetka zatrzymała się pod głęboki perystyl. Równocześnie prawie zatrzymała się, a gdy obie panie weszły do jasno oświetlonego, pełnego palm i drzew pomarańczowych przedpokoju, zastały tam mężczyznę pięknego, wysokiego i bardzo eleganckiego. Wieku jego oznaczyć nie było można, krążył między czterdziestką a pięćdziesiątką.

Złośliwi dodawali: „krążył rozpaczliwie”, bo nie chciał się zdecydować pięćdziesiątki przekroczyć i od kilkunastu lat coś o czterdziestce pomrukiwał, gdy o wieku była mowa.

To właściciel pięknego pałacu na Avenue d'Auteuil, książę de Poligny, drugi mąż panny Mielsztyńskiej, 1-o voto hrabiny Sieniawskiej — „beau papa”. Klimy i Lili margrabiny de Groeck.

Hrabina Sieniawska przyjechała do Paryża w kilka lat po śmierci męża, dla dokończenia edukacji córek.

Milionowa pani, rozporządzająca dowolnie swym majątkiem, który głównie po ojcu, a nie po mężu, odziedziczyła, piękna jeszcze, imponująca i bardzo sympatyczna kobieta, została wkrótce, po osiedleniu się w Paryżu, przedmiotem hołdów księcia de Poligny. Mówiono, że książę, oprócz bardzo odłużonego

pałacu na Avenue d'Auteuil i bardzo pięknie, a starannie utrzymanych wąsów, nie posiadał nic więcej.

To była omyłka; według hrabiny Sieniawskiej, posiadał on wielki skarb: serce — i ona skarb ten, ofiarowany sobie, przyjęła.

Od chwili, gdy ręce ich zostały w kościele św. Magdaleny złączone, według praw boskich i ludzkich, księżna de Poligny zamieszkała w pałacu męża, bardzo pięknym pałacu, na którego frontonie błyszczała dumnie tarcza herbowa. Na gronostajach pole niebieskie, na niém lampart wsparty jedną łapą na strzaskanęj kolumnie, a wkoło dewiza: „*Bravons la mort*”.

Księżę trzymał się ściśle godła rodowego; brawował śmierci o tyle, że się nie bał ni pojedynku, ni konia rozhukanego, ni przeciągów, ni zmęczenia, jedném słowem, niczego, czego się zwykli obawiać ludzie, zmierzający szybkim tempem do sześćdziesiątki. Bał się jednéj rzeczy tylko — „Almanach de Gotha”.

Nienawidził zdrajcy, który szpieguje wiek ludzi. Po za tém brawował wszystkie niebezpieczeństwa.

W téj chwili, gdy panie weszły, nie cofnął się, choć za niemi ostry powiew mroźnego wiatru wsunął się na chwilę.

— Dobry wieczór, kotki — witał je, całując w czoło. — Cudownie wyglądacie, co znaczy, żeście się cudownie bawiły.

Lila z prawdziwém ożywieniem zaczęła mu opowiadać dzieje balu w ambasadzie.

— Ach! papo, jakiego walca grali! pyszny! To była *haute-nouveauté*, walc dedykowany lady Macgrove ambasadorowej — wie papa, tój rudej, strasznej lady Macgrove. O wszystkiém przyjdzie zwątpić, gdy takiej kobiecie takie walce dedykować będą.

— Nie mów tego, kochanko, nie mów tego — mitygował ją zgorzony książę. — Lady Macgrove ma dużo uroku. Ty się na tém nie znasz, ale ja tobie mówię — ona może natchnąć kompozytora. Jaki tytuł?

Widocznie książę bardzo był zainteresowany przedmiotem rozmowy.

— O! papa się zna, ja wiem o tém. Ale to nie przeszkadza, że lady Macgrove podobna zupełnie do tego sławnego „Percivala” wyścigowca, co to nogę złamał na ostatniém Derby. No, tak, zupełnie. A walca skomponował pan Maligny, właściciel biednego „Percivala” i dał mu tytuł „Voguons”. To arcykomiczne. Bo papa może zauważył, że lady Macgrove wiosłuje swojemi chudemi łokciami, gdy chodzi...

— Ona ma chude łokcie, hm... to prawda, ale ma coś... no, *c'est une femme*.

— Wie papa—mówiono, że właśnie dlatego tak się ambasadorowa podoba panu de Maligny, że mu jego konia przypomina. *C'est méchant, eh?*

— Słuchaj, koteczko, to ta nuta pewnie — tu

książę poczuł nucić walca, który furorę miał robić w owym sezonie.

Lila klaszcząc w ręce, wołała:

— Tak, to ten, to ten!

A książę ujął wpół jej drobną figurkę i nucąc ciągle, począł nią obracać po obszernym przedpokoju.

— Gdzie papa słyszał? — pytała zadyszana Lila.

— A dzisiaj, dzisiaj.

— Ale gdzie? bo mówili mi, że grano pierwszy raz w ambasadzie.

— Gdzie? no, już dobrze nie pamiętam. W „Comedie française”, nie, nie pamiętam.

Lila spojrzała na niego z ukosa. „Papa zabrnął” — szepnęła, a głośno dodała:

— Dawno papa wrócił? Nie widział papa Karola?

— Karola? Nie, koteczko, poczekaj, ja ci go znajdę, ja po niego pójde.

— Ależ nie, dziękuję. Niech papa idzie spać, już pierwsza.

— Pójde, pójde po niego. Dogodzić mojej córeczce, to rozkosz prawdziwa. Ucałuj paluszki mamy odemnie, już jej budzić nie będę. Powiedz jej, że znalazłem dziś pyszny egzemplarz — egzemplarz *vous savez ma chère*, to dla niej.

I nie czekając odpowiedzi, otulony futrem, w cylindrze na głowie, wybiegł jak młodzieniaszek.

— Egzemplarz czego? — pytała Lila.

— *Vous savez ma chère* — wołał już z po za drzwi.— W salonie znajdziesz... matka sobie życzyła! I zniknął.

Klima nie była świadkiem ani walca, ani „egzemplarza”; skoro tylko przywitała księcia, pobiegła na górę, wprost do pokoju matki.

II.

— Królowo moja—mówił ksiązę do żony w kilka dni później — mam lożę do hipodromu, dzisiaj pożegnane przedstawienie, cały Paryż będzie. Mam nadzieję, że mi zechcesz towarzyszyć z koteczkami.

„Koteczkami” nazywał ksiązę swoje pasierbice, a „królową” żonę.

— Wołałabym spędzić wieczór w domu — odparła księżna — zmęczona jestem, a Klima hipodromu nie lubi.

— Ksiązę czoło zmarszczył.

— Przykro mi, że zawsze jesteś zmęczona, gdy ja chciałbym wieczór spędzić w twojem towarzystwie.

— Ty wiesz, Wiktorze, jak bardzo światło i hałas mnie nużą, i to wiesz także, jak bardzo rada jestem widzieć ciebie i całe wieczory spędzać z tobą, ale w domu; może mógłbyś czasem to małe poświęcenie dla mnie zrobić?

— Cóż znowu? Poświęcenie? Najszczęśliwszy jestem, kiedy mi taki rozkaz dać raczysz. Radbym

ci i dzisiaj dogodził, ale dałem słowo — obiecałem. Cały tydzień mam zajęty. Ty wiesz, jaka to niewola, jestem skrupowany. Wolałbym wszystkie chwile życia złożyć tobie w hołdzie, ale świat, obowiązki człowieka w mojem położeniu... *vous savez, ma chère.*

Ten ostatni argument był zamknięciem wszelkiej dyskusyi.

Księżna dobrze wiedziała, że nie warto sprzeczać się, ani upierać, ani błagać, ani perswadować; wszystko byłoby daremne. Książę zamykał wszystkie kwestye w tak stanowczy, a jednak uprzejmy sposób, że smieszném byłoby się obrażać.

Prawie równocześnie, gdy na parterze księżna de Poligny rozmawiała ze swoim mężem, na pierwszym piętrze margrabia de Groeck, wyciągnięty na szeszlongu, palił cygaro i spoglądał bezmyślnie przed siebie.

Taki bowiem układ stanął między księciem de Poligny a margrabią, że dolne apartamenta należć będą do księcia i jego żony, a górne do państwa de Groeck. Dla margrabiego układ ten był bardzo wygodnym; był on właścicielem dóbr rodowych z pięknym pałacem na prowincyi, ale w Paryżu nie posiadał stosownej rezydencji.

Margrabia de Groeck wysoki, dość otyły, barczysty mężczyzna, nosił na czole skreślony wyraz „materiaлизм”. Jego oczy, pięknie zarysowane, ale

bezmyślne, wydatne bardzo wargi, lśniaczej białości zdrowe i równe zęby, wąs czarny, krótko przystrzyżona broda, tuż przy skórze obcięte włosy — wszystko razem tworzyło typ silnego, pięknego mężczyzny, pełnego zdrowia i zalet fizycznych, ale zupełnie pozbawionego duchowości. Margrabia nigdy książki do ręki nie wziął, nie rozumiał muzyki, malarstwa, pogardzał poetami i artystami, o ile nie nosili znanego nazwiska.

Lubił za to dobre cygaro, dobre wino, pić, jeść polować, być uznawanym za pierwszorzędnego fехmistrza, jeźdźca, wioślarza — to było szczytem jego ambicyi.

Margrabia w tej chwili leżał w pozie pełnej zaniedbania. Obok niego, na tygrysięj skórze, ze łbem opartym na skrzyżowanych łapach, spoczywał pyszny dog-duńczyk, stalowęj maści, olbrzymich muskułów — piękne zwierzę, prawie równie piękne jak pan jego — prawie równie bezmyślne także, chociaż złośliwi dowodzili, że ów dog, „Tolbiak” zwany, więcej ma inteligencyi od swego właściciela.

Margrabia przeciągnął się leniwie, strząsnął popiół z cygara, zwrócił się w stronę „Tolbiaka”.

— Idź po panią — zawołał — powiedz pani, że pan prosi.

Pies zdziwionemi oczyma patrzył w oczy swego właściciela, chcąc zrozumieć rozkaz jego, ale widocznie było to nad jego siły, bo spuścił głowę na łapy i drzemkę na nowo rozpoczął.

— *Sapristi!* jaki bałwan z ciebie! — mruknął margrabia, głaszcząc pobłażliwie głowę faworyta.

Namyślił się i przycisnął dzwonek elektryczny, który miał pod ręką.

Wszedł lokaj.

— Czy pani margrabina w domu?

— Tak jest, proszę pana margrabiego.

— Poproś tu.

Chwilę później Lila de Groeck, w ślicznej rannej toalecie fularowej, zasianej różnobarwnymi motylami, weszła do „fumoaru” męża, który na jej widok nie zmienił pozycji, cygara z ust nie wyjął, wyciągnął tylko rękę do niej.

— Dzień dobry, Lilo! Jakże się spało?

— Byłoby może stosowniej samemu przyjść mnie o to zapytać, zamiast przysyłać po mnie lokaja?

Nie umiała się gniewać. Wpajano w nią od dzieciństwa zasadę, że najlepszym dowodem dobrego wychowania jest nigdy o nic się nie obrażać.

— Jeżeli mnie od rana moralizować zaczniesz, to uciekam natychmiast; wypędzisz mnie z domu.

Lila, przestraszona tą pogrózką, siadła na foteliku za szeszlą, otoczyła ramieniem głowę męża i srebrnym, pieśczośliwym głosem chciała przebłagać niezadowolenie pana swego; ona go tak kochała!

— Nie, nie będę moralizować, tylko ty nie uciekaj, proszę cię. Wczoraj cały dzień cię nie widziałam.

On, jak znudzony basza, przyjmował jój pieśczo-
czoty.

— *Ma foi!* Czego ty chcesz odemnie: abym z tobą
od rana do wieczora gruchał?

Ona rękę cofnęła, w oczach jój łzy się zakreściły
i odparła smutno:

— Nie, Karolu, ty wiesz, ty wiesz...

— Słowo honoru daję, że nic nie wiem...

— Ty wiesz, że chciałabym, abys choć godzinę
dziennie spędził z nami, jeżeli nie dla mnie, to dla
dzieci?

— Cóż dzieciom po mnie, moja droga? Proszę
cię, tylko bez liryzmu. Co dzieciom po mnie? Jak
Lulu dorośnie i długów narobi, to mu będę potrzebny,
aby je płacić, ale teraz, *ma foi*, ja z niemi w ślepią
babkę grać nie umiem, a nie znoszę, jak wrzeszczą.
No, daj łapkę, czemuś się tam schowała w najgłębszy
ką. *Bouderais-tu par hasard?* No, pokaż się, jak
mi dziś wyglądasz?

Lila prześlagnana, wychyliła głowę, pokrytą locz-
kami jasnemi i spojrzała na męża oczyma, które się
wiecznie śmiały, nawet z po za łez.

On ją w czoło pocałował mówiąc:

— Wcale ładne stworzenie z ciebie.

Lila, której co wieczór cały batalion wielbicieli
dowodził, że jest skończoném arcydziełem, że jest
najpoprawniejszą edycją, jaka z rąk Stwórcy wy-
szła i t. d., Lila rozpromieniła się w téj chwili na te

kilka słów męża i dziękowała mu czułym uśmiechem.

— Lubisz komplementa, jak kot śmietankę.

— Od ciebie, tylko od ciebie; może dlatego, że mnie niemi nie psujesz.

— To mój system, kobiety, psy i konie trzeba krótko trzymać. *A propos* koni, *beau-papa* ma na dzisiaj lożę w hipodromie. Proszę, aby mi się pani ładnie ubrała, będę miał honor towarzyszyć.

Zafrasowała się teraz Lila.

— Czy to konieczne? Ja obiecałam mamie i Klimie, że ten jeden wieczór z niemi w domu spędzę, solennie im obiecałam.

— To cofniesz obietnicę i koniec.

— Ale bo widzisz... od dwóch tygodni codziennie jesteśmy po za domem. Mamę i Klimę to tak męczy, a potem obiecałam dzieciom. Klima bardzoby mi miała za złe.

— Cóż u licha! Daj mi pokój z Klimą! Co mnie do niej, albo jej do ciebie. Ja chcę, żebyś poszła i pójdziesz, to jasne, nieprawdaż?

Lila widocznie bardzo była dotknięta tonem męża, bo odparła chłodno:

— Więcej jasne, niż grzeczne w każdym razie. Widocznie więcej pracowano nad wyrobieniem u ciebie stanowczości, niż grzeczności.

— *Sapristi!* Proszę cię, idź wyrabiać różne

cnoty u dzieci swoich, mnie daj zaś święty pokój, bo stracę zupełnie cierpliwość.

Lila, podniecona słowami męża, odparła z zimną krwią, podnosząc do góry dziecinną prawie główkę, w której oczach w tej chwili i energia i duma jaśniała:

— Ciekawa jestem, w jaki sposób okażesz brak cierpliwości, jeżeli dotąd byłeś cierpliwym?

Margrabia zerwał się z szezlongu i stanął naprzeciwko żony, podnosząc rękę do góry.

— Nie drażnij mnie, nie doprowadzaj do ostateczności, bo...

— Ale ręka mu opadła, a obok siostry stanęła w tej chwili wyniosła postać Klimy. Zmierzyła pogardliwym spojrzeniem szwagra, a siostrę w pół objęła, mówiąc:

— Chodź, Lilo, ten człowiek wychował się między stangretami; on do wszystkiego zdolny.

Margrabia mruknął między zębami:

— Meduza!

Obiedwie kobiety wyszły z pokoju; Lila, łkając opierała głowę o ramię siostry.

Cudny był salonik, do którego schroniły się w tej chwili. Na ścianach fałdy niebieskiej materyi, ściągnięte u sufitu, tworzyły małą kopułę; na tle indyjskiej tkaniny błękitnej, rysowały się długie konary o rozłożystych gałęziach, pokrytych kwieciami brzoskwinowym. Emaljowana lampa, w formie

kwiatu lotosu, zwieszała się z góry. Kozetki i otomanki, poduszki i fotele, obite były indyjską tkaniną, żardynierki i wazony pełne kwiatów, rzadkich paproci, liści palm rozłożystych.

Biurko, zdobne mozaiką florencką; na niem fotografia w ramach pełnych fantazyi i gustu paryskiego. W wysmukłym wazoniku, formy etruskiej, kilkanaście gałązek tubereusy przepępniało powietrze zapachem odurzającym.

Dosyć było rzucić okiem na harmonię tego uroczego gniazdka, aby zamarzyć o doskonałym szczęściu. Dosyć było spojrzeć na jego właścicielkę, gdy strojna wieczorem, z uśmiechem w oczach i na ustach, wirowała w tańcu, lekka jak skowronek, aby nie wątpić, że margrabina Lila de Groeck to najładniejsze objawienie szczęścia na ziemi, a jednak...

Jednak w tym rozkosznym gnieździe dwie kobiety płakały w tej chwili, płakały gorzkiemi, palącemi łzami. Lila nad sobą samą, a Klima nad siostrą.

— Biedaczko ty moja, gdybym ja ciebie wyrwać mogła ze szpon tego człowieka. On ciebie kiedy zabije. A, Lilo, Lilo moja jedyna, jak to wszystko na świecie jest po szalonemu urządzone! Czemu małżeństwo zrobili nierozzerwalnym węzłem? Biedna siostrzyczko moja!

Lila płakała coraz rzewniej, ale nie odpowiadała wcale. Może dlatego, że jej łzy nie pozwalały, a może dlatego, że w duchu nie podzielała zdania

siostry, że czuła dobrze, jak bardzo droгим jest dla niej ten, którym siostra gardziła, że czuła, gdyby jej wolność oddano, onaby jej nie przyjęła. Wołała kajdany, choćby codziennemi łzami oblane, byle ją z mężem łączyły. A potem... łzy Lili tak prędko osychały.

Gdy pierwsze wrażenie żalu minęło, gdy myśl zdołała zatrzymać się nad tem, co zaszło, przyszła widocznie do oryginalnej konkluzji, której się Klima wcale nie spodziewała.

— To wszystko wasza wina — twoja i mamy; gdyby nie wy, Karol nie byłby się na mnie rozgniewał.

Klima widocznie nie umiała przyzwyczać się do niekonsekwencji Lili, bo wyraz jej oczu, tak pełen serdeczności i współczucia do tej pory, zmienił się nagle i zlodowaciał. Spojrzała na siostrę z wyrzutem.

— Tak, wy jesteście winne — powtórzyła nieubłagana Lila — gdyby nie wasze ciągle tyrady i moralizowanie, byłabym odrazu przyjęła propozycję Karola. Czemu nie chciałam pójść do hipodromu? Ja bardzo hipodrom lubię, wyście mnie zbuntowały. Mam teraz nagrodę.

Tutaj rozczuliła się nad sobą i znowu rzewnie płakać zaczęła.

— Moje biedne dziecko — mówiła Klima, pocieszając ją, prześlągana na nowo jej łzami — nie

płacz już, mnie, doprawdy, lzy twoje bołą. Uspokój się, Lileczko, pójdiesz do hipodromu, pogodzisz się z Karolem, ja z tobą pójdę, wszystko będzie dobrze, tylko nie płacz.

— Tak, teraz zapóźno, teraz Karol patrzeć na mnie nie zechce. O Klimo, Klimo, jak mogłaś tak się do niego odezwać.

Wymówka ta zbuntowała widocznie starszą siostrę.

— Lilo! miej choć trochę zastanowienia, choć trochę ambicyi. Jeżeli tak dalej pójdzie, ten człowiek będzie po tobie deptać.

— Niech depcze.

— Gdzie ty masz godność swoją. On się z tobą gorzej obchodzi, niż dziki ze swoją niewolnicą. Ja nie mogę na to patrzeć. Ty nie wiesz, do jakiej przepaści prowadzi cię taki brak ambicyi z twojej strony.

— Oddając mu serce, oddałam wszystko: ambicyę, godność, niezależność — wszystko!

— Niezależność — tak; godności osobistęj — nigdy.

— Ja nierozumiem takich subtelności. To dla mnie frazesa. Poczekaj, jak się zakochasz, to zobaczymy.

Klimą nie zdążyła odpowiedzieć siostrze na ostatni argument, kiedy do pokoju wpadł prześliczny chłopczyk, w sukience typowej szkockiej i rzucił się

na szyję cioci Klimy, bez ceremonii depcąc nóżkami jej jasną ranną toaletę.

Obie panie zapomniały o swojej sprzeczce, zapomniały o nieporozumieniu, jakie zaszło między mężem a żoną; w jedną stronę, w stronę złotej główki Lulu oczy zwróciły. Słońce, przedzierające się z poza indyjskiej przejrzystej tkaniny, którą całe okna były przysłonięte, spoczęło w tej chwili na cudnym obrazku. Dwie piękne głowy kobiece, przytulone do siebie, między niemi urocza główka dziecka, o długich jasnych lokach i uśmiech serdeczny na wszystkich twarzach. Trudno było wymarzyć coś rozkoszniejszego.

Teraz dopiero, gdy weszło dziecko i słońce, salonik nappełnił się duchem, jakiego w nim brakowało w chwili, gdy twarze dwóch pięknych kobiet łzami były zalane.

Strojny w kwiaty, w fantazyjne desenie dalekiego wschodu, salonik ten tworzył tło śliczne i harmonijne, ale tylko dla promieni słonecznych, dla uśmiechu dziecka i młodej kobiety, nigdy dla łez i smutku.

Pomiędzy gałęziami kwitnących kamelij bujały na swobodzie zielone papużki, „inséparable” zwane. Świegot ich mieszał się ze szczebiotem Lulu. Ruchy ptaków przypominały dziecko w swych poruszeniach pełnych gracy i swobody. Chłopczyk zwrócił się w stronę klatki, opróżnionej na chwilę. Ciocia Klimma podniosła go w górę, by mógł do jej wnętrza zajrzeć.

— Ciociu, już cukru nie mają — zawołał malec z żalem w swoim dziecinnym, ledwie zrozumiałym żargonie.

Żargonu tego żaden najmędrszy człowiek nie odgadnie, nie dociecze umysłem, ale za to serce kochające rozumie każdą wygruchaną przez maleńkie usteczka sylabę. To język dla serca, nie dla rozumu stworzony, a pieści on serce kochające tajemniczym i zagadkowym dla obcych dźwiękiem.

Klima wzięła dziecko za rączkę, by z niem razem pójść po cukier. Lila tymczasem zatrzymaną została na progu zapytaniem:

— Czy wolno wejść?

— Proszę papy, w każdéj chwili rada mu jestem.

To książę de Poligny przyszedł odwiedzić „koteczkę” i zapytać o plany pań na dzień cały. Rękę Lili ucałował na „dzień dobry” i zaczął od propozycji hipodromu, téj saméj propozycji, która taką burzę wywołała między małżeństwem.

— Ja bardzo chętnie się zgadzam; ale, papo, taką miałam dziś przykrość! Karol się na mnie rozgniewał i teraz nie wiem, czy się da przebłagać? — mówiła Lila z pokorą i zafrasowaną minką, z którą ślicznie jej było.

— Co téż ty mówisz, moja koteczko? Onby się nie dał przebłagać? To sensu nie ma. On ciebie powinien na kolanach przeproszać za każdą chmurkę,

którą na czoło twoje sprowadzi. Poczekaj, już ja to załagodzę, tylko proszę mi się nie martwić.

Lila nie miała wiele szacunku dla swego *beau-papa*. Ale on też o szacunek nie dbał. Lubiała go jednak dla tych miłych słówek, któremi ją karmił, dla tych przeslicznych niespodzianek, któremi ją darzył, to w formie żardyniery, pełnej rzadkich roślin, to w kształcie bombonierki, malowanej przez znanego mistrza. Lubiała go jednak głównie za to, że łagodził burze między nią a mężem, że on jeden miał wpływ na Karola. Niektórzy dowodzili, że wpływ zły bardzo, ale ona to tylko wiedziała, że gdyby nie *beau-papa*, Karol byłby dla niej o wiele jeszcze nieznośniejszym tyranem.

Misya ułagodzenia rozgniewanego „baszy” powiodła się księciu widocznie, bo tego samego wieczora, w jednej z pierwszych łóz hipodromu, jaśniały urodą i dystynkcyą piękne „gwiazdy północy”, jak nazywano w Paryżu obie siostry.

W czasie przedstawienia księżę de Poligny i margrabia de Groeck lornetowali ciekawie sławną woltyszerkę, miss Wirginię i jej konia.

Księżna de Poligny była nieobecna; mówiono, że nie lubi się pokazywać oczom męża, gdy miss Wirginia popisuje się swą zręcznością i urokiem młodości.

W czasie antraktu *beau-papa* i „basza” (tak Lila nazywała męża) opuszczali często lożę, ustępując miejsca wielu admira torom pięknych pań.

Więc co chwil kilka zmieniali się goście. Pan de Fondres zabawiał towarzystwo opowiadaniem rezultatów najświeższego pojedynku.

Książę de Moussy mówił niewiele, gładził tymczasem białą, rasową, piękną ręką wąsik, o którego egzystencyi on jeden tylko był przekonany. Nierozłączny towarzysz pana de Fondres, na każdy szczegół, podany przez przyjaciela, kładł nacisk, powtarzając jego ostatnie zdanie lub wyraz. Dowcipy jego podnosił, śmiejąc się pierwszy i oklaskując wszystkie *bons-mots* młodego de Fondres. Nazywano go w towarzystwie „klakierem” przyjaciół.

Lila słuchała z zaciekawieniem opowieści. Klima roztargniona zdawała się o czém inném myśleć.

— Więc ten niezręczny Versy ma dwa palce odcięte? — pytała Lila.

— A jakże! Imię jego dzisiaj: „Mąż o trzech palcach”. Wsławił się, a on tak sławy pożądał! — mówił de Fondres.

— O, pożądał! — kończył książę de Moussy.

— I powiedzianém było, że prawą ręką sławę sobie wywalczy, niezupełnie taką, o jakiej marzył, ale zawsze sławę.

— Proszę o mniej tajemniczości, — rzekła Lila — mnie potrzeba kropek nad i — dziesięć kropek nie zawadzi. Ja inaczej nic nie rozumiem.

— Ależ to jasne, Versy chciał się dostać do Aka-

demii, walczył piórem, miał zwyczaj pisać prawą ręką.

— A tak, prawą ręką — podkreślał książkę de Moussy.

— No, i teraz, trrrrach! palce poszły, sława nabyta i pisać już nie potrzebuje.

Klima zaczęła się także przysłuchiwać opowiadaniu.

— Biedny Versy! — zawołała — to okropne! Kto mu odciął palce? Jakież to barbarzyństwo!

— Kto? ostatni wyraz cywilizacyi, który z barbarzyństwem nic nie ma wspólnego — pan de Montroye, poeta, marzyciel; pani dobry znajomy.

Klima schyliła w tej chwili głowę. Koronki, które zdobiły jej suknię, zaczepiły się o cyfrę na wachlarzu, więc bardzo pilnie rozplątywała jedno z drugiem.

— *La voilà, la voilà,* — zawołał książkę de Moussy — o wilku mowa. Idzie tu Trubadur, równie dzielny szablą, jak piórem.

Pan de Montroye wszedł w tej chwili do łoży margrabiny de Groeck i oddał jej ukłon głęboki; ukłon jeszcze głębszy złożył przed Klimą.

Pan de Fondres pożegnał te panie, ustępując miejsca nowoprzybyłemu. Młody człowiek zwrócił się w stronę Lili.

— Spotkałem w tej chwili męża pani w ekstazie

przed klatką „Tambour-major”, tego kasztana, na którym co dopiero miss Wirginia jeździła.

— A papa przed kim w ekstazie w tej chwili?

Zmieszał się Montroye i, zamiast odpowiedzi zapytał:

— To panią ekstaza papy więcej zaciekawia, niż męża?

— Naturalnie, choćby dlatego, że papę interesuje inny rodzaj sztuk pięknych, niż Karola; teraz, na przykład, papa podziwiał Wirginię, a Karol „Tambour-majora”.

— Nic dziwnego, margrabia byłby pozbawionym estetycznego zmysłu, gdyby mógł podziwiać inną kobietę obok swojej żony, to rzecz jasna.

— Nie tak jasna, jak się panu wydaje. Karol mnie bynajmniej nie podziwia. To tyran, despota, fantastyk, doprowadza mnie codziennie do rozpaczki.

— Niktby się tego nie domyślił, patrząc na panią.

— Tegoby tylko brakowało! Zresztą, o cóż chodzi? Karol ma największą zaletę, jaką w moich oczach mieć może, dla tej jednej zalety wszystko mu wybaczam.

— Czy wolno wiedzieć jaką?

— Moją miłość; no, tak, tak! Niech się pan tak ironicznie nie uśmiecha; trzeba się z tém pogodzić; to moje kalectwo, to moja pięta Achilesea, to moja śmiešność. Kocham mego męża... *Par le temps qui court c'est héroïque.*

— Rzeczywiście, jest to tak bohaterskie, że mogłoby mnie natchnąć do jakiego arcydzieła. W dziewiętnastém stuleciu byłby to oryginalny przedmiot do dramatu—żona kochająca męża... Proszę samęj osądzić, teraz, kiedy każda intryga zasadza się na braku miłości ze strony żon, jakieżby to było efektowne!

— Tu we Francyi może, ale u nas, gdzie tam! My, Polki, mamy wszystkie tę „śmieszność”, że jesteśmy wzorowemi żonami i że miłość nasza do mężów wzrasta z biegiem czasu.

— Niech pani nie podnosi w moich oczach zalet Polek, niestety, już aż nadto jestem niemi olśniony! Oczu od tego blasku podnieść nie śmiem, a zaręczam pani, że to wcale do mego szczęścia niepotrzebne.

— Ależ bo pan jesteś pesymistą; trzeba nawet w słońce prosto, bez ulęknienia spoglądać, szczególnież kiedy się ma równie nieustraszoną, jak pan, odwagę.

— Zkąd pani o tém sądzi?

— Że pan jesteś odważnym? Ależ choćby ostatni pojedynek.

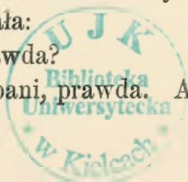
— Jaki pojedynek?

— Hipokryto! Gdzieś podział dwa palce brata twego?

Klima w tej chwili zmierzyla okiem pana de Montroye i zapytała:

— Czy to prawda?

— Niestety, pani, prawda. Ale proszę mnie nie



potępiać. Dwa palce, o których mowa, trzymając pióro, niewiele dobrego światu zrobiły. Straty wielkiej niema, a skoro już raz on sam chciał rozlewu krwi, co jest wstrętne mojej naturze, to wybrałem palce jego jako ofiarę, bo piórem przeciwko mnie zawinił.

— Więc to była zemsta?

— Nie, pani, nauka. Oduczy się pisać, skoro o tém nie ma pojęcia, i strzelać, skoro pistoletu w ręku trzymać nie umie.

— A z kąd pan przywłaszczasz sobie prawo nauczania rozumu ludzi?

— Wolno je każdemu sobie przywłaszczać, byle z niego umiał korzystać.

— Pan widocznie przekonany jesteś, że umiesz?

— Ja? Przekonany jestem tylko o jednej rzeczy, o tém, że pani jest dla mnie sędzią surowym i nieubłagany.

W tej chwili dano sygnał do rozpoczęcia przedstawienia, panowie wracali na swoje miejsca. Pan de Montroye, ustępując krzesła księciu de Poligny, kończył półgłosem, pochylony nad głową Klimy:

— Jesteś pani nieubłagana, a wiiesz, że duszę oddałbym za jedno spojrzenie twoje, w którymbym chociaż atom serca mógł dojrzeć.

Księżę de Poligny nie chciał skorzystać z miejsca, jakie mu młody człowiek ustępował.

— Zostań, Vero, zostań, proszę, ja ztąd doskonale widzę.

Vero de Montroye nie dał sobie tego dwa razy powtarzać. Usiadł nanowo, a odgłos muzyki i ruch na arenie pozwoliły mu kończyć przerwana rozmowę, raczej wyznanie, bo Klima milczała.

— Ja czasem przypuszczam, że to satysfakcyę pani sprawia widziéć, ile serc bije niespokojnie, gdy wchodzisz do salonu, ile oczu z zachwytem, ale i z rozpaczą goni za tobą. To cię wynosi po nad tłumy, a pani lubisz przewyższać głową ogół ludzkości.

— Nigdy do tego pretensyi nie miałam — odparła Klima, nie patrząc w stronę Vera.

— Może być zresztą, że się mylę. Pani nawet o tryumfy nie dbasz. Zimną jesteś, zimną, jak wasze noce podbiegunowe.

Klima zwróciła w téj chwili oczy na swego sąsiada, w których malowało się wielkie zdziwienie i wyrzut.

Vero zrozumiał widocznie wyraz tych żreńc wymownych, bo przeproszać zaczął serdecznemi słowy:

— Proszę mi wybaczyć, ja wiem, że bez sensu mówię; ja wiem, że nie powinienem wątpić o sercu pani; ale ja tak się dręcę! Gdybyś pani wiedziała...

Klima przerwała mu z żywością:

— Papa mówił także mamie, że się dręczy, i Karol Lili przed ślubem dowodził, że ją kocha... Niech pan nie kończy, ja nie wierzę, nie wierzę, nie mogę,

nie chcę wierzyć. Wiara we mnie złamana na zawsze. To nie wasza wina; wy nie umiecie kochać długo. Ale i tego odemnie nikt żądać nie może, abym wystawiała moje serce na próby. Jabym nie zniosła, aby po mnie deptano, nigdy, nigdy!

Nie mógł jęj przerwać, ani zaprzeczyć, w tęg chwili bowiem ogolna rozmowa zaczęła się w loży, Klima musiała odpowiadać na uwagi szwagra. Chwilo wo Vero de Montroye dał za wygraną, ale gdy panie hipodrom opuszczały, uprzedził księcia, podając ramię Klimie, i wtedy, przyciskając rękę jęj mocno do serca, mówił dalej:

— Nie wolno pani poświęcać swego i cudzego życia dla uprzedzeń, opartych na smutnym wyjątku. Musisz, musisz uwierzyć w miłość moją, a choćbym miał życie oddać, by cię przekonać, ja w tobie wiarę obudzić muszę.

Ona milczała, on patrzył na nią uparcie; wzrok jego przyciągnął magnetycznie jęj spojrzenie. Wi docznie dużo w oczach jego wyczytała, bo ręka jęj drgnęła na jego ramieniu, a powieki raptownie przysłoniły jęj ciemne źrenice.

— Czy pani oczom moim nie wierzysz, również jak słowom?

— A jeżeli uwierzę, a potem, kiedyś, zapóźno spostrzegę pomyłkę?

— Na miłość Bozką, proszę nawet nie wspomni-

nać o podobnej niemożebności! Powiedz, pani moja, że wierzysz — ja na dziś niczego więcej nie żądam.

— Wierzę.

III.

— Szalona jestem, szalona jestem! — powtarzała Klina raz po raz, gdy tego samego wieczora znalazła się sama w swoim sypialnym pokoju.

Nie poszła pocałować matki na dobranoc, jak to było jej zwyczajem. Odprawiła pannę służącą i została sama z myślami, które w tej chwili koncentrowały się w wyrazach: „Szalona jestem!”

Padła na otomankę, ukryła głowę w poduszki, zasłaniając oczy rękami, i leżała tak, nie mając dość spokoju, by się zastanowić nad swą rozmową z panem de Montroye.

Błede niebieskie światło niepewny, przyćmiony blask rzucało na przedmioty. Padało z góry, z lampy, która się kryła w wianku z jaskółek.

Jaskółki to ulubione ptaki Klimy. Kapelusze, suknie, pokoje byłyby chętnie jaskółkami tylko zdobiła; ją samą nazywano też nieraz „panną jaskółką”.

Nie byłyby jednak nigdy pozwoliła, by zabijano ulubione jej ptaki w celu użycia ich na strój lub ozdobę. Fabryki paryzkie zadawały ją zupełnie

pod względem wiernej imitacji, więc pełno jaskółek zdobiło pokój sypialny panny Sieniawskiej.

Na niebieskiem tle materyi, którą ściany i meble były obite, szybowwały jaskółki w pełnym locie, z rozwiniętymi skrzydłami. Fałdy kotary nad łóżkiem jaskółki dziobkami podtrzymywały.

Wielkie lustro, złożone z trzech części, stanowiących tryptyk, miało po bokach gniazdka jaskółek, formujące świeczniki.

Dwie jaskółki na gałązce tworzyły lichtarzyk na toalecie; jaskółki nad drzwiami, nad oknami — wszędzie.

Panna Sieniawska oryginalne miała pokoje; uchodziła też za bardzo oryginalną osobę.

Każda inna w jej położeniu, z jej urodą, z jej majątkiem, niezależna, psuta przez matkę, czułaby się upojoną szczęściem w chwili, w której ukochany przez nią człowiek wyznałby jej miłość swoją i w której ona wyznanie to przyjąłaby mogła.

Każda inna, ale nie Klima.

Od dwóch lat walczy już przeciw tej miłości, która nią o władnęła despotycznie. Najpierw wmawiała w siebie, że pan de Montroye niczem nie jest dla niej. Gdy już dłużej nie mogła się okłamywać, złożyła broń, ale tylko przed sobą samą i przysięgła sobie, że nigdy nikt nie odgadnie jej uczucia.

Czemu, czemu sił jej zabrakło?

I długo leżała z twarzą ukrytą w ręku, nie śmie-

jąc oczu podnieść, jak gdyby zawstydzona. Kapitulowała wobec własnego sumienia, a sumienie to dręczyło ją w tej chwili.

— Nikczemną jesteś, — mówiło jęj — pyszną i hardą, a nie mającą czem własnej pychy nakarmić, bo słabą jesteś i śmiesznie niekonsekwentną. Gdzie się podziały twoje obietnice? „Nie pójdę nigdy za mąż, nie zniosłabym losu matki i siostry, a jeżeli już nieszczęście takie miałyby mnie spotkać, nie pójdę nigdy za mąż w obcym kraju, za obcego człowieka! Niecierpię i nienawidzić będę wszystkich mężczyzn za ten ból, jakim poją każde serce kobiece, gdy się to serce do nich przyzwyczai. Zgniotę miłość własną każdego z tych samolubów, który się do mnie zbliży. Deptać będę po ich próżności, pogardzę ich urodą, szyderstwem ranić ich będę. Niecierpię ich za łzy, które dla nich matka i siostra moja wylewają, za to poniżenie, które jest codziennym pokarmem matki i siostry mojej.”

Sumienie przypominało Klimie wszystkie dawniejsze postanowienia i dlatego „Szalona jestem” wyrwało się cichą skargą z jęj ust.

Powoli jednak następowała reakcja. Pamięć przywiodła jęj przed oczy tego, który tę całą burzę wewnętrzną spowodował. Vero de Montroye zarysował się wyraźnie w jęj wyobraźni. Jego złotawe włosy, wąsy, krótko przystrzyżona broda, jego oczy, które w chwili podniecenia zdawały się rzucać złote

iskry, cała twarz o rysach delikatnych, przerafinowanych, cała postać wysmukła, dystyngowana, nieco *nonchalante* w poruszeniach, on cały ze swoim barytonowym, dźwięcznym głosem, stanął przed Klimą i spojrzał na nią tym samym wzrokiem, którym ją tak zelektryzował kilka godzin temu. Dość było wzroku tego, aby serce podniosło bunt przeciw sumieniu i rozsądkowi uciszyć się kazało. Rozsądkowi, czy pysze, bo serce tym razem rozsądek „pychę” nazywało.

Serce ma swój osobny dykcyonarz, a gdy chce uśpić sumienie, albo rozum, zupełnie innych określeń używa, nie nazywając rzeczy po imieniu.

— Takie musi być moje przeznaczenie; gdyby niem nie było, miłość do „niego” nie znęcałaby się nademną od dwóch lat. Taką musi być wola Boża; Bóg nie wlałby tej miłości w serce moje, gdyby nie chciał, bym jej głosu słuchała.

Sumienie w tej chwili szepnęło: „Nie każda miłość od Boga pochodzi; może uczucie to zesłane ci było jako doświadczenie sił twoich — wytrwaj.”

Ale serce zagłuszało każdy głos, który z jego głębin nie pochodził i mówiło dalej na swoje usprawiedliwienie:

— Czemu ja mam podług kilku nieszczęśliwych wypadków sądzić wszystkich? Od dwóch lat walczę, to dosyć. Widocznie kobieta skazana jest na cierpienie. Gdy nie kocha, albo gdy tłumi w sobie

miłość swoją, musi boleć; gdy kocha — najczęściej cierpi także. Niech się więc stanie to, co być musi; dotychczas źle mi było z uczuciem, ciągle tłumioném w sobie, teraz czy nie może być gorzej, gdy on wiedzieć będzie, że go kocham i jak go kocham?

Pod wpływem głosu serca wstępowało w nią wesele i błogość. Podniosła głowę do góry, w oczach jej rozczulenie i tkliwość wielka przebijały w tej chwili. Przyznała sama przed sobą, że to jednak wielkie szczęście ukochać i być kochaną; że chwila, w której się bierze i oddaje serce na własność, jest najpiękniejszą chwilą w życiu każdego człowieka, bogacza i nędzarza — mocarza, panującego nad przestrzeniami, i sługi, pracującego na kawałek chleba.

Chwila taka jest ludziom z nieba na świat rzuconą, by człowiekowi dać pojęcie, czém jest niebiańska błogość, owo szczęście, które aniołom tylko gdzieś w rajskich przestworzach stale odczuwać wolno.

Po za tą jedną chwilą nic niema na świecie, coby życia wartém było, ale dla utrwalenia takiej chwili po wiek wieków warto przeżyć życie doczesne w udręczeniu i męce.

Tak myślała Klima, pogrążona w słodkiej zadumie, nie zakłócanej więcej głosem sumienia i byłaby może przemarzyła noc całą, gdyby jej marzeń nie przerwała postać kobieca, która w tej chwili wsunęła się cicho do pokoju Klimy, jak gdyby bojąc się jej obudzić.

— Mama! — zawołała zdziwiona Klima — ja myślałam, że mama śpi oddawna.

Księżna de Poligny zbliżyła się do córki, pochyliła się nad nią, rękę na jej głowie oparła, a patrząc jej zblizka w oczy, pytała:

— A dlaczego ty nie śpisz, kochanko?

— Rozbudzoną jestem, nie zastanowiłam się, że to już bardzo późno być musi.

— Ja zasnąć nie mogłam, bo mi twego „dobranoc” brakowało. Niespokojną byłam o ciebie. Nigdy się nie położysz, zanim mnie nie pocałujesz. Czemu dziś do mnie nie zajrzałaś po powrocie?

Klima całowała ręce matki i posadziła ją obok siebie na otomance.

— Czemu nie zajrzałam? — mówiła — bo nie chciałam mamie spokojnej nocy zakłócać. Wolałam jutro mamie powiedzieć.

— Powiedzieć, co, kochanko? — pytała księżna niespokojnie.

Klima przytuliła głowę do piersi matki i odparła półgłosem:

— Pan de Montroye oświadczył mi się dziś wieczorem:

Księżna nie spodziewała się widocznie tego wyznania, bo nagłym ruchem odsunęła córkę od siebie, a patrząc na nią wzrokiem pełnym trwogi, zawołała:

— To być nie może!

Klima po tym jednym wykrzykniku spostrzegła,

że matka walczyć z nią będzie, że nie znajdzie w niej popleczniczki swęj sprawy. To wystarczyło, aby ją do obrony podniecić; ona tak długo sama walczyła; raz zwyciężona, czuła, że każdy opór stanie się dla niej udręczeniem, ale już niczego nie zmieni.

— Czemu mama wierzyć temu nie chce? — pytała.

— Ależ ty go nie przyjąłś?

— Słowem nie związałam się jeszcze, ale, jeżeli mama pozwoli, to... do niego tylko należeć będę.

— Dziecko drogie, ja nie chcę, nie chcę! I ciebie także oddać na stracenie? To być nie może, ja na to nie pozwolę.

— Dlaczego „na stracenie”, kiedy ja w tém szczęście moje widzę? Mamo, ja go już od tak dawna kocham.

— Ty go kochasz! Czy to dosyć, moja jedyna? Ty go kochasz, ale czy się ta miłość nie stanie później źródłem tortur dla ciebie? Pomyśl tylko. Ja, matka, spowiadam się przed tobą; winę moją wyznaję. I ja poszłam za głosem serca, a to, co kiedyś zdawało mi się niebo obiecywać, stało się dla mnie piekłem. Ty wiiesz, ty wiiesz, że bardzo jestem nieszczęśliwa.

Klima oparła głowę o ramię matki i zaczęła całować jej rękę.

— Wiem, mamo, i bardzo mi ciebie żal; nie mówmy o tém; już dziś zapóźno... na co się to przyda?

— Dla mnie zapóźno, ale dla ciebie nie, kochanko. Mój i Lili przykład powinien ciebie uratować. Nie mów, że „on” inny, i nam się zdawało, że „oni” lepsi są od wszystkich. Błagam cię, nie rób szaleństwa. Pomyśl tylko: ja wszystko, wszystko dla mego męża poświęciłam. Zaniedbałam świętych obowiązków dla niego, bo kraj opuściłam, majątek wasz uszczupliłam, rzuciłam się w świat w chwili, kiedy cofnąć się z niego należało; szłam i idę wbrew upodobaniom, wbrew wewnętrznemu zadowoleniu, a dziś już zapóźno. Muszę znosić skutki szaleństwa i nie, nie mam w zamian. Siebie zgubiłam i was gubię, to straszne!

— Mamo najdroższa, proszę tego nie mówić. Mama nas nie gubi, przeciwnie, nikt lepszej matki, niż nasza, mieć nie może.

— Gubię was. Gdyby nie moje szaleństwo, Lila nie byłaby poszła za Karola, ty nie byłabyś poznała tego de Montroye; moje marzenia dla ciebie byłyby się może spełniły.

— Marzenia mamy? Czy doprawdy mama tak bardzo tego pragnęła?

— Abyś wyszła za Leona Braclawskiego? Tak, kochanko, gorąco tego pragnęłam; za gorąco widocznie, kiedy Bóg nie pozwolił, aby się tak stało.

— Ależ, mamo, zkad ta pewność, że z Leonem byłabym szczęśliwą? Ja mu nie wierzę. Ja nikomu nie wierzę — nawet Vero nie wzbudza we mnie zau-

fania; ja już nie jestem w stanie wierzyć. Potępiam siebie, że, pomimo wszystkiego, mogę jeszcze kochać; bo to wiem z góry, że miłość bez wiary szczęścia mi nie da. Ale przecież nie byłabyś mnie skazała, mamó, na małżeństwo bez wiary i bez miłości?

— Czy ty temu człowiekowi powiedziałaś, że go kochasz, ale mu nie ufasz?

— Przeciwnie, nie powiedziałam mu dotąd, że go kocham, ale zapewniłam go o wierze w jego miłość.

— Wbrew przekonaniu?

— Nie, mamó, ja nie wątpię, że on mnie w tej chwili kocha i kochać będzie jeszcze czas jakiś, ale wiem z góry, że uczucie to minie bezpowrotnie, a choć to niekonsekwentne, dziwaczne, choć nie powinnam w takim usposobieniu nie na przyszłość postanawiać, nie mam już siły opierać się dłużej uczuciu, bo ja go oddawna kocham. Ale też nie dziwnego, że z takim pesymistycznym usposobieniem nie mogę teraz w zachwycie szczęścia unosić się marzeniami, przeciwnie, w tych pierwszych chwilach dręczy mnie już nawet niepokój i niepewność.

— Biedne dziecko moje, nie chciałabym cię dręczyć, ale dopóki wszystko nie stracone, zastanów się, czy taki rozbrat z krajem, takie zerwanie wszystkich stosunków z własną ziemią nie jest także ważną przeszkodą do tego małżeństwa? Jakieś fatum wisi nad nami. Ja popełniłam krok karygodny, wycho-

dząc za mąż za człowieka obcego z krwi, kości, przekonania i nawyknień. Myślałam, że wy dwie waszém zamążpójściem wyrwiecie mnie z tego błędnego koła kosmopolityzmu, w które mimowolnie zabrnęłam; Lila zawiodła mnie; na tobie jednęj opierałam moje nadzieje. My źle, bardzo źle postępujemy. Wasze dzieci będą dziećmi obcego kraju. Ja też tylko karę znosić powinnam i z duszy radabym cierpiała za was, moje biedne dzieci. Każda łza wasza podwójnie mnie boli, raz dlatego, że z waszych oczu płynie, potem, że ja jestem źródłem złego.

— Mamo moja najlepsza, jak można tak sobie serce zakrwawiać? Któż mógł przewidzieć, jaki obrót wezmą sprawy? Nikt nie jest panem swoich uczuć. Widocznie takie jest nasze przeznaczenie.

— To samo Lila mówiła. Wiiesz, Klimo, że nie mam odwagi donieść o tém memu bratu. Biedny Przemek! on się tak zmartwi, on ciebie tak kocha, on na ciebie tak liczy! A Leon? Boże mój! Ten zięć wymarzony przezemnie; myślałam, że będzie synem dla mnie. Co oni powiedzą?

— Leon? Moja mamo droga, to komedyant, jak i reszta. On kocha tylko mój majątek. Gdybym nie miała dziedziczyć po wuju, zaręczam mamie, że łatwoby sobie wyperswadował. Co do wuja Przemka, to jedyny idealny człowiek pod słońcem; jego za nic w świecie zmartwiłbym nie chciała. Ale nie trzeba o tém nikomu jeszcze mówić. Ja słowem nie

związałam się jeszcze. Powoli, niech się z tém ludzie oswoją; niech się ja z tém oswoję. Kto wie? może się przekonam, że Vero godnym jest nietylko miłości, ale i wiary zupełnej. Choćby dla twego spokoju, spieszyć się nie będę. Jeżeli po upływie kilku miesięcy nie pozwolisz na moje małżeństwo, to będę ci posłuszną.

Księżna ucałowała córkę gorąco. Stosunek między nimi był idealny. Serdeczną czułością chciały nagrodzić jedna drugiej te przykre zajścia i brak serca, jaki był ich udręczeniem ze strony męzkiego personelu pałacu „Poligny”.

IV.

Obiad u margrabiny de Groeck.

Tylko dwanaście nakryć. Towarzystwo zawsze wyborowe na obiadach w pałacu „Poligny”.

Księżę, to jest *beau-papa*, razem z Lilą formują listę gości. Margrabia nie miesza się do tego; prezyduje zatem przy układaniu „menu” — to jego specjalność.

Księżę był skończonym mistrzem w umiejętności dobierania żywiółów. Nie zdarzyło mu się zaprosić dwóch osób nieprzychylnie dla siebie usposobionych, posadzić obok siebie dwóch osób, któreby mogły nie wzbudzać w sobie wzajemnej sympatii.

Nieraz godzinę i dwie, z ołówkiem w ręku, siedział pochylony nad białą kartą papieru, obok niego Lila z główką, opartą na dłoni, z oczyma śledzącymi ruch ręki księcia, i wzdychali ciężko oboje.

— *Quelle corvée* — mruzczał książę.

— *Quelle corvée* — echem odpowiadała mu Lila.

Obiad proszony; zdawałoby się na oko, że to igraszka, drobnostka. Dla profanów—tak; a że ludzkość z profanów się składa, więc nic dziwnego, że proszone obiady bywają zwykle ostatnim wyrazem nudy. Ile stłumionego ziewania ulatuje w przestrzeń z po za wachlarza strojnych pań. Ile „posyłania do dyabłów” całej obiadowej ceremonii z ust sztywnie uśmiechniętych panów, tegoby nikt nie przeliczył.

Dlaczego? Dla tej prostej przyczyny, że nikt nie zadaje sobie trudu rozważnie listę zaproszonych ułożyć, że spraszają rozmaite żywioly, których nic nie łączy, a którym obowiązek grzeczności nakazuje bawić rozmową sąsiada, czy sąsiadkę, często pierwszy raz w życiu widzianą.

Książę poważnie się zapatrywał na tę kwestyę, a zapatrywania swoje w tej sprawie przelał w swoją pasierbicę.

Pochyleni nad listą, kombinują, przekreślają, zmieniają, poprawiają.

— Ambasador szwedzki poda rękę margrabinie d’Astrée, — mówi książę — on ze swoją flegmą północną rozrusza się przy niej.

— Broń Boże, papo, czy papa nie wie? Ambasador od dwóch tygodni robi najczulsze oczy właśnie do pani d'Astrée, a ponieważ my jój męża musimy prosić, a ponieważ mąż jój jest wstrętnie zazdrosny...

— *Saperlotte!* zapomniałem. Naturalnie niema o tém mowy. Nic tak nie mrozi towarzystwa, jak zakochana para i zazdrosny mąż w dodatku. *Pas de ça!* Bo widzisz, koteczko, pamiętaj to sobie raz na zawsze. Na obiady zapraszać trzeba sentymenta w pączku, zaledwie rozkwitające. Wtedy afekt nie ogłupia jeszcze osobników; przeciwnie, wystarcza tylko na podniecenie dowcipu, wymowy, humoru; musuje dopiero, ale nie upaja jeszcze.

— Więc wykreślamy ambasadora, czy państwa d'Astrée?

— Państwa d'Astrée lepiej. Ona śliczna kobieta, szkoda... ale co począć? Balastem, niweczącym wszelkie możliwe ustępstwa, to ten kretyn, jój mąż. Szkoda!

— Szkoda! choć ja takich lekkich bab nie aprobuję wcale. Może już lepiej dać pokój hrabiemu Skanderberg? Mamy w odwodzie ambasadora włoskiego.

— Nie, koteczko. Nie można. Skanderberg będzie koroną mężką naszego obiadu. *Haute nouveauté.* Od czterech tygodni w Paryżu.

— A od dwóch zakochany w pani d'Astrée.

— Nie traci czasu. Poczekaj, kto poprowadzi Klimę?

— Albo Vero de Montroye?, albo Leon Braclawski.

— Czemu jeden, albo drugi?

— Jaki papa niedomyślny!

— Czy niezdobyte serce Klimy zaczyna po ludzku wrazenia odczuwać?

— O jej sercu nic nie wiem, ona taka skryta! Ale chciałabym zrobić satysfakcyę tym panom.

— Ty jesteś idealna, moja koteczko! Obydwom? to nie sposób. Namysł się, którego protegujesz, bo trzeba się zdecydować.

— Gdybym wiedziała?

— Który z nich więcej zakochany?

— Papa takie dziwaczne stawia pytania! Zkąd ja mogę wiedzieć?

— Mnie się zdaje, że Braclawski.

— A mnie się zdaje, że Vero de Montroye.

— Ty mnie wierz, ja jestem wytrawnym sędzią. Vero więcej pozuje, jego sentyment zanadto w oczy bije, za mało skoncentrowany, a potem, już ja mam swoje dane. Tymczasem Braclawski, *saperlotte!* ten, to doprawdy głowę stracił.

— Więc którego jej damy?

— Naturalnie, że Vera; już ci moje teorye o zbyt zakorzenionych uczuciach wykladałem; to niepraktyczne w liczniejszém towarzystwie. Damy jej

Vera, choćby dlatego, że ona go znosi i dosyć po ludzku.

— *Accepté.* Zatem papa poprowadzi starą „bikokę”, lady Macgrove. Tylko proszę uważać, aby się nie rozsypała w drodze i niech jej papa zbytnio wina nie dolewa, bo jej cały „tynk” z twarzy opadnie.

— Nie drap koteczko. Lady Macgrove ani stara, ani malowana; słowo honoru ci daję, *elle a du cachet.*

— Może *des charmes cachés*, ale ja ich nie widzę. Mniejsza o to. Papa i lady Macgrove. Mama i lord Macgrove, biedna mama! Tak tedy matadory już zdecydowane.

— *Comme tu es méchante!* Mnie do matadorów zaliczać!

— Nie jako wiek, broń Boże! tylko jako pozycja socyalna... Przepraszam — i Lila w powietrzu przesłała księciu całusa. — Idźmy dalej. Klima i de Montroye, ja i ambasador włoski, księżę Ubaldini, z wieku mu i z urzędu ten zaszczyt należy.

— Trudno, koteczko; jako gospodyni domu, musisz się poświęcić.

— Co znowu, poświęcić? On bajecznie zabawny; ja wielki los wygrywam. O flircie nie może być mowy, to prawda; ale papa wie, że ja też o „flirtation” dbam tylko w chwili wielkiej demoralizacji.

Cóż mi po tём, kiedy mam nieszczęście kochać mego własnego męża?

Księżę westchnął.

— No, nie mówmy teraz o rzeczach smutnych. Kończmy listę, już trzecia, a ja o trzeciiej miałem być w klubie.

— Dalej Leon Braclawski poprowadzi — kogo? Niech papa powie, kogo?

— Dać mu pokój, niech zje obiad u siebie. Będzie zły, że mu Klimy nie oddajemy — obejdzie się bez niego.

— Nie można, papo, na żaden sposób. Coby mama powiedziała? On dla nas głównie bawi w Paryżu, odwieczny znajomy, trochę kuzyn. Tuby nie miało sensu; on być musi. Wykształcony, ożywiony, przystojny. Mam myśl! Dajmy mu wdowę, hrabinę Nörten. Doskonale; ona będzie mówić za niego, za siebie i za wszystkich, którym wygodniej milczeć.

Toaleta jój będzie w każdym razie ornamentacją bardzo efektowną.

— Brawo, koteczko! *Tu me rendras des points bientôt.* Pozostaje twój mąż i księżna de Brétigny, tym będzie dobrze razem. Karol jój wybierze najlepszych kucharzy w Paryżu; ona jemu da przepis na sos olimpijski; potem prehandluje konia na psa i psa na konia, i o świecie zapomną, tak im będzie dobrze.

Tu Lila westchnęła; ale lista była gotowa, a o to najbardziej chodziło.

W tydzień później Lila rzuciła okiem na zastawę stołu. Desenie i arabeski z kwiatów na śnieżnym obrusie. Kryształ, japońska stara porcelana. W świeżym mchu brzoskwinie, winogrona, figi i daktyle świeże, banany i granaty, niby w nieładzie *pêle-mêle*, a taką malowniczą całość tworzące. Ślicznie się stół przedstawiał.

Lila była widocznie zadowolona. Z równym zadowoleniem rzuciła okiem na całą salę, a miało się czém oko uraczyć.

Całe umeblowanie tej sali kupił margrabia de Groeck przypadkowo od zbankrutowanego kolegi, który odziedziczył prawdziwe arcydzieła sztuki po przodkach. Arcydzieła przybyłe z Włoch, datujące z czasów doży weneckiego, hrabiego Morosini, z jego pałacu pochodziły.

Przepyszny kredens ze starego dębu przedstawiał w płaskorzeźbach sceny mitologiczne: podróż Bachusa, młode lata Jowisza, porwanie Prozerpiny—wszystko wykończzone z prawdziwym artyzmem. Oceaniady podtrzymywały płytę, a larwy i gryfony, groźne, albo szczerzące zęby w uśmiechu, zdobiły narożniki i wysmukłe filary.

Stoły i stoliki przedstawiały Herkulesa w chwili, gdy zastępuje Atlasa i ugina się pod ciężarem globu.

Krzesła sztywne, proste, średniowieczne, więcej piękne, niż wygodne, zdobne tak samo, jak bufet, w płaskorzeźby. Półki wokoło sali do ścian przy-

czepione; na nich wazy, talerze, misy, podłużne i okrągłe, z porcelany starej meiseńskiejszy i sewrskiejszy. Wszystko razem miało wygląd poważny, ale skończenie artystyczne i mogło zadowolić gust najwybredniejszy.

Około godziny dziewiętej wieczorem można było skonstatować, jak dalece książę, przy współpracownictwie Lili, świetnie odniósł rezultaty w doborze towarzystwa, zgromadzonego w około stołu.

Wszyscy goście byli w znakomitym humorze. Sama gospodyni urocza, z wieńcem gardenii we włosach i w dekoltowanej sukni aksamitnej, koloru rezedy.

Partner jej, książę Ubaldini, komplementa jej prawil co do urzadzania sali jadalnej. Ona skromnie mężowi zasługę przyznawała.

— Przepraszam panią, ja się na to nie zgadzam — odparł książę, pełen uprzejmości — mąż pani położył tylko fundament pięknego przybytku, ale to, co stanowi jego urok, jego duszę, jego harmonię, nie jemu zawdzięczamy. Zostaw tu, margrabino, wszystkie zabytki dożowskie, a będziesz miała muzeum, wprawdzie piękne, ale zimne i martwe, jeżeli ztąd zabierzesz twoje kwiaty, porcelany, owoce, strój twój i twój uśmiech.

— Uśmiech, a tak, głównie uśmiech — wtórował sąsiad Lili z lewej strony, lord Macgrove. — Ja się z księciem zupełnie zgadzam, nie ma pod słońcem

nie piękniejszego, jak uśmiech pięknej kobiety. Na tym najdoskonalszym ze wszystkich światów nie sobie słodszy, rozkoszniejszy wyobrazić nie mogę, oddałbym najwznioślejsze epeje, najdoskonalsze dzieła sztuki, najczarowniejszą muzykę za uśmiech pięknej kobiety.

— Naturalnie i ja także, ale pod warunkiem, aby się tylko dla mnie i do mnie uśmiechała.

— „Dla mnie” i do „do mnie”, jakie to męskie ograniczenie — odezwała się baronowa Nörten. — To dziwne, że mężczyzna tylko ze stanowiska egoizmu o wszystkim sądzi, nawet o tak błahej rzeczy, jak uśmiech kobiety.

— Jakto błahiej? — zawołali chórem panowie. — To ma być rzecz błaha? Tylko kobiety zdolne do takiej herezyi.

— Panie de Montroye — zainterpelowała modnego poetę lady Macgrove — niech pan zawyrokuje, czy uśmiech należy do rzeczy błahych, czy ważnych?

Vero de Montroye skierował swoje powłóczyste, aksamitne, rozmarzone oczy w stronę pytającej.

— Nie mam prawa głosu — odparł pieszczącym ucho, dzwiecznym barytonem — jestem zanadto interesowany. *En thèse générale*, uważam, że uśmiech pięknej kobiety przewyższa błysk słońca w pierwsze dni wiosenne, przewyższa urokiem pierwsze kwiaty na wiosnę, przewyższa wdziękiem tęczę najjaśniejszą, jest pieszczotą, jest upojeniem serca, a jeżeli

tyle powiedziałem *en thèse générale*, to rzecz naturalna, że słówby mi brakowało *en thèse particulière*. Jestem bałwochwalcą do uśmiechu kobiety w ogóle; gdy zaś uśmiech taki do mnie wyłącznie zwrócony...

— Znowu „do mnie” — przerwała pani Nörten. — Męski akcent, kładziony na wszystkie formy wyrazu „ja”, jest czémś, co mnie zawsze bawi.

— To już wielkie szczęście, że dziś ów „akcent” kobietę bawić może—odezwała się lady Macgrove.— Dawniej musiało to nie być wcale zabawne, takie zwracanie wszystkiego do jednego źródła męskiego egoizmu. „Ja” męskie znaczyło: „królem jestem, władcą—wszystko do mnie należy, a kobietę uznaję tylko jako swoją niewolnicę”.

— Już te czasy nie powrócą, niech pani będzie spokojną—odezwał się, milczący dotąd hrabia Skandenberg. — Im bardziej świat do cywilizacyi zmierzać będzie, tém większą rolę kobieta na nim odgrywać musi. Im więcej duch nad materją górę weźmie, tém szersza władza i królestwo pań. My dotąd byliśmy władcami, bo świat stał więcej materją, niż duchem, a my jesteśmy materyalnie silniejsi; ale to jest faktem niezaprzeczonem, że siły materyalne idą w ujemnym stosunku do sił ducha. Duchem panie wyżej stoicie, boście ciałem słabsze. W świecie ducha wy górę weźmiecie. Teraz, kiedy myśl, to jest duch, z postępem czasu na wierzch się wybije, panie muszą mieć przewagę.

— Sprawiedliwość i równowaga w przeznaczeniu ludzkości wymagałaby tego—z entuzjazmem zawołała Lila.

— Hrabio, jesteś wytrawnym pochlebcą, dajemy ci patent; z taką powagą głowę kobietom zawracasz!—przemówił margrabia de Groeck.

— Nie mówię jednak z pochlebstwa, ale z przekonania. Kobiety inteligentniejsze są od nas. Nie mówię „uczeńsze“, choć i to z czasem okazać się może, gdy im damy czas do współzawodniczenia z nami. Ja mówię: „inteligentniejsze“, a między inteligencją a uczonością, jest wielka różnica.

— Litości, baronie! — zawołał książę de Poligny—nie odbieraj najświętszego wdzięku kobiecie, zostaw... naiwność. Gdy kobiety na seryo zaczną filozofować, to wypadnie nam powiesić się.

— Naturalnie, o ileż panom wygodniej z naszą ignorancją. To taka ładna zabaweczka, młoda kobieta, która nic nie wie, nic nie rozumie, *c'est si amusant*—rzekła z ironią lady Macgrove.

— Niech mi książę wierzy—odparł zawsze z równą powagą hrabia Skandenberg — kobieta nic na tém nie straci, gdy się jej umysł rozwinie, byle rozwinięty był w dobrym, właściwym kierunku. Kobieta ograniczona tylko „materyalnie“, podobać się może i nie na długo. Kobieta inteligentna, duszą naszą włada i staje się w rzeczywistości lepszą jej połową. Bo czémże jest inteligencja? Ależ duszą

właśnie. Kobieta, gdy jest rozwinięta duchowo, musi z natury rzeczy, jako słabsza ciałem, być od nas wyższą duchem.

— Owszem, owszem, ja nic nie mam przeciwko temu — przerwał książę de Poligny — według proctwa hrabiego, dojdziemy jednak do chwili, w której ambasadorami, ministrami, generałami, sędziami, adwokatami będą panie. *Je ne demande pas mieux*; jeżeli nas kobiety dopuszczą do sekretaryatu przy ambasadach, ministeryach i etc., to się wtedy dopiero do pracy zabierzemy z zapalem; pod naczelnikiem w toalecie od Feliksa, musi być dyabelnie miło pracować.

— Byle ograniczono wiek; szefowie w aksami-tach i koronkach, nie powinni przekraczać pewnej miary czasu—dodał książę Ubaldini.

— Panowie obracają w żart moje zapatrywania, a ja seryo mówię. Proszę nie mieszać pojęć, ja nie jestem za emancypacją kobiet i one, gdy prawdziwie inteligentne, też za tém nie są, a jeśli są, to w miarę. „Uczone“, o krótkich włosach i brudnych paznogiach, marzą czasem o zrównaniu praw. Ale inteligentne, choć w duchu czuć będą nietylko równe, ale nawet wyższe prawa moralne, nigdy nie będą się rwały do posad, do zaszczytów, które z natury rzeczy mężczyźnie, jako silniejszemu, przynależą. Kobieta jest zanadto wrażliwa, gdy jest inteligentna; dla tego samego, niektórych posad nigdyby zająć nie mogła.

Pozostanie wyższą i my jej wyższość uznamy, ale pozostanie kierowniczką i opiekunką gniazda rodzinnego. Przecież trudno o piękniejszą rolę.

— Dlaczegoż pan wrażliwość uważasz za konieczny dodatek inteligencji?

— Naturalnie; naukowo dowiedziono, że im człowiek wyżej stoi umysłem, tém mniej ma siły odpornej na zewnętrzne wrażenia. Kobieta, gdy jej ząb wyrwać mają, omdlewa z trwogi, z bólu, bo u niej nerwy wrażliwsze, delikatniejsze. Im zwierzę niżej stoi pod względem rozwoju, tém mniej na ból wrażliwe, ślimak mniej cierpi od myszy, mysz od psa, pies mniej od mężczyzny, mężczyzna mniej od kobiety; bo kobieta, to najdelikatniejsze, najdoskonalsze, najmniej zmateryalizowane stworzenie pod słowem. O ile jesteśmy z tego świata, o ile należymy do zwierząt, o tyle my górą; o ile z doskonalszych światów, o ile liczymy się do istot duchowych, kobiety stoją wyżej. To moje „Credo”.

— Brawo, brawo! — zawołali razem panowie i panie. — Wszyscy się na to zgadzamy.

— Zdrowie hrabiego Skandenberga, miłego gościa, którego pierwszy raz w domu naszym witamy! — rzekł, wstając, margrabia de Groeck. — Oby kobiety kraju naszego utrwaliły w nim przekonanie, jakie z północy do nas przywiózł.

Korzystając z ogólnej rozmowy, Vero de Montroye mówił półgłosem do Klimy:

— Patrz pani, jak *vis-à-vis* nasze ciągle jest nami zajęte. Jak się ten pan nazywa? Nie lubię jego inkwizycyjnego wzroku.

— Ten pan nazywa się Leon Braclawski, należy do jednego z najstarszych rodów mojego kraju, jest dalekim naszym krewnym, człowiekiem rozumnym i mamy protegowanym. Przyjechał do Paryża w celu przypomnienia się pamięci mamy.

— Która, jak widzę z jêj dla niego łaskawości, wcale nie myślała o nim zapomnieć; bardziej nim, niż lordem Macgrove zajęta.

— Lord Macgrove tak jest zawsze sobą za że wcale nie potrzebuje, by mu kto w tém dopomagał.

— Ale ja jestem zazdrosny. Księżna czuję to, nie obdarza mnie swą sympatyą i to mnie boli.

— Trzeba się starać ją pozyskać.

— Ale jak? Niech mnie pani nauczy; wszystkie moje wysiłki, jak o lód się rozbijają. Jestem zniechęcony.

— Już? Nie wiele panu potrzeba.

— Naturalnie, że muszę być zniechęcony. Matka pani mnie lekceważy, a pani sama... Nie, ja nigdy serca pani pewien nie będę.

— Ja téż wcale sobie tego nie życzę.

— Boisz się pani mnie zepsuć? I dla tej marnej obawy, zupełnie bezpodstawnej, pozwalasz mi cierpieć. Czy to szlachetnie?

— Pewna znajomość świata nauczyła mnie ostrożności, a „szlachetność“, to wyraz już nie modny, nie należy go używać, tak, jak się nie używa wyszłych z mody kapeluszy.

— Pani dziś w złym humorze.

— W niezbyt świetnym.

— Czy wolno wiedzieć dlaczego?

— Gdyby pan mógł znaleźć lekarstwo.

— Może znajdę. Czyż my długo mamy pozostać na takich prawach nieludzkich. Czy nie dość jeszcze jestem wypróbowany? Uznałaś pani miłość moją. Słowo „wierzę“ usłyszałem z ust pani, a mimo to, jestem wyrugowany z życia twego; obcy jestem, albo traktowany jak obcy. Nie dziw się, pani moja, że mnie to buntuje. Ty jedna przynajmniej nie powinnaś mnie wyłączać od twych spraw, twych cierpień, twego wewnętrznego życia. Powiedz mi, co cię dziś zasmuca?

— Jesteś pan niesprawiedliwy. Panu jednemu dałam prawo wiedzieć o każdej myśli mojej; nie przed panem nie taję. Jeżeli co ukrywałam, to tylko przez wzgląd na pana, aby mu przykrości nie robić.

— Więc jest coś niepomyślnego? Proszę mi powiedzieć. Proszę, ja przecież muszę wiedzieć, a tchórzem nie jestem.

— A więc tak. Musisz pan jeszcze czas jakiś pozostać względem mnie w tém samém niejasnym

położeniu. Mama nie chce, aby się to rozgłaszało. Mama jest przeciwna, nietyle panu, ile mojemu wyjściu za mąż za cudzoziemca.

— I dla tego proteguje tego pana Bra... bra... jak on się nazywa? Nie umiem wymówić.

Krzuszenie się polskiem nazwiskiem, było za nadto wyraźnym lekceważeniem tego nazwiska, aby nie miało zadrasnąć Klimy.

— Braclawskiego — dokończyła — powinieneś się pan nauczyć przynajmniej znane polskie nazwiska wymawiać przyzwoicie; ja noszę także polskie nazwisko.

— Przepraszam panią. Nie wiedziałem, że brak biegłości pod tym względem może panią dotknąć. Czy ze względu na osobę?

— Pan chcesz się ze mną poróżnić?

— Przenigdy! Ale mnie zadziwiło niezadowolenie pani.

— Więc proszę nie robić mi drugi raz żadnych aluzji, odnoszących się do pana Braclawskiego. Powiedziałam kiedyś, że panu wierzę; u mnie to więcej znaczy, niż u wielu kobiet wyraz „kocham“.

— Ten drugi dużo słodszy. Czy nigdy go nie usłyszę?

Klima podniosła wymowne oczy na Vera. Należała do tych, co „kocham“ nie umieją wymówić ustami, ale oczami za to wyśpiewają cały hymn miłości. On ten hymn zrozumiał.

Chwilę milczeli oboje. Poczém Klima kończyła zaczęte zdanie:

— Skoro panu wierzę, to wystarcza, aby i pan ufność we mnie pokładał. Proszę mi nigdy scen zazdrości nie robić. Pierwsza scena taka, wystarczyłaby do zmrożenia mnie; zraziłaby mnie do pana. Ufność bez granic—ja inaczéj nie rozumiem. Choćbyś pan codzień Braclawskiego obok mnie spotykał, niech mi pan ufa. On mi niczém nie jest. Zmuszona jestem znosić go przez wzgląd na mamę. Proszę o tém pamiętać.

Młoda para tak była zajęta, że dopiero znak opuszczenia stołu, dany przez Lilę, wyrwał ją z błogiego *tété à tété*.

Okolo dziesiątój wieczorem, zaproszeni opuszczali salony margrabiostwa do Groeck. Gdy pan Leon Braclawski przyszedł złożyć pożegnalny ukłon przed księżną de Poligny, ona mu usiąść kazała obok siebie.

— W imieniu córki mojej, zapraszam pana na resztę wieczoru. Lila zaśpiewa nam polskie pieśni, dobrze nam będzie. Będziemy gawędzili po polsku. Wiem, że mąż mój nie opuści klubu, ani mój zięć — dodała ze smutnym uśmiechem, myśląc, że uśmiech ten poczytanym będzie za swobodny.—Ja z córkami same zostaniemy, musi nam pan towarzystwa dotrzymać.

V.

— *Saperlotte!* Ależ papa ma nieszczęśliwą rękę — mówił do księcia de Poligny, Karol de Groeck.

„Papa” go nazywał, gdy był zły i chciał księciu dokuczyć.

— Nie mogę być szczęśliwym pod każdym względem. Trudno od losu zawiele wymagać—odparł z dobroduszną filozofią ksiązę.

Wracali z klubu o trzeciej zrana. Ksiązę przegrał téjże nocy 50,000 franków w „bacarata”.

— Imponuje mi taka zimna krew — odparł de Groeck—zwłaszcza, że warunki finansowe papy, imponują mi dużo mniej.

— Mają słuszość w świecie — myślał w duchu ksiązę—obwiniac „mego zięcia” o brak inteligencji. „Moje warunki finansowe”. Jużby się téż raz mógł domyśleć, że „moje finanse” nie istnieją. Ale od czegoż serce żony? To skarbnica nieprzebrana?

Głośno zaś dodał:

— A i mnie nie imponują. Widzisz, Karolu, gdybym miał z czego grać, toby mnie może mniej bawiło; nie miałbym żadnych wrażeń.

— Gdybym ja nie miał z czego płacić, toby wrazenie było za silne.

— Widocznie masz słabsze nerwy.

— Zimna krew „papy” w osłupienie mnie wprawia. *C'est d'un beau jour*, ale ja tego nie rozumiem.

— Co ty rozumiesz? — myślał znowu ksiązę — a głośno odparł.—Czyż ty sobie wyobrażałeś, że się dla marnych 50,000 franków powieszę?

— Gdybyż to 50,000, o ile wiem, papa już 300,000 przegrał ostatniej zimy.

— A więc widzisz, trochę więcej, trochę mniej, to wszystko jedno.

— Zkąd papa weźmie?

— Przepraszam cię, mój miły; to już moja rzecz—odpowiedział ksiązę z taką wielkopańską miną, że każdemu byłby usta zamknął, tylko nie margrabiemu.

— Jaktó, papy rzecz? Pałac „Poligny” zadłużony wyżej uszu.

— Uszy pałacu de Poligny tylko mnie obchodzą.

— I mnie. Lili posag na księżycu. Ja na to nie pozwolę.

— Masz słusność, Karolu. Jedź na księżyc i reklamuj.

— Biedna „*belle-maman*”, a to się urządziła, ani słowa!

— Kiedy jęj z tém dobrze i mnie także.

— O! nie wątpię; ale mnie źle.

— A Lili jeszcze gorzej. To dowodzi, że młodszą generacya stoi niżej sercowo od starszej. Nie

irytuj się, Karolu. Mówmy spokojnie; *c'est si bourgeois* takie szamotanie się. Mówmy spokojnie.

— Jakże ja mam mówić spokojnie? Zanadto rozprawiają o ruinie, która grozi księztwu de Poligny. Ja byłem dudkiem, który się dał wziąć na Lilę. Ale drugi taki się nie znajdzie. Klimie trudno będzie wyjść za mąż.

— Nie wiedziałem, że masz tak czułe braterskie serce dla niej; szkoda, że nie mężowskie dla żony.

— Czekam przykładu ze strony papy.

— Pierwszy raz sprytnie się odezwał, *la canaille!* — myślał książę, a głośno odparł. — Zewnętrzna formą służę ci zawsze, ale ty nie chcesz z przykładu korzystać.

— Dajmy pokój naukom w tej chwili. Co będzie, gdy wszystko runie?

— Ty swemi silnemi barki wszystko podeprzesz, albo odbudujesz.

— O nie! Moja bezinteresowność tak daleko nie sięga. Mam dzieci.

— Czuły ojczel!

— Całego gmachu nie uniosę na swym grzbiecie.

— Znajdziesz drugi do pomocy.

— Chciałbym wiedzieć, jakim sposobem?

— Klimi ma dwóch konkurentów.

— Do walca i kotyliona ma cały batalion, na seryo — nikogo.

— Ma na seryo. Vero de Montroye.

— Papa żartuje! Vero? Ależ Vero, to bankrut. On liczy na posag Klimy; chwytą się jęj, jak deski zbawienia. Jeżeli się dowie, że jęj majątek mieści się w „krainie marzeń, snów”, to mimo swęj poetycznej duszy uzna, że mu miłość beefsteku nie da — i—*faites vos conclusions*.

— *Diantre!* A ja go protegowałem, licząc jego dochody według czwórki rasowej. Paradne konie. A tom się złapał!

— Paradne konie? Mój papo, proszę się tak nie kompromitować. Szkapę nóg nie mają. Jak temu obroku nie dadzą i nie oczyszczą, to dorożkarz nie zechce.

Książę się zafrasował; czuł swoją niższość jako sportsman; de Groeck nie ominął żadnej okazji, by „pape” upokorzyć w tym względie.

Tylko w tym jednym. Zresztą, książę swoją zimną krwią i kobiecią prawie dystynkcyą w obejściu, zjednywał sobie sympatyę tego silnego, gwałtownego człowieka. Margrabiego życie salonowe z gruba tylko obciosać zdołało; dostatecznie na niewielkie wymagania dzisiejsze, ale niedostatecznie, by w nim zaglądzić jakąś butę i szorstkość „Raubrittera” wieków średnich, jaka przez atawizm odezwała się może w niewieściałem pokoleniu.

Margrabia de Groeck lubił księcia, książę jeden miał wpływ na niego; on jeden łagodził jego uniesienia.

Mówiono, że Groeck boi się go; nie, on się nie bał niczego i nikogo; ale jakąś tajemną siłą księżę potrafił uspokoić go nawet w największej furii. Nie-raz żartem mawiał margrabia de Groeck do swego przyszywanego teścia:

— *Beau-papa, vous êtes David dans mes accès, à la Saul.*

To nie przeszkadzało, że sprzeczały się między sobą przy każdej sposobności.

— Montroye i jego konie! — mówił de Groeck w dalszym ciągu — dobre sobie, doprawdy! Taka naiwność w papy wieku — to karygodne!

— Dajże mi pokój; ja nigdy nie liczyłem cudzych worków, ani macałem nóg końskich, to nie mój zawód.

— Ciekawy jestem, jaki też ten drugi konkurent Klimy? Jeżeli w tym samym rodzaju...

— Otóż skłoń głowę, pesymisto, skłoń głowę przed jego milionami. To już nie chimera. Żona moja mówiła mi, ona nie blaguje.

— Na co miałyby blagować? Od czego mąż?

— Naturalnie. Otóż widzisz, mój przyjacielu, ten drugi, to Polak, Bra... Bra... dyabli go tam wiedzą; ale i ty wiesz, ten co to był u was na obiedzie, no i teraz siedzi ciągle w fałdach tych pań.

— Braclawski.

— *C'est ça, bajecznie bogaty. Jakieś ma kopal-*

nie drogich kamieni, czy czegoś, bronzu zdaje mi się, Albo nie; czekaj — smoły, tak smoły.

— Przykro mi odbierać papie iluzye, ale smoły się nie kopie.

— To wszystko jedno. Zkąd ja mam wiedzieć, co się tam kopie w tym ich kraju podbiegunowym.

— Gdy się ztamtąd złoto czerpie na „bacca”, to mogłoby się lepiej być poinformowanym. Pomogę papie. O ile wiem, Braclawski ma źródło nafty.

— *C'est ca, mon ami.* Nafty! Ja czuję, że wszystko to nie mieści się w mojej głowie. Nie mam, widzisz, jednej kropli krwi spekulanta, albo parwieniusza w sobie, ani po mieczu, ani po kądzieli. Z górą pięćset lat...

— I ja nie; ale naftę od smoły odróżnię.

— Za to nie odróżnisz Murilla od Rubensa i toalety kobiecej, pokrytej koronkami „Malines”, od defrolii z bawelnianą gipiurą. Każdy ma swoją specjalność — ty smołę i koniec.

— A papa toalety damskie.

Zaśmiali się obaj wesoło i zniknęli w bramie pałacu Poligny.

Około południa książę wchodził do małego saloniku, w którym żona jego najwięcej lubiła przebywać. Wiedział, że ją tam zastanie.

— Dzień dobry mojej królowej — rzekł, ręce jej całując. — Jakże się spało?

Ona nigdy się nie skarżyła; nie robiła mu nigdy

wymówek. Znosiła ciężar życia z godnością od chwili, kiedy już na swobodę zdobyć się nie mogła.

— Dziękuję ci. Nieźle sypiam. Obawiam się tylko, czy ty nie nadużywasz sił swoich.

— Jaką ty masz anielską duszę, że się mojemu zdrowiu interesować raczysz. Nigdy więcej sił w sobie nie czułem, jak od chwili, w której miałem szczęście ciebie poznać; bogowie zanadto są na mnie łaskawi.

— *Vous êtes trop aimable* — odparła chłodno księżna.

— Zajęta jesteś korespondencyą? Nie przeszkadzam ci. Miałem tylko interes; dość ważny interes. *Pour abrégé*, pożycz mi 60,000 franków, kochanko. Bardzo mi potrzebne na... wiesz już... ta sprawa... to tyle pieniędzy pochłania. Nie odmówisz mi tej małej przysługi?

— Bardzo żałuję, Julianie, ale doprawdy, wierz mi, coraz to trudniej wydobyć pieniądze. Chętniebym ci wygodziła, ale pomyśl tylko, że już aż nadto zapomniałam, że mam córki.

— Żartujesz, kochanko, czy może być mowa o trudności, gdy chodzi o bagatelę. Nie wyobrażaj sobie żadnej tragicznej sytuacji. Ty masz dziś, ja będę miał jutro — *entre femme et mari, n'est ce pas?* Trzeba sobie wzajemnie przysługi oddawać. Gdy konieczność tego zachodzi, *vous savez ma chère*.

— Jaka konieczność? Czy nie wolno wiedzieć?

— Jeżeli ci na tém zależy, naturalnie. Widzisz, to te reperacye, molioracye, *vous savez, ma chère, chose... machin*. To drobnostka. Wolę nie pożyczać na procenta. Jutro mógłbym mieć; wolę od ciebie, niż od obcych. Wiem, że ty mi nie możesz odmówić.

Widocznie księżna nie mogła mężowi odmówić, bo wieczorem dnia tego w świetnym był humorze, a „miss Wirginia”, która nie podążyła za swoją trupą do wiednia nigdy go weselszym nie widziała.

Ze swój strony książę nie omieszkał żonie się wywdzięczyć. Znał jej gusta, bo któryż to mąż nie stara się zbadać gustów żony?

Wiedział, że ma słabość do kwiatów i przysłał jej przepyszny okaz storczyka, za który *tylko* 1,000 franków zapłacił. Artysta ogrodnik dowodził mu, że sprzedaje za bezcen; godzinę przedtém „odstąpił” lady Douglas orchideę, wartości 5,000 franków, unikat w białym kielichu żółta żmija, okręcona wkoło trupiěj czaszki.

Orchidea księżnej de Poligny należała do okazów rzadkich wprawdzie, ale nie do unikatów, dlatego za *bezcen* kupioną została przez kochającego męża.

Wieczorem w saloniku księżnej, zebrane nieliczne kółko podziwiała ów storczyk w formie słońca żółtoponsowego, z promieniami. Oprócz księżnej, była tu Klima w balowěj toalecie, Lila w sukni lila, różnokolorowemi bzami pokrytej, jej mąż we fraku,

widocznie gotów, by paniom na bal towarzyszyć, narzecie pan Leon Braclawski, protegowany księżnej.

— Piękny kwiat — mówił pan Leon — ale nie pojmuję, jak się można tak zapalać do jednego rodzaju szczególnie. Istna mania. Dawniej tulipany, teraz storczyki — trzeba wierzyć, że i to minie.

— Mam nadzieję, że nie — odparła z żywością Klima. — Jeżeli to manja, ja ją w zupełności podzielam. Proszę tego w śmieszność nie obracać. Dziś rano miałam list z Sieniawki; stary Borowski donosi mi, że w naszej storczykarni wykwitła przepyszna orchidea, że na wystawę oddaćby ją można. Kiedy pomyślę, że ona tam kwitnie bezemnie, to mi się serce z żalu ściska.

— Niech ci się nie ściska — rzekła Lila wesoło — tylko każ ją sobie przysłać. To dużo prościej.

— Naturalnie, aby tu doszło połamane albo zmarznięte. Wolałabym się sama na taką próbę narazić. Ty mi każesz ze sobą na bale chodzić, a tam storczyki kwitną w Sieniawce i mój poczciwy Werbel kudłaty, wyje podobno z tęsknoty. Tak mi Borowski pisze. Oddałabym wszystkie bale i wszystkie Paryże za storczyki z Sieniawki i za Werbla.

— Jeżeli tylko o to chodzi, za tydzień będziesz pani miała jedno i drugie — odparł Leon Braclawski.

— Jakim sposobem? Jakim sposobem? — pytały panie chórem.

Ale Leon pozostał tajemniczy, a margrabia de Groeck dał sygnał wyjazdu.

— Dziesiąta, im wcześniej wyjadę, tém wcześniej powrócę.

Margrabia już teraz marzył o powrocie. Nigdy nie byłby się zdobył na taką ofiarę dla żony, jak towarzyszenie jój na bal do państwa Vansocken—parweniuszów, niedawno do „elity” przypuszczonych.

Książę mu jednak wyperswadował, że to konieczne, że do salonów „intimes” młoda mężatka może się puszczać bez opieki męża; zaś na ceremonialne przyjęcie byłoby to *du dernier shocking*.

Czego książę nie dodał, to, że mu zależało na stosunkach z bankierem Vansockenem; że zaś bankierowi zależało na ozdobieniu swych salonów margrabią de Groeck i hrabianką Klimą Sieniawską, więc cała dzisiejsza wyprawa ułożoną została dzięki delikatnej interwencji księcia; Lilę namówił i męża jój przekonał, a ten ostatni był *trop simple d'esprit*, aby się poznać na takich machinacyach. A więc w czasie, gdy *beau-papa* emablował miss Wirginię, *beau fils* tańczył kadryla z bankierową Vansocken, przeklinając w duchu bale, konwenanse, bankierów i swoją tancerkę.

Książę nazywał takie drobne przysługi, które mu margrabia w naiwności ducha nieraz oddawał, wyciąganiem kasztanów z ognia, bez poparzenia sobie ręki.

Klima tymczasem dziś tylko pretekstu użyła, oskarżając Lile, że ją na bale ze sobą wyciąga.

Lila dzisiaj opieki nie potrzebowała, szyld w osobie jej męża wystarczał. Klima, udając potrochu ofiarę, prędko toaletę, ukończyła, choć starannie lustrem z jaskółkami się posługiwała przy ubieraniu, a nigdy w lustrze piękniejszą widzieć się nie mogła.

Niebieskim dżetem naszywana, niebieska suknia podnosiła delikatność jej bladłej cery. Bukiety nenufarów zdobiły całość prześlicznie.

Vero de Montroye z zachwytem na nią spoglądał. Niespokojny jednak, pytał ją:

— Czy ten mój „koszmar” w postaci pana Bra...

— cławskiego.

— Zawsze lawiruje około mojej przystani.

— Jutro jedzie! — odparła tryumfalnie Klima.

— Doprawdy? A to się nazywa błogosławieństwem niebios!

— Dokonałam cudów dyplomacyi. Gwałtownie zateśkniłam za storczykiem i za psem z Sieniawki. Wiedziałam, że *en galant chevalier* pan Leon ofiaruje mi swe usługi w zdobyciu tego wszystkiego. Odgadłam jego szlachetne zamiary, choć naiwną udawałam. On robi miny tajemnicze, ale zobaczy pan, że pojedzie. Mówił, że za tydzień otrzymam to, czego pragnę.

— Ba, więc znowu powróci?

— Dobry i tydzień spokoju.

— Gdyby pani, w dalszym ciągu natchnienia dyplomatycznego, dała mu delikatny *hint*, że mógłby psa i storczyk odesłać, a sam zostać.

— Spróbuję, ale on w tym względzie dziwnie jest niedomyślny.

— Niecierpię go! Mówmy o czém inném, bo wzmianka o nim humor mi zatruwa. Niech pani spojrzy na margrabinę moją siostrę „*in spe*”, bo że zwalczę wszystkie przeszkody, o tём na chwilę nie wątpię.

— Na Lilę? Doskonale się bawi. To już taka szczęśliwa natura.

— Szkoda jej uśmiechu dla młodego Vansockena. Takich ludzi nie powinno się psuć nigdy. Znadto łatwo w głowie im się przewraca. Mogą kupić za złoto uśmiech i spojrzenie kobiet wszelkich kategorii. Powinny jednak być granice. Te kobiety, w których żyłach płynie krew rycerzy, walczących w Palestynie, nie powinny znosić jako równych sobie, figur na spekulacyi zrodzonych, a wczoraj jeszcze przez naszych lokai z góry traktowanych.

— To krzycząca niesprawiedliwość. Jeżeli postępowaniem swoim nie zasługiwali na traktowanie z góry przez naszych lokai, to czas, abyśmy im nagrodzili postępowanie takie, jeżeli na to zasługują— dodaję raz jeszcze. Mnie się młody Vansocken bardzo podoba. Spotykałem go już wiele razy. Inte-

ligentny, rozumny, energiczny, dystyngowany, niezwykle piękny.

— Jednym słowem, doskonałość.

— Prawie doskonałość.

— Dlaczego tylko „prawie?”

— Szkoda, że się „Vansocken” nazywa.

— Jakież to kobiece, niekonsekwentne; pani przecież nie przywiązujesz znaczenia do nazwiska?

— Nigdy tego nie powiedziałam. Jakież to męsko-arbitralne wyciąganie konsekwencji. Przeciwnie, piękne nazwisko, to jeden z wielkich przywilejów — ja moje kocham i szanuję. Ale piękne historyczne nazwiska są śmiertelne, jak wszystko na świecie; gdybyśmy nie pozwalali na tworzenie się nowych nazwisk, które za kilka wieków na popiele naszych tytułów jaśnieć będą, to bardzo naturalnie, że za jakie tysiąc lat nie stałoby znanych nazwisk wcale, a ja wierzę, że one są potrzebne; były zawsze rody rej wodzące i będą.

— W każdym razie przyzna pani, że rody, powstające z praojca bankiera i na milionach szlachetność swą utrwalające, równać się nie mogą z temi, które odwagą, własnym życiem, krwią własną kupiło sobie tarczę herbową.

— Ależ ja nie widzę dlaczego? Jeżeli bankier rozumem i oszczędnością doszedł do znaczenia, toć rozum nie jest mniejszą zaletą, niż odwaga. Jeżeli życie trawił od rana do wieczora przy biurze i kom-

binacych, które krajowi jego mogły przynieść pożytek, to dał dowody niezwykłego zaparcia się siebie. Jeżeli później, dzięki nowej eksploatacyi, nowo odkrytej drodze, pożytecznej dla społeczeństwa, zdobył sobie tarczę herbową i tytuł, jeżeli jeszcze później spadkobiercy jego pełnemi garściami czerpali ze złota swego na dobroczynne instytucye, na cele filantropijne, to, mojem zdaniem, nowa taka arystokracja warta jest starzej. A zresztą i w dawnych czasach, jak powstałi Medyceusze? Sforzowie etc.? A co? pobiłam cię, poeto?

— Podbiłaś mnie, pani moja, i dawno już, ale nie pobiłaś, bo tylko napozór masz słusność. W duchu i ty i ja radzi jesteśmy, że nie na workach złota i nie od wczoraj dorobiliśmy się naszych przywilejów.

Tęj nocy Klima nie nagliła siostry, by salony państwa Vansocken opuścić. Za to margrabia de Groeck, po owym kadrylu, przetańczonym ze stateczną już gospodynią domu, uznał, iż obowiązki wszelkie wypełnił bohatersko i począł zawzięcie ziewać za „*chapeou-claque'iem*”. Oparł się plecami o freskowaną ścianę sali, a leniwem okiem rozglądał się machinalnie dokoła. Chwilę oko jego zatrzymało się na żonie, która w walcu lekko jak koliber przefrunęła tuż koło niego, wsparta na ramieniu Bertranda Vansocken.

— Ta małpa na dobre do mojej żony się umizga — pomyślał i ziewnął znowu.

„Małpą” miał być Bertrand, a doprawdy nie zasługiwał na taki tytuł, bo nikt więcej, niż on, od teorii Darwina nie odskoczył.

Wysoki, niezmiernie zwinny i zręczny, blondyn o męzkim, pełnym energii profilu, o pięknym, nieco ciemniejszym od włosów wąsie, o ciemno-szafirowych oczach.

Ale na cóż się to zdało opisywać rysy czyjeś, kiedy wyrazu twarzy nigdy w słowach uwięzić nie można. Zawsze to samo co do zewnętrznych cech się powtarza w opisie — wiecznie to samo aż do znużenia, aż do śmiesznej banalności. Brunet, szatyn, albo blondyn — gdy czarny charakter, to rudy dla odmiany.

Oczy albo czarne, albo niebieskie, albo szare; profile o czystych liniach, albo też bez pretensyi do klasyczności. Wąsy — albo broda i wąsy.

Z tego zaczarowanego koła wydobyć się nie można. A o tem czemś, co stanowi odrębność fizjonomii, nic się nie da powiedzieć, nic przynajmniej, coby oddawało wiernie wzrok, czy to zapał, czy to myśl głęboką, wszystko razem, piętnujące rysy i nadające im charakter odrębny.

Nie wystarcza powiedzieć, że Bertrand Vansocken był pięknym. Na jego twarzy znać było ślady myśli i energii i jakiejś poezyi, pełnej uroku. Sym-

patyczny był — niezmiernie sympatyczny, a tylko bardzo uprzedzony mężczyzna, zazdrosny, jak mężczyzna zazdrosnym być potrafi, bezwiednie, machinalnie, z całą naiwnością — tylko taki mężczyzna mógł Bertrandowi mieć coś do zarzucenia, tak, jak mu Vero de Montroye jego pochodzenie bankierskie zarzucał, a margrabia de Groeck do małpy go porównywał.

Gdyby nawet młody Vansocken wiedział o tych zarzutach, nie byłby ich brał do serca. Nie dbał tak bardzo o tę zdawkową opinię salonów; jeżeli dbał, to mniej o męskie języki i zdania, niż o kobiece. Kobiety zaś jednogłośnie protegowały pięknego i sympatycznego chłopca.

Lila miała prawdziwą słabość do niego i nie ukrywała jej. Znali się od kilku miesięcy, zawsze miała dla niego walca albo kadryla w zapasie, z nikim równie dobrze się nie bawiła.

— A ja panu mówię,—dowodziła poważnie, gdy z wiru walca na miejsce powrócili — że taniec nie jest tak idyotyczną zabawką, jakby się to napozór wydawać mogło. Ludzie potrzebują jakiegoś ruchu wirowego, jak wszystkie światy. Człowiek, to także światek, to jego stan anormalny, że krążyć nie może.

— Ja tak daleko nie sięgam; na inną hipotezę prędkiejby się zdobył. Kto lubi najwięcej tańczyć? Małe dzieci i młode kobiety, bo były kiedyś aniołami, skrzydła je unosiły w przestrzeń, a taniec najwięcej

do lotu zbliżony ze wszystkich ruchów naszych. Na starość, gdy kobiety zapominają już, że były aniołami, tańczyć im się odechciewa.

— Czy tak, czy inaczej, rodzimy się z wrodzoną potrzebą tańca, doprawdy — i my i dzikie ludy. W Grecyi starożytniej tańczono i w Assyryi, i w Babilonie.

— Niech pani nie mówi o Babilonie, gdy patrzę na Vera de Montroye.

— A to dlaczego?

— Zaraz mi Nabuchodonozor do głowy przychodzi. Spójrzyj pani na jego impertynencką minę; jego pycha zostanie kiedyś ukarana w tenże sam sposób, co króla Babilonu.

— A jak to było? Bo widzi pan, ja już oddawna zapomniałam historyi; pamiętam tylko, że wszędzie tańczono.

— O, to była straszna historia; jako kara za pychę, w wołu został zamieniony i musiał gryźć trawę na łąkach.

— Okropne! Trawę, tylko trawę? Niech Bóg broni; ja bardzo Vera lubię.

— Siostra pani, zdaje mi się, jeszcze więcej.

— I ona go lubi. Nic dziwnego, on dosyć starań do tego przykładu. Biedny Vero!

— Dlaczego pani go żałuje?

— Bo moja siostra, to bryła lodu, nawet, gdyby

ją kto zdobył, jeszcze w mgłę-by się rozplynęła. Nikt jej nigdy nie pochwyci.

— To fatalne. Siostra pani zanadto piękna; w czasach tego samego Nabuchodonozora, którego wywoływaliśmy dopiero co, sprzedawano zanadto piękne kobiety, aby ich cenę dać jako posag brzydkim. Miano słuszność do pewnego stopnia, bo zanadto piękne kobiety zwykle mało serca mają. Brzydkie tyle posiadają skarbów czułości, ukrytych pod niepozorną powłoką. Jednak bez posagu w dodatku, nikt nie sięgnąłby po te skarby serdeczne.

— Jaki pan złośliwy! Niech mi pan wierzy, że Klima posiada najgorętsze serce pod słońcem dla wszystkiego: dla biednych dzieci, starców, psów i kotów, tylko nie dla starających się o jej względy.

— I dlatego mówisz, margrabino, „biedny Vero”?

— Naturalnie, bo i on daremnie czas traci.

— Nie wiem, czy daremnie; mojem zdaniem, jeżeli kto ma szanse, to on; ale szanse niezasłużone.

— Jakto? On taki zakochany!

— Nie, pani; jemu śmierć z pęknięcia serca nie grozi; żal jego serca nie rozsadzi. Ja lubię obserwować, a siostra pani interesuje mnie bardzo, choć proszę mi wierzyć, interesuje mnie... bezinteresownie. To głęboka dusza, w której lubię wzrok zanurzać i co mogę decyfrować; takich panien nie znam w Paryżu. Ucieka od niebezpieczeństwa z takim zapalem, że

gotowa nie spostrzedz przepaści, jaka się znaleźć może w tym szalonym odwrocie.

— Nic a nic nie rozumiem.

— Chciałbym być złym prorokiem i pragnę, aby tego, co mówię, nigdy pani zrozumieć nie potrzebowała.

— Więc pan nie znajdujesz, że Vero bardzo w niej zakochany?

— Nie, pani. On zanadto kocha siebie samego, nigdy nie będzie miał dla kobiety, choćby tak pięknej, jak siostra pani, wiele zbywającego uczucia.

— Po czém pan sądzisz?

— Po oczach. Pani, czego oczy nie wyśpiewają! Kto patrzy na sposób zachowania się w ogóle, ten wątpić nie może, że de Montroye ubiega się o względy panny Klimy. Ale ja patrzę na jego oczy; tam niema zakochania. Oczy zakochane tak dążą za ukochanym przedmiotem, jak żelazo za magnesem; dążą, bo inaczej nie mogą. Gdybym był zakochanym w której z tych licznych pań i panien, które tu krążą, to, rozmawiając z panią, patrzyłbym na prawo, na lewo, przed siebie, w jeden punkt; ale zawsze tam, gdzieby się znajdował mój magnes. Tańcząc, grając w karty, rozprawiając o filozofii, emablując inną kobietę, moje oczy zawsze, uparcie tamtęjby szukały, za tamtąby goniły — za magnesem. Vero de Montroye ma wzrok roztargniony, kiedy panna

Klima jest zdala od niego. Oczy jego nie potrzebują jęj. To nie miłość, wierz mi pani.

— A ja tak kocham mego męża, jednak oczy moje nie dążą tylko za nim.

— Pani tak często powtarzasz, że go kochasz, jakbyś chciała wmówić w siebie lub w drugih...

— Ach! jaki pan niedobry, szkaradny; jak można wątpić o tém? Za karę już panu dziś żadnego tańca nie dam. Gniewam się, doprawdy, bardzo się gniewam...

Lila nie była straszną w gniewie swoim, a Bertrand patrzył na nią z zachwytem i byłby tak patrzył bez końca, gdyby nie zbliżenie się margrabiego, który zwrócił uwagę żony na spóźnioną porę i ramię jęj podał, aby ją zabrać z sobą.

Jako wice-gospodarz, Bertrand odprowadzał gości, a zarzucając futro na ramiona Lili, odczepił z ręcznie gałązkę bzu.

Wkrótce potem stał w „fumoarze” między palącymi, ale nie mieszał się do rozmowy. Myśl jego uleciała widocznie; trzymał gałązkę bzu w ręku i obracał nią machinalnie.

Ktoś go trącił zlekka — kobieca ręka, ręka matki spoczęła na jego ramieniu. On zdawał się wracać z daleka.

— A! to mama?

— Tak, to tylko mama — odparła z uśmiechem

sympatycznym pani Vansocken. — Może myślałeś, że to właścicielka bzu?

Zmieszał się trochę.

— Bzu? — zapytał zakłopotany — czy dlatego, że bez trzymam w ręku? Ależ to mój ukochany kwiat, *les lilas*.

— Lila, tak, w liczbie pojedynczej. Obserwowałam cię, chłopczę. Idziesz wbrew moim pragnieniom; mylisz się między siostrami. Nie parz sobie rąk niepotrzebnie. Ja tamtę dla ciebie przeznaczyłam.

— Klimę? Nie, mamo, to nad moje siły. Zanim się opatrzyłem, ta mi serce zabrała, i wiem, że źle mi będzie na świecie.

Nie dał matce czasu na odpowiedź. Czy mu głos zadrżał, czy nie chciał, by w jego smutne oczy w tej chwili spojrziała, opuścił nagle miejsce medytacji i znikł w tłumie osób.

VI.

Już balsamiczny oddech wiosny na skrzydłach z południa zawitał, zwiastując prędki wjazd tryumfalny królowej najmilszej, najpiękniejszej, najpożądanej, strojnej kwieciami i motylami, okrytej płaszczem liści szmaragdowych.

Wszystkie kobiety piękniejsze, świeższe, młodsze; u starych nawet słońce wiosniane jakiś odblask

młodości w oczach zapaliło. Pierwsze jego promienie witane były z takim zapalem, że na ulicach same tylko wesole twarze spotkać było można.

Gdyby któremu z duchów zaświatowych pokazać można było ludzkość, gdy się wygrzewa pod pierwszym ciepłym promieniem i pije pierwsze świeżych pączków aromaty, to duch taki wróciłby do swoich, opowiadając, że to, co my ziemią nazywamy, jest przybytkiem istot uśmiechniętych, swobodnych, szczęśliwych.

Duch ten zgrzeszyłby, niestety, zbyt pobieżnym sprawozdaniem; ale nie o to chodzi w tej chwili, tylko o prześliczne wiosenne toalety dwóch siostr: Klimy Sieniawskiej i Lili de Groeck, toalety, które furorę robiły na święconem u hrabiostwa D.

W dwóch salonach długie stoły uginają się pod srebrną zastawą i polskimi przysmakami. Co jak co, ale zalet ukrytych w naszym podniebieniu nigdy nam nikt nie odmówił.

Jeść, stojąc, niewygodnie bardzo; trzymać razem i nóż, i widelec, i talerz, emablować przytęm sąsiada lub sąsiadkę, to już herezyą trąci i lekceważeniem dawnych tradycyi, które nakazywały jeść z namaszczeniem, wiedzieć i oceniać, co się w usta kładzie.

Pod tym względem skarłowacieliśmy. Dowód, święcone u hrabiostwa D.

Grupy pań i panów, to liczniejsze, to mniej liczne, porozrzucane w obydwóch salach, stojąc po wię-

kszej części z talerzem w ręku, udają, że jedzą, ale to pretekst tylko do rozmowy.

Dziwna rzecz, jak ludzie mają sobie wiele do powiedzenia.

Pan de Fondres i jego cień, księżę de Moussy, tłumaczą lady Macgrove początki pogańskie jeszcze tej uroczystości.

— To już do zamierzchłej przeszłości należy — mówił pan de Fondres, człowiek najlepiej poinformowany z całego Paryża: wie wszystko. — To datuje się jeszcze z czasów migracyi ludów — mówił dalej z przekonaniem. — Między emigrującymi rej wodzili Słowianie, wtedy inaczej zwani, bo oni mieli zawsze najniespokojniejszego ducha, który im już wtedy w miejscu usiedzieć nie pozwolił. Otóż, ciągnąc tak długim szlakiem ze wschodu na zachód, ludy wędrowały długo bardzo.

— Piechotą?

— Różnie bywało, jedni piechotą, drudzy konno, trzeci karetą.

— Na resorach, w landau od Beckera.

— *Voyons, ne m'embrouillez pas.* Otóż wędrowali całe lata, a wiosnę witali zawsze wielkimi libacyami, uradowani.

— Że ciepło wróciło, domyślamy się.

— No, tak, że ciepło wróciło.

— Bo byli tacy między nimi, którzy futer nie

mieli, tylko lekkie przepaski indyjskiego pochodzenia — tłumaczył książę de Moussy.

— Niech mi wolno będzie dokończyć. Otóż zwyczaj witania wiosny libacyami, jedni tylko Słowianie, lubiący bardzo...

— Jeść i pić.

— Ależ nie, lubiący wszelkie tradycje (naród konserwatywny), oni jedni zachowali ten obyczaj, a kiedy później, znowu na wiosnę, zaprowadzono u nich chrześcijaństwo za czasów króla... króla...

— *Passez.*

— *Je ne passerai pas!* To historyczne: za czasów... Jana Sobieskiego, połączyli wtedy pamiątki pogańskie z chrześcijańskimi i mamy wielkanocne święcone.

Gdy tak de Fondres rzucał krótki zarys historii polskiej olśnionej jego erudycją lady Macgrove, w innej części sali baronowa Nörten prowadziła ożywioną dysputę z hrabią Skandenbergiem. Zainteresowała ich żywo najnowsza powieść Maupassant'a z „*Revue des deux Mondes*”.

Baronowa, wielbicielka talentu mistrza szkoły realistycznej, unosiła się nad wszystkiem co wyszło z pod jego pióra; bezwzględnie poczytywała jego utwory za arcydzieła.

— Krytyka, podług mnie, stawia Maupassant'a za wysoko — mówił Skandenberg. — Jest on mistrzem, temu nie przeczę. Może nikt mu nie zrówna

w dosadności określeń. To, co chce odmalować, maluje barwami i cieniami tak subtelnie dobranymi, że jedno słowo przestawić, zmienić, albo dodać, a zesnułoby się to wrażenie, jakie autor miał zamiar wywołać.

— W takim razie cóż mu pan zarzucasz? — pytała baronowa Nörten, wielbicielka Maupassant'a. — Nie przypuszczam, abys go pan potępił za to, że do tej, a nie do innej szkoły należy, zanadto jesteś pan rozumny na taki zarzut.

Hrabia głowę z uśmiechem sklonił na znak podziękowania za komplement.

— Szkoła, — rzekł z pewnym wahaniem, jak gdyby się namyślał, co ma powiedzieć — szkoła, do jakiej się należy, tak, rzeczywiście, to krytyce ulegać nie powinno. Szkoła w sztuce, religia i narodowość powinny być nietykalne. Mahometanin może być wielkim artystą, Japończyk mędrcom i realista skończonym poetą. Mnie osobiście może być ta albo inna narodowość niesympatyczną, ta albo owa religia, ten lub inny ideał w sztuce, ale to są poglądy czysto osobiste, a niema mowy o krytyce, jeżeli nie umiemy obiektywnie patrzeć na rzeczy. Aby sądzić bezstronnie, musimy wyjść z siebie samych, a takie wyjście ze swęj własnej osoby, to najtrudniejsza rzecz pod słońcem. Dlatego bezstronnej krytyki prawie się nie spotyka, spotyka się tylko subiektywne zapatrywania.

— A przecież powiedziane jest: *La critique est aisée, mais l'art est difficile.*

— Tak, stronna krytyka jest łatwą; każdy to potrafi. Ale bezstronna, mądrze umotywowana, oparta na ogólnych, a nie osobistych pojęciach, to *rara avis.*

— Więc cóżbyś, hrabio, jako bezstronny krytyk, zarzucił Maupassant'owi?

— Zarzuciłbym mu w ogóle, a specjalnie w jego ostatniej powieści, „*Notre coeur*” zatytułowanej, że się rzuca na psychologię, gdy powinien zostać tylko w krainie fizjologii. Jedno z drugim ma ścisły związek, to prawda, ale jednego pojęcia z drugim mieszać nie można. Niewiadomo wprawdzie, gdzie się kończy psycho-, a zaczyna fizjologia, ale wiadomo, że to, co jest pierwiastkiem duszy, abstrakcyjnym, tajemniczym, różni się znacznie od tego, co jest materyalnem, zmysłowem, dającym się matematycznie obliczyć.

— Pan dowodzisz, że Maupassant nie jest psychologiem?

— Twierdzę to stanowczo. Jego bohaterowie i bohaterki, to bardzo mądre, ucywilizowane zwierzęta, posiadają zmysły rozwinięte do zenitu, ale serce, uczucie szlachetne, myśl wyższa, wznioślejsza, to się u nich nie odzywa. Zarzucam ostatniej powieści głównie zły wybór tytułu. Zamiast „*Notre coeur*”, powiedzmy „*Nos sens*”, a będziemy mieli wspaniałe

studyum fiyologiczne, arcydzieło w swoim rodzaju, tylko z niego wyraz „serce” wykreślić trzeba.

— Są jednak ludzie, którzy w ten sposób mają serce zorganizowane.

— Nie, pani. Są ludzie, którzy nie są zdolni do uczucia abstrakcyjnego, duchowego; u tych serca, w psychiczném tego słowa znaczeniu, nie ma; u tych są tylko zmysły. Wielu jest takich, głównie mężcz. Kobiet naturalnie mniej. Szkoła realistyczna jest dla mnie osobiście niesympatyczną; jéj adepti tak zmysłowo wszystko pojmują i traktują. Weźmy taką „Chérie” Goncourta. Podaje on ją za typ młodéj panienki z najlepszego towarzystwa. Według wszystkich danych, młode stworzenie, żyjące w wyrafinowanéj atmosferze, powinno mieć choć nieco uczucia wyrafinowanego. Tymczasem Chérie nikogo nie kocha, jest potworną egoistką, ze zmysłami rozpasanemi aż do chorobliwości. Zmysły ją zabijają w dwudziestym roku życia; do téj pory nie umiała kochać ani jako córka, ani jako przyjaciółka. Serce w niej nie istniało, histeryczka, pusta, próżna, antypatyczna — i to ma być typ młodégo dziewczęcia? Niech Pan Bóg broni! Różnie życie wpływa na charakter i rozwija różne dane od natury, ale w młodym wieku każda kobieta kochać potrafi sercem, bezinteresownie matkę, siostrę, przyjaciółkę, narzeczonego; zdolna jest do poświęcenia, a poświęcenie to już z pewnością z fizyologią nic nie ma wspólnego. To

jedno zarzucam realistom, że abstrakcyi, w szlachetnym jęj kierunku, albo nie uznają, albo nie rozumieją jęj. Nawet miłość macierzyńska jest u nich li tylko na zwierzęcym instynkcie oparta. Powtarzam jednak, że są w szkole tęj skończeni artyści. Skończonym artystą być można, malując główkę kapusty, ja zaś wolę Madonny Rafaela — to rzecz gustu.

— Czy i Bourget nie jest psychologiem? — z pewną ironią zapytała baronowa, chcąc a nie umiejąc bronić swoich faworytów.

— Bourget, to co innego. Podług mnie, zbadał on serce kobiece, jak nikt inny. Albo je zbadał, albo prędzęj ma intuicyę serca kobiecego, bo każdy wielki talent więcęj na intuicyi, niżli na nauce się opiera. Ma on intuicyę serc kobiecych, ale nie tych prostych, ewangelicznych, o duszy przejrzystęj i prawęj. On albo takięj nie zna, albo go nie interesuje. Dlatego może wiele kobiet, należących charakterem do dawnych stuleci, Bourgeta nie pojmuje, szczególnięj te, których umysł nie jest wyćwiczony w analizie. Bourget przedstawia typy skomplikowane, ale takie prawdziwe, takie wierne w najsubtelniejszych odcieniach. Im trudniejsze jest rozwikłanie duszy kobiecej, choręj nieraz, tēm Bourget z doskonalszēm mistrzostwem wywiązuje się z zadania. Każdy nerw kobiecy drga pod jego piórem, najtajniejsza myśl wydobyta z głębin jęj mózgu. Natura skomplikowana, pełna najsprzecznieszych uczuć, szlachetna

i prawa, a w chwili egzaltacyi zdolna do czynu nikczemnego; smutna, tragiczna nawet, a w niektórych okolicznościach oburzająca wstrętna; tu boleje nad własną niedoskonałością, a za chwile potém dąży do złego ze świadomością siebie i bez wyrzutu sumienia — to są typy Bourgeta, typy z końca XIX stulecia, ale tętni w nich życie, bije serce gorące, pełne często najszlachetniejszych pierwiastków, pracuje w nich umysł, pełen subtelności, wyrafinowany, sympatyczny, wykształcony, bez pedanteryi, filozoficzny bez pretensyi i pozy. Tak, Bourget, to psycholog — psycholog specjalista od niektórych specjalnych stanów duszy — psycholog niebezpieczny, bo wszystko uniewinnia — dużo rozumie, więc tak dużo wybaczyć jest w stanie; też głęboko lituje się nad cierpieniem znękanęj duszy niewieścięj, że choć dusza ta znękana jest zbrodnią, to mimowoli odczuwamy dla nięj sympatyę autora. A to niedobrze, bardzo niedobrze, bo złe powinno w naszém pojęciu złem pozostać; inaczej daleko musielibyśmy zajechać z naturą skłonną do złego. To niedobrze, a szczególnie niebezpiecznie dla kobiet. Mężczyzni powinni czytać Bourgeta, bo nauczyliby się obserwować kobietę, a obserwować ją i poznać ją, to znaczy życie znośniejsem jej uczynić. Ale dla tego właśnie, że mężczyznom bardzo jest wygodnie z utartymi oddawna zapatrywaniami, z ogólnikowem pojęciem o kobiecie i jedną miarą dla wszystkich, dlatego Bourgeta nie

lubią, nie wiele go czytają, a gdy czytają, nie uznają w nim jego głębokięj intuicyi. Przeciwnie, intuicyę tę traktują jako pozę i blagę.

— O tak! — zawołała baronowa, wznosząc oczy ku niebu — mężczyźni powinni czytać Bourgeta. Taki Vero de Montroye — pan go znasz? On także oddaje kobietom sprawiedliwość. Cudne są jego „Orchidee”. Czytałeś pan?

— A jakże! — i z trochęj ironicznym uśmiechem cytował Skandenberg kilka wierszy z nowego zbioru poety: „Myśl moja, jako ptak zraniony, o każdęj porze, o każdęj godzinie leci na spotkanie tęg...”

— *Psst, voilà l'auteur!*

Państwo ci stali przy drzwiach; w tychże samych drzwiach ukazał się w tęg chwili Vero de Montroye, zawsze z tęg samęm rozmarzeniem w tęsknych oczach, z tęg samą wielkopańską nonszalancyą w ruchach. Ledwie wszedł, panie kołem go otoczyły. Formalna owacya.

— „Orchidee”, „Orchidee!” Panie de Montroye, to cudowne! To przechodzi wszystko, co poeta dotąd wymarzył. Winszujemy. *Quel succes!*

A pani d'Astrée tłómaczyła świeżo przybyłęj do Paryża miss Fortescue, że „Orchidee”, to tytuł najświeższych poezyi.

— *Vous comprenez.* Każda orchidea nieledwie ma inną formę, jedna podobna do ptaka, druga do słońca, inna do wazonu, inna do przyrządu tortur.

Otóż, widzi pani, Vero de Montroye, to wielki poeta. Każda orchidea, według tego, co formą przypomina, tworzy temat wieszczą; a pojmujesz, jakie to może być pełne fantazyi, coś, co jest nawpół kwiatem, nawpół ptakiem, albo nawpół kwiatem, a nawpół motylem, *vous comprenez?*

Miss bardzo ładną główką kiwała z namaszczeniem, ale rozumiała tylko nawpół, bo pani d'Astrée bardzo prędko po francusku mówiła, a miss Harriet знаła głównie język francuski z metody Ollendorfa.

Tymczasem panie zachwycaly się w dalszym ciągu poetą, może więcej jeszcze, niż jego poezjami; byłyby go nawet ukoronowały na sposób grecki, ale nie wypadało dla poety zrywać wawrzynów z pomiędzy szynki i pieczeni różnych; że zaś w dwóch salach kwiaty zdobiły tylko stoły ze święconem, Montroye bez wieńca laurowego obejść się musiał.

Dostał za to więcej, niż wieniec laurowy: spojrzenie precudne, jakie mu ciemne oczy Klimy przysłały.

Skierował się ku niej; dyskretne towarzystwo usunęło się na bok, bo chociaż nikt dokładnie nie wiedział o zaręczynach panny Sieniawskiej z arystokratycznym poetą, szeptaną jednak między sobą, że taki obrót pewnie rzeczy wezmą.

— Chciałem pani moje „Orchidee” zadedykować. Czekałem z niemi tak długo, aby mieć tę wielką satysfakcyę i napisać na pierwszój stronie *à ma*.

fiancée i zabroniono mi szczęścia tego, to okrucieństwo.

— Cierpliwości, jeszcze trochę cierpliwości, już mama prawie ujęta. Obiecała mi, że zanim wyjeździemy z Paryża do kraju, wolno nam będzie ogłosić publicznie nasze zaręczyny.

— Ale już „Orchidee” pani dedykowane nie będą, a ja o tém marzyłem; pani je natchnęłaś, to twój ulubiony kwiat, to twoje dzieło.

— W drugiej edycyi zadedykujesz mi je pan. Albo też natchnę cię do nowego tomu poezyi, zatytułujesz je „Jaskółki”, to mój ptak ulubiony.

Klima sama w jaskółkę zmieniła się dnia tego.

Maleńki kapelusik z kilku jaskółek się składał; na szaro-niebieskim tle sukni jaskółki haftowane ślicznie robiły efekt swemi czarnemi skrzydłami a srebrną piersią. Kołnierzyk sukni spięty był też jaskółką, w której skrzydełkach połyskiwały bardzo ciemne szafiry.

Nie wiadomo tylko, której z dwóch sióstr ładniej było w tej toalecie.

Lila jedna może, między tylu paniami, zaszczyt przynosiła święconemu. Jadła z prawdziwym apetytem; miło było patrzeć na drobne, połyskujące jej ząbki, które zamykały się z zacięciem na każdym kawałku indyka „à la Daube”. Głodna była, bo z myślą o święconém, wypila zrana tylko filiżankę herbaty.

Kilku panów wieńcem ją otoczyło, sadząc się dla niej na dowcipy, ale ona jakaś zamyślona była widocznie. Apetyt służył, za to humor uciekł.

Uciekł — i nie bez powodu.

Tak serdecznie prosiła męża, z najładniejszą minką, na jaką się zdobyć mogła, aby jęj towarzyszył do kościoła w pierwsze święto Wielkiejnocy.

— To takie wielkie święto — przekładała mu — nie odmawiaj mi tego.

— Jeżeli to takie wielkie święto, to nie grzesz i nie irytuj mnie. Daj mi pokój!

— Czemużbyś nie mógł zrobić mi tej wielkiej łaski?

— Tobie, czy Panu Bogu? Bo ja nie wiem o kogo tu właściwie chodzi, o twoją fantazyę czy o... *Sapristi!* nie nudź mnie.

— To nie moja fantazyja, Karolu, ale to obowiązek, wierz mi; przecież nie jesteś poganinem.

— Właśnie, że jestem; jeżeli pod tym warunkiem dasz mi pokój, to jestem poganinem, ludożercą, czém chcesz. Nie mówmy o tém. Nie stawiaj sobie za zadanie zbawiać moją duszę. Pilnuj swój; ciągle ci na bale ucieka i koło modnych kapeluszy krąży; radzę ci trzymać ją na wodzy, a mojej dać pokój.

Lila czuła instynktem kobiecym, że nic nie zdoł będzie, oprócz impertynencyi, jeżeli atak przedłuży,

więc wyszła z pokoju męża, upokorzona i z oczami pełnemi łez.

Modliła się bardzo gorąco w czasie mszy; goręcej, niż zwykle; to ją uspokoiło. Powróciła do domu z sercem, w którym nie było już cienia żalu do męża. Liczyła na pewne, że jej towarzyszyć będzie do hrabiostwa D. Zdawało się jej, że bytność na święconem jest zamanifestowaniem swęj narodowości, a dla oczu ludzkich pragnęła, aby i mąż jej, choć w tej jednéj chwili i tym jednym sposobem zaznaczył swoje sympatyje dla zwyczajów, panujących w kraju, z którego żona jego pochodziła.

Gotowa już zupełnie do wyjścia, wsunęła się do jego pokoju z zapytaniem na ustach:

— Dlaczego mój pan tak się długo stroi?

Ale dokończyć nie miała czasu, bo spostrzegła męża w rannym negliżu, rozłożonego w głębokim fotelu, z „Figarem” w ręku.

— Karolu, już pierwsza! — zawołała przestraszona — spóznimy się okropnie!

— Ty się spóznisz, ale ja nie, bo ja się nigdzie nie wybieram.

— Nie zrobisz mi téj przykrości.

— Zrobię ci dużo większą, jeżeli mnie tak co godzina dręczyć będziesz. Czy nie dosyć piły, że się nie ma dziś gdzie podziać? Nie ma idyotyczniejszej dziury pod słońcem od Paryża. Niby to świąt nie święci, a święci; niby to wszystko idzie

codziennym trybem, a wszędzie czuć kadzidło i chora-
gawie kościelne. Nie cierpię Paryża w pierwszy
dzień świąt, *la plus bourgeoise entre toutes les villes de
l'univers*. Zły jestem nie drażnij mnie, bo ostrzegam
cię, że gryzę.

— Myślałam, że choć te kilka godzin spędzimy
razem. U nas w kraju wszyscy się gromadzą dnia
tego przy święconém; najdalsza rodzina nawet.

— Co mnie, u licha, do tego, co u was w kraju
robią? Już mam dosyć głupstw do znoszenia w moim.
Gdybym chciał wszystkie chińszczyzny wszystkich
krain pod słońcem obserwować, tobym się sam oddał
do Salpêtrière. Radzę ci się spieszyć — kończył
uprzejmie, nie podnosząc oczu od wstępnego artyku-
łu „Figara”. — Zjedzą wszystko *et madame protégé
les dindes truffées*. Smacznego apetytu.

I teraz Lila, zajądająca indyka, nie słucha, co do
niej orszak jęj mówi; w uszach brzmi jęj odpowiedź
męza: *Madame protégé les dindes truffées* — i z pewną
złością, z chęcią zemsty na kimś lub na czémś, zają-
da swego indyka.

Trochę pokrzepiona na duchu kieliszkiem Clareta,
weselej spojrziała dokoła. Wzrok jęj zatrzymał się
na Bertrandzie, który w tęg chwili miał w nią oczy
wlepione. Zmieszał się bardzo, złapany na gorącym
uczynku bałwochwalczego spojrzenia. Ona nie spo-
strzegła jego zmieszania; uśmiechnęła się do niego

oczyna i ustami, serdecznie po przyjacielsku i skinięła na niego zdaleka.

Zbliżył się, bo przecież tego nie mógł sobie poprzysięgać, że gdy ona sama go zawoła, on nie przyjdzie.

Już więcej, niż zwykłej siły woli potrzebował, by sobie dać słowo, że sam siebie utrzyma na wodzy i że się w cień jej nie zamieni, a jednak być jej cieniem, zdawało mu się szczytem marzeń.

Zbliżył się.

— *Bonjour, marquise.*

— Jaki pan niegodziwy, jajkiem nie podzielisz się ze mną? Gdzież jajko? Proszę poszukać, przynieść, a potem życzyć sobie będziemy.

Rozkaz został spełniony. Z kawałkiem zółtka na czubku widelca, nie jest to najbardziej malowniczą i najklasyczeńszą pozą dla dwojga młodych, choćby równie pięknych, jak Lila i Bertrand Vansocken.

Nie jest to także najpoetyczniejszą chwilą do uniesień i zachwytów sentymentalnych, ale kto duszę ma w ciągłym uniesieniu, dla tego i jajko wielkanocne dobre, by ją rozbijać i rozkołysać w idealny sposób.

— Czego panu życzyć? — zapytała Lila.

— To, czego pragnę, nie jest z tego świata, a więc niczego.

— Jakto nie z tego świata? Czyś pan na innym zawierał znajomości? Może się pan kochasz w jakim duchu? Może pan zajmujesz się spirytyzmem?

— Nie, pani. Żałuję bardzo, ale duchy lekceważą mnie. Pomimo nawoływania, żaden mi się nigdy nie chciał ukazać. Ja tego, czego pragnę, na tym świecie nie zdobędę, a i na tamtym nie. Doprawdy, nie wiem, jaki mój cel w życiu, kiedy to, dla czego zostałem stworzony, jest dla mnie niepochwytnem.

— Paradoks. Najlepszy dowód, żeś pan dla tego *czegoś* nie został stworzony.

— Widocznie zostałem, kiedy tęp jedném tylko żyję, oddycham, o tęp tylko myślę, temu wszystko oddałem, serce i duszę. Jeżeli jest się stworzonym na to, czém się jest... *ergo*...

— Ależ to fatalne! Będziemy pana leczyć, pocieszać. Czego panu potrzeba? Lekarstwa czy pociechy?

— Niczego, pani. Wyleczyć się nie chcę, a pociechy zaznać nie mogę, chociażbym chciał...

— Jakież to straszne! Zdaje mi się, że słyszę którego z bohaterów Byrona. Pamięta pan „Giaura”: „Chciałbym mieć pokój, ale go czuć nie chcę” — zacytowała Lila po angielsku żartobliwym tonem.

— A dalej? umie pani na pamięć:

„Zaiste, miłość jest świętym pożarem,
Iskrą zatloną w ogniach nieśmiertelnych

Aniołów dobrem, Wszchemocnego darem,
Balsamem rajskim dla serc skazitelych.
Pobożność duszę w niebiosa porywa,
Ale z miłością niebo w duszę spływa!
Uczucie, które bóstwom zapalamy,
Które wytrawia wszystkie myśli plamy,
Jest to promyczek wszechwórczego słońca,
Korona, duszę wokoło wieńcząca!⁴

cytował Bertrand w oryginale to, co na nasz język przełożono tak cudnie.

— Mam nadzieję, że pańskiej „Leili” nie utopiono, boby mi pana okropnie żal było — mówiła Lila, żartując dalej.

— Niech Bóg broni! żyje, ale nosi kajdany, których ja rozkuć nie potrafię. Nie mówmy o tém. Ja jeszcze nie pytałem, czego mam margrabinie życzyć?

— O! mnie mnóstwo rzeczy. Nigdy dosyć. 1) żeby mój mąż na mszę chodził, 2) żeby mój mąż humor zmienił...

— Czy wszystko będzie o mężu?

— Nie, teraz o dzieciach... żeby Lulu nie był do wszystkich mężczyzn podobny.

— Jakto? Tylko do kobiet?

— Do bohaterów z angielskich powieści, bo ci mężczyźni, którzy nie w druk, ale w ciało i kości są zakłęci, to najgorsze rozczarowanie, jakie przeciętną kobietę spotkać może. Potem, żeby moja córka...

— Podobną była do matki.

— Ale gdzie tam! Jeszcze pan gotów w złej chwili wymówić; niech będzie podobna do Klimy i niech wyjdzie za mąż...

— Za szacha perskiego, który się dla jej miłości ochrzci.

— Nie warto być ani królową, ani kobietą, przyznam się panu. Zwykłej kobiety także niewdzięczna rola, nie ma środka, albo się jest ofiarą, albo katem, i jedno i drugie niemiłe.

— Bardzo!

— Albo mąż żonę tyranizuje, albo sam jest pantoflem, co żonie zaszczytu nie przynosi. Albo o kobiecie mówią: „biedna, nieszczęśliwa”, albo też *lic mulier*, a tak jedno, jak drugie, jest mniej, niż przyjemne.

— Bardzo!

— Albo kobieta jest wykształconą i rozumną, wtedy mówią o niej: *bas bleu*, „pedantka”, albo Bogu ducha winna, książki nie bierze do ręki: „gąska głupiotka”. Albo w domu siedzi i dzieci pilnuje: „*Une provinciale*, zacofana, nieinteresująca”, albo bywa w świecie, bawi się, wesola: „Kokietka, wietrznica, pstro w głowie” — i tak wkółko.

Lila lubiła mówić; głos miała prześliczny, dźwięczny i dzwoniła nim, jak srebrnym dzwonkiem przy każdej sposobności, byle było komu słuchać.

A Bertrand słuchał tak chętnie; nieraz nie wie-

dział sam, o czém urocza margrabina mówi, ale słu-chał z rozkoszą i patrzył z zachwytem.

— Przyznaj pan, że niechciałbyś być kobietą — kończyła Lila.

— Bardzo!

— Co pan mówisz? Idę o zakład, że pan nie wiesz, o co pytałam? Nie wiesz, naturalnie. Dużo-
bym dała, żeby odgadnąć, o czém pan tak zamyślo-
ny? O czém pan myślałeś?

Bertrand nie zdążył odpowiedzieć, gdy księżna de Poligny zbliżyła się do córki.

— Idziemy—rzekła, widocznie nie zbyt zadowo-
lona, a może też nie lubiła Bertranda, bo nie podała
mu ręki, chłodno tylko skinęła głową.

Po chwili Klima także złączyła się z matką
i siostrą.

Powóz na nie czekał, ale tak było pięknie, słońce
tak złociło wszystko dokoła i rozweselało swym wio-
senym blaskiem, że Lila radziła, by piechotą wracać.

Radę przyjęto, powóz odesłano, a Lila idąc obok
matki, starała się rozerwać ją rozmową, widząc smu-
tek na jej twarzy. Klima szła naprzód o kilka kro-
ków; widocznie głęboko zadumana.

— Mamusiu, proszę się uśmiechnąć, raz, raz jeden.
Ja tak lubię uśmiech mamy—przymilała się Lila.

Ona byłaby chciała wszystkich z uśmiechem na
ustach widzieć.

— Moje dziecko, trudno mi się śmiać. Mam zmartwienie i z sobą i z każdą z was.

— Ze mną, mammo, ze mną także? Co ja robiłam? Powiedz, mammo, przecież ja ci zmartwienia nie robię.

— Robisz, moja droga, bezwiednie może, ale robisz. Dlaczego pozwalasz otaczać się całej tej fałandze? Mogą ci ludzkie języki zaszkodzić, a pamiętaj, kochanko, że im mniej o kobiecie mówią, tym lepiej. Takiemu Vansocken np. zanadto wiele masz do powiedzenia.

Lila wielkimi, zdziwionymi oczyma spojrzała na matkę.

— Bertrand Vansocken?—pytała.

— Nie jestem ciekawa jego chrzestnego imienia.

Tu Lila wybuchnęła wesołym śmiechem aż jej matka przypomnieć musiała, że są na ulicy.

— Ależ, mammo, co za myśl? Bertrand, to bardzo dobry chłopiec, on mnie nie skompromituje. On się szalenie kocha... taki zakochany, że nawet nie słyszy, co ja do niego mówię. W kim? tego nie wiem, nie chciał mi powiedzieć, szkoda!

— To cię też wcale nie powinno zajmować.

— Moja mammo, trochę miłosierdzia! Co ja na to poradzę, że mnie wszystko zajmuje; taka już moja natura. Okropnie jestem ciekawa. Jeżeli mama nie jest ciekawa, to doprawdy nie wiem, po kim to odziedziczyłam? Czy może papa był ciekawy?

— Ty tyle mówisz, dziecko kochane, że zupełnie się wążek traci.

— Ja wążku nie straciłam; wiem, o có mamie chodzi, o Vansockena. On mnie lubi i ja go lubię, ale po za tém... Ha, ha, ha! jakie te matki zarozumiałe; zaraz im się zdaje, że wszyscy serca dla ich córek tracą. Ciekawa jestem, czy i ja po mamie odziedziczę tę samą zarozumiałość?

Księżna de Poligny, widocznie uspokojona zapewnieniem Lili, zmieniła przedmiot rozmowy.

— Klima także mnie martwi, bardziej jeszcze— mówiła.

— Czy z powodu pana de Montroye?

— Naturalnie. Błaga mnie, aby tę próbę i tę tajemnicę zakończyć; ale czyż to podobne? Pomyśl tylko; brat mój taki chory, niedługo już pewnie pożyje.

— Biedny wuj Przemyk!

— Biedny! Jegoby dobiła wiadomość o małżeństwie Klimy. On ją tak kocha i tak na nią liczy. Pojmiesz, że i strona materyalna nie może być dla mnie obojętną; wiem, że brat mój myśli wszystko zapisać Klimie, bo mnie nie dowierza, ze względu... już wiész.

— Wiem, wiem.

— Powiedział mi kiedyś, że nie pozwoli, aby się jego majątek po paryskich restauracyach trwonił,

ma słuszość. Ja mu tego za złe nie biorę, że nie jest tak ślepy, jak ja byłam co do mego męża.

— Biedna mama!

Z tych samych względów ty nie będziesz jego spadkobierczynią. Klimę sobie wybrał; marzył o tēm że ją wyda za Braclawskiego, że oboje w kraju zamieszkają, przy nim. Łudzi się w najlepsze myślą, że Leon ma szanse. Ja nie mam odwagi odbierać mu tych złudzeń; toby go dobiło, gdyby się dowiedział, że i ona także...

— Stryczek sobie na gardło zakłada.

— Jak ty przesiąkłaś temi naturalistycznemi zwrotami, kochanko. Jak to widać, co wy teraz czytacie.

— Nazywam rzeczy po imieniu.

— „Rzeczy” mają różne imiona, warto wybierać najładniejsze.

— Ach, mamu, proszę spojrzeć, co za cudny kapelusz! — zawołała Lila z zachwytem, pokazując matce jakąś strojną damę.

— Z tobą nie można poważnie mówić.

— Ale można; mamusiu, proszę się nie gniewać. Ja słucham, tylko patrzę równocześnie. Więc co? więc ja radzę, żeby bądź co bądź Klimę za Leona wydać.

— Naturalnie, a ty pierwsza popierasz tego de Montroye.

— Dawniej, mamu, dawniej, nie teraz. Van-

socken dowiódł mi czarno na białém, że Vero jest zarozumiały i pyszny, jak Nabuchodonozor.

— Co mnie téż może zdanie takiego Vansockena obchodzić? Najwyżej co do kursu pieniędzy...

— Mamusia powinna była żyć przed rewolucyą, taka arystokratka zacofana!

— Wszystkie wyniki rewolucyi są dla mnie wstrętne.

— *Ça a du bon*, doprawdy. No, no, niech się już matuchna nie gniewa. To tylko żarty. Więc co?

— Twoje „*ça a du bon*” zgrozą mnie przejmuję.

— Ależ to żart tylko, doprawdy; jabym wszystkich rewolucyonistów własną ręką... zabiłbym nie zabiła, ale na śmierć skazała. Taka biedna *princesse de Lamballe*, albo *Dubarry*.

— *Voyons ma chère*.

— A, przepraszam mamę, *encore une boulette*. Jak ja mieszam wszystkie pojęcia! Rozumiem, że to mamę niecierpliwi, ale to nie moja wina, doprawdy. Więc co? Wydamy Klimę za Leona?

— On się już nie pokaże, ona zrobiła mu taką niegrzeczność.

— Ja się zaraz domyśliłam, że ona tam musiała jakiegoś figla w swoim rodzaju spletać, bo nareszcie, niby to po psa i po orchideę pojechał. Śliczna kompania: Leon, pies i orchidea! On się tego uląkł może; pojechał i nie powrócił, chociaż mnie coś mówiło,

że się nie uląkł, tylko, że Klima umaczała w tём palec zbrodniczy.

— Palca nie umaczała, ale pióro w atramencie; napisała do niego mniej więcej w tym sensie: „Nie śmiem pana obarczać memi sprawami, a skoro pan wyjechać musi do kraju, to proszę przysłać mi łaskawie wzmiankowane przedmioty, a samemu się nie trudzić odwożeniem”.

— *Saperlotte!*

— Lilo!

-- To nie ja, to „*beau-papa*” tak mówi. Ale bo też i okazywa dobra do „*pestowania*”. Klima, to drugi Atylla, bicz Boży!

— Co ty tak dziś z historią wyjeżdżasz?

— Odczytywałam wczoraj Lamé Fleury; to pierwszy historyk według mnie. Szkoda tylko, że mam mniej pamięci, niż ciekawości, bo mogłabym czasem erudycją olśnić, a ja zawsze, *je patauge*, aż wstyd, doprawdy. Ale nie o tём chciałam mówić, tylko o Leonie. Biedny Leon! Chociaż, co Vero powie, jeżeli mu Klimę odbierzemy?

— Mówisz „*odbierzemy*”, jak gdyby Klimę łatwo było odbierać, jak Lulowi zabawkę.

— Hm... jak się mama ludzi co do wnuków. Czy mama myśli, że Lulowi łatwo zabawkę odebrać? Krzyczy, aż się w głowie mąci, zawsze na swoim postawi.

— To źle. Już takie widać wszystkie dzieci

teraz, że na swoim postawić muszą... od czasu rewolucyi—to skutki.

— Przecież mama także po rewolucyi wychowaną była.

— Ja, to co innego, ja byłam wychowaną w kraju, tam żadnych rewolucyjnych pojęć nie ma. Choć ja się na Klimę nie skarzę, to idealna córka. Ale cóż? zły przykład dałam.

— Mama i zły przykład, cóż znowu? Mama jest najlepszą, najwzorowszą, najmilszą, najidealniejszą matką.

— A ty jesteś pochlebnicą. Bo widzisz, gdybym ja była pewna, że ten Vero ją kocha. Ona tak potrzebuje miłości, któraż z nas tego nie potrzebuje?

Lila westchnęła głęboko.

— A ja nie mam przeczucia, ja nie wierzę w jego miłość; może to uprzedzenie z méj strony, ale teraz o prawdziwém uczuciu prawie się nie słyszy.

— Od czasów rewolucyi...

— Ty wiecznie żartujesz.

— To dla tego, aby wiecznie nie płakać.

— Ale ja go wybadam, o! ja się prawdy dowiem; ja go wezmę na próbę; ja dziecka mojego nie zaryzykuje. Zobaczmy.

Rozmowa się przerwała.

Klima zatrzymała matkę z siostrą przy wystawie kwiatów.

VII.

Książę de Poligny jest w wyjątkowo złym humorze. To mu się tak rzadko zdarza. Chodzi wielkimi krokami po sali bilardowej, ręce w kieszeniach, głowa na piersi spuszczone, trochę starszy, niż się zwykle wydaje. Jednym słowem, zasepiony bardzo, monologuje mniej więcej w ten sposób:

— Dałem mu Lilę. Na co mu ją dałem? Bo któż mu ją dał, jeżeli nie ja? Ten bałwan myśli, że dałem mu ją dla jego pięknych oczu. *Saperlotte! faut-il être bête!*

Tu się książę energicznie w głowę ręką uderzył, na znak, jak bardzo oburza go głupota margrabiego de Groeck. Zły był okropnie na niego. I miał za co. Przecież margrabia de Groeck powinien był wiedzieć, że „beau-papa” bez pieniędzy obejść się nie może.

— Prosiłem go, no, tak, *prosiłem* go, żeby mi pożyczyl marne 25,000 franków. Ten błazen miał tupet odpowiedzieć mi, że tylko co poszło 50,000 losom na ofiarę. Co jemu do tego? Nie od niego brałem. Nie da, dobrze, niech nie da. Zobaczymy. Miał spokój z żoną, był sułtanem u siebie. Dzięki komu? Czy on nie wie, że ja mu mogę zakłócić tę rajską harmonię? Brutalny jest, ograniczony, znęca się nad tém biedactwem. Źle zrobiłem, żem ich tak

psrzagl bez sensu, ale któz mógł wiedzieć? Kto mógł przewidzieć, że *ce nigaud, cette canaille*, odmówi mi pożyczki? Klimę swatać, ba, niełatwa sprawa! To ziółko! Ja sobie o nią rąk parzyć nie będę. Potem ubrać się w drugiego „zięcia” w tym samym rodzaju! Na Klimę nie mam wpływu, ale z tamtą wszystko zrobię, zobaczymy. Muszę ja lepiej starego Vansockena wybadać; on kroi na Klimę dla syna; można obiecać, tymczasem jakoś to być musi; pieniędzy potrzebuję, to nie ulega wątpliwości. Spróbuję z Vansockenem.

W godzinę później opuszczał księżę pięknie urządzone biuro bankiera Vansockena. Zadowolony był widocznie ze swego *interview'u*.

Udało mu się lepiej, niż się mógł spodziewać, chociaż wyprawa do starego bankiera była dla niego smutną ostatecznością. Wiedział, że Vansocken pożyczać nie lubi w niektórych warunkach i że bywa aroganckim, jak tylko parweniusz aroganckim być potrafi. Na to nie miał księżę ochoty się narazić, ale — konieczność... *vous savez, mes amis!*

Zagał więc posiedzenie mniej więcej w te słowa:

— Pan masz syna, przystojny, miły, sympatyczny chłopiec; ja mam pasierbicę, co pan o tém mówisz?

Vansocken nie mówił nigdy wiele, myślał za to dużo więcej i myślał oddawna, że syna ożeni z panną z najpiérwszych rodzin Francyi, czy téz innego

kraju, że sobie otworzy wszystkie domy i spowinowaci się z tēm, co Europa ma najświetniejszego. Za kilkadziesiąt lat syna jego i wnuków nazywać będą *de Castelmaury*, bo kupił dla niego dobra tak nazwane.

Z początku mówić będą: Vansocken de Castelmauryⁿ, później odetnie się pierwsza połowa nazwiska, a druga zostanie, a nawet jedno z drugim wcale nieźle wygląda, byle było nierozzerwalnēm.

Jednak, aby godnie nosić miano *de Castelmaury*, trzeba mieć koligacye odpowiednie. Koligacye z domem książęcym *de Poligny* i markizowskim *de Groeck* etc. uśmiechały się staremu bankierowi. Klimma, jako przedstawicielka przyszyłych „*de Castelmaury*”, pysznie się z roli wywiąże.

Tak to sobie układał papa Vansocken, a kombinacye te nie same zrodziły się w jego głowie — żona je tam zasiała.

Ziarno zeszło, ale zanim dojrzało, przyszła pani Vansocken do męża i powiedziała mu:

— Wilhelmie, źle się dzieje; ty chcesz i ja chcę, ale oni nie chcą.

— Czego? kto?

Bo pan Vansocken, oderwany znienacka od rachunków, potrzebował chwili na zorientowanie się.

— Bertrand nie chce i panna Sieniawska nie chce.

Stary bankier, w chwilach niezadowolenia nie mówił, mruzczał tylko. Mruknął i teraz przeciągle.

— Bertrandowi tamta głowę zawróciła, margrabina de Groeck, a jój siostra podobno kogoś także w sercu nosi — kończyła pani.

Papa Vansocken mruknął znowu, kiwnął głową kilka razy, palcami wybębnił na biurku przegrywkę do *En revenant de la revue*, nareszcie odparł krótko:

— Z mężatką się nie ożeni, a panna nie jedna na świecie; zobaczymy.

Tu wziął pióro do ręki i energicznie począł niém liczby kreślić, co było znakiem zakończenia rozmowy.

Bolało go to jednak; bankier, przyzwyczajony do powodzenia, nie znosił przeszkód.

To też, gdy w kilka tygodni później przyjmował księcia, gdy mu książę dał wyraźnie do zrozumienia, że niema nic straconego, że to się da zrobić, że on wie o tém najlepiej, bankierowi oczy się rozjaśniły i otworzył księciu szeroki kredyt.

— *Toujours à vos ordres, mon prince.*

— *Vous êtes trop bon, mon cher ami.*

Taki był wynik *interview'u*.

Wracając do pałacu, książę wstąpił do Palais Royal i kupił piękne brylantowe „dormeusy”. Dla kogo? — niewiadomo.

Wkrótce miał sposobność do rozwinięcia taktyki i do zaznaczenia swych wpływów. Będąc z wizytą codzienną u „koteczki”, zabawiał ją wesołą rozmo-

wą, gdy z trzeciego pokoju doszedł ich głos margra-
biego:

— Lili, Lili, chodź tutaj, prędko!

Lila zerwała się, aby wykonać rozkaz „baszy”.
Księżę z całą godnością schwycił ją za rękę.

— Nie ubliżaj sobie, koteczko, mąż twój nie ma
prawa w ten sposób cię traktować. Zna przecież
drogę do ciebie.

Lila siadła posłuszna, choć trochę niespokojna;
wstyd jej było *beau-papy*, a bała się męża.

— Lilo! — wołał tym razem głosem groźnym —
czyś ty głucha?

Lili zaszły oczy łzami, zaczerwieniła się silnie,
ale podniecona wymowném: *Quel sauvage!* z ust księ-
cia, zamiast iść do męża, zawołała zdaleka:

— Jestem zajęta, chodź do mnie, jeżeli masz
interes.

— *Sapristi! Tonnerre d'un nom*, gdzie moja cygar-
nica?— spytał „basza” swęj niewolnicy gromkim gło-
sem. — Siedzisz tu, jak malowana, a ja się rozbijam.
Wczoraj ją kupilem. Monogram emaliowany. *Sa-
pristi*, rusz się przecież!

— Zadzwoń na Ludwika, on poszuka, to nie mo-
ja rzecz — odparła Lila.

— Nie zadzwonię! — mówił „basza” coraz gwał-
towniej. — Ty wiész, że nienawidzę kiedy fagas
w mojej obecności kręci się po pokoju, przewraca,
tłucze i nie znajduje.

— To szukaj sam — z zacięciem odparła Lila, choć ją trochę dreszcz przechodził.

— *Quelle brute!* — szeptał książę.

Odpowiedź żony wprowadziła w zdumienie „baszę”. Spojrzał na nią, białka mu krwią zasły, stał sekundę nieruchomy, poczem schwycił wazonik etruski, który miał pod ręką i rzucił go gwałtownie o ziemię u nóg Lili. Wazonik rozprysnął się w kawałki, Lila zbladła. Książę zastanawiał się, czy się wnieść do tej sceny, czy lepiej dać pokój, tymczasem „basza”, uczyniwszy zadość swjej wściekłości, cofnął się pod swój namiot, jak niegdyś obrażony Achilles.

— Mam nadzieję, że nie byłby o twoją głowę rozbił wazonika, gdyby mnie tu nie było — mówił posepnym głosem książę.

— Nie wiem, być może... — odparła Lila, ale usta trzęsły się jej konwulsyjnie i widocznie na słowa zdobyć się nie mogła.

— To niktzemne z jego strony — kończył troskliwy *beau-papa*. — Ja na to nie pozwolę; biedna koteczko, czy on tak często znęca się nad tobą?

— Dostyc często — odparła Lila, walcząc zawsze ze łzami i gryząc do krwi usta.

— Ty się rozwiedziesz. Jestem świadkiem. Weźmiesz rozwód, koteczko. Ja ci w tém dopomogę. Nie zostawię cię temu furyatowi na pastwę.

Jeszcze tego samego dnia książę, pełen oburzenia, opowiadał żonie swjej o zajściu między Lila a jej

mężem i przekładał, że tak dalej iść nie może, że to skandal, że o rozwód podać się trzeba etc.

Księżna de Poligny z sercem przepelnioném goryczą odparła:

— Skandali rodzinnych nie będziemy roztaczać przed publicznością. O rozwodzie mowy być nie może.

— Ty nie masz serca, kochanko, skazałabyś własną córkę na takie życie?

— Przykro mi, ale muszę ci przypomnieć, że to nie ja skojarzyłam to małżeństwo. Ty...

— W dobrej wierze, kochanko, w dobrej wierze. Ale dziś żałuję całym sercem. Uczynię wszystko, by Lilę wyrwać...

— Lila się nie rozwiedzie nigdy.

— Więc co będzie?

— Będziemy cierpieć; w końcu można się i do tego przyzwyczać.

Odpowiedź księżnej wydała się jej mężowi czémś kolosalnie dziwaczném. Znajdował, że z kobietami o wymianie zdań mowy być nie może.

— Niech się śmieją, tańczą, płaczą, stroją, ale niech nie rezonują, *parce qu'elles deviennent absurdes*.

Takie było przekonanie księcia.

— Rozwód, to jedyny sposób, aby się wydobyć z matni — myślał—tyle pisano i rozpowiadano o tém głównie ze względu na dobro kobiety, a gdy ja proponuję to jedyne możliwe wyjście, jaką odbieram

odpowiedź: „Przyzwyczajmy się do cierpienia”...
To przechodzi granice rozumu ludzkiego.

Uważał za zbyt uczucie, aby wyjawiać swe zapatrywania żonie; na co? Kobiety nie są w stanie zrozumieć mężczyzn. Dla nich trzeba mieć pobłażliwość, jak dla kotka albo turkawki.

Pocałował żonę w rękę i nie przedłużając rozmowy, rzekł na zakończenie:

— Ty po anielsku rzeczy bierzesz, kochanko, niestety, zapominasz, że dobroć anielska nigdy na świecie praktyczną być nie może.

Rozmowę tę przerwała, wchodząc, Klima. Prowadziła Lulu za rękę, sama w kapeluszu i paltociku, dziecko również ubrane do wyjścia.

— Babuniu, ciocia mnie zawiezie do botanicznego ogrodu — mówił chłopiec swoim niezrozumiałym szczebiotem.

Książę pogłaskał go po główce, Klimie rzucił komplement po drodze:

— Ślicznie wyglądasz, koteczko.

I wyszedł.

Na wyjście jego czekała żona, a raczej lzy jej, które spłynęły teraz wielkie, ciężkie, ołowiane.

Klima nie śmiała pytać matki o powód zmartwienia, spoglądała tylko na nią okiem niespokojnym, pełnym nieograniczonego przywiązania i współczucia. Lulu stanął onieśmielony, patrzył na babkę ze zdzi-

wieniem, w końcu zbliżył się do niej, zarzucił jej ręce na szyję i prosił:

— Nie płacz, nie płacz, babuniu — prosił tak długo, aż się księżna w końcu do niego uśmiechnęła.

Wtedy zadowolony, przypomniał sobie obietnicę ciotki i pociągnął Klimę niecierpliwie za suknię.

— Pojedź mama z nami, ja tu ciebie samęj nie zostawię — prosiła Klima matki.

Zgodziła się księżna na propozycję, i wkrótce potem, mając Lulu między sobą, dążyły obie ku krańcom Paryża.

Dowiedziała się Klima, że żal matki wywołany był tym razem nie postępowaniem męża, ale zięcia.

Księżna cierpiała nad losem Lili więcej, niż się to napozór zdawać mogło. Nie podnosiła skarg na to, co już nie było do odrobienia, nie chciała jątrzyć Lili przeciwko mężowi, a Klimy przeciw szwagrowi. Tym razem jednak serce jej zbyt weszło.

— Ja wszystkiemu winna jestem — mówiła, oskarżając się — wszystko, wszystko stracone. To okropne, że nic się nigdy nie zmieni. Każde nieszczęście na świecie może być przemijające, na dnię każdej goryczy mieści się choć szczypta nadziei, że gorycz ta wy-czerpać się musi. Ale dla mnie i dla Lili nie ma nadziei; nie ma innego punktu wyjścia, jak śmierć. Ja na to zasłużyłam, ale czemu to biedne dziecko ma cierpieć?

— Za kilka tygodni wyjedziemy do kraju na całe lato, odetchniecie obiedwie — pocieszała matkę Klima. — Ci panowie tutaj pozostaną. Tak nam dobrze będzie razem, zapomnimy o wszystkich przykrościach. Raz na zawsze taki układ stanąć powinien: pół roku w Sieniawce, pół w Paryżu, a wtedy będziemy miały czas do zaczerpnięcia sił.

— Czy wiesz, co mąż mój wymyślił? Oburzony nagle postępowaniem Karola, dowodzi, że się Lila rozwieść z nim powinna. Co ty na to?

— To szaleństwo! Mowy o tém być nie może; przedewszystkiém przez wzgląd na dzieci. Lulu zostałby prawnie Karolowi przysądzony. Nie, nie! to byłoby okropne!

A nie zważając na zwrócone ku nim oczy wielu przechodniów, Klima przytuliła Lulu do siebie, okrywając go pocałunkami.

— Pan Leon! — zawołała nagle księżna i pociągnęła równocześnie za sznurek, dając znak stangretowi, by się zatrzymał.

Klima podniosła głowę, a spojrzawszy przed siebie, spostrzegła Leona Braclawskiego, który na głos księżnej zatrzymał się i dążył teraz ku powozowi.

— Pan Leon! — z prawdziwą radością księżna ręce do niego wyciągała. — Kiedy pan powrócił?

Niech pan siada, proszę nam towarzyszyć, bo tu i porozmawiać nie można.

Leon wskoczył do powozu, drzwiczki za sobą za-

trzasnął i chwilę później, nie dowierzając własnym oczom, w towarzystwie tych pań dążył naprzód.

Nie wiedział, czy to sen; pytał sam siebie, czy się nie obudzi raptem u siebie w Olwiopolu, z myślą o Paryżu, z myślą, która za sobą wielki ból w sercu pociągnie.

A nie dowierzał własnym oczom dlatego, że trzy dni temu był jeszcze w kraju, że odczytywał po raz setny bilecik panny Sieniawskiej, że ten bilecik po raz setny zarył się ostrzem miecza w jego mózgu.

Odczytywanie owego bileciku pachnącego, eleganckiego, który uosabiał dystynkeyę, ale i chłód wyniosły Klimy, było codziennym zajęciem Braclawskiego, odkąd Paryż opuścił.

Czemu ludzie tak lubią sami sobie serce zakrwawiać? Ileż to razy, gdybyśmy dobrowolnie, własną ręką ran swoich nie jątrzyli, zapomnienie ciche, łagodne, kojące, wsunęłoby się powoli na miejsce, gdzie ból panował samowładnie?

Wiemy, że widok kwiatu, że zapach łąki skoszonych, że odczytywanie, ach! szczególnie odczytywanie kilkunastu słów, na marnym kawałku papieru skreślonych, wywoła w nas nową burzę, odświeży wrażenie okropnego bólu, napoi otwartą jeszcze ranę świeżym jadem.

To nic. W kwiecie, w zapachu, w skrawku papieru tkwi jakiś magnes ukryty i ciągnie nas i wabi i nęci; zmusza nas do patrzenia, zmusza do wchłania-

nia tego powietrza balsamicznego dla wszystkich, dla nas pełnego wspomnień bolesnych, zmusza do odczytania słów, które już na pamięć umiemy, i wszystko żyje znowu.

Leon Braclawski nie bał się cierpienia, skoro odczytywał bilecik pożegnalny Klimy, nie bał go się, gdy się zdecydował nagle z dnia na dzień na wyjazd do Paryża.

Bo po cóż dążył do stolicy świata?

— Popatrzę zdaleka na jej szczęście z innym— mówił sobie, choć wiedział, że widok jej szczęścia będzie dla niego męczarnią.

I powiedzieć tu, że miłość jest najszlachetniejszym, najpiękniejszym z uczuć, skoro nie znosi szczęścia ukochanego przedmiotu, jeżeli z nim szczęścia tego dzielić nie może?

Tak jak się Braclawski dręczył u siebie na wsi, tak samo pojechał dręczyć się w Paryżu. Ani mu w głowie powstało być z wizytą w pałacu Poligny, ambicya nie byłaby mu na to pozwoliła.

Nie myślał nigdzie wizyt składać; ambicya nie byłaby mu również pozwoliła spotkać się choćby na neutralnym gruncie, z panną Sieniawską, skoro ona znalazła, że lepiej dla niego z Ukrainy się nie ruszać.

A przytém, spotkać ją obok człowieka, który nie tylko jak rywal, ale nawet jako zwykły śmiertelnik, wzbudzał w nim wstręt nieprzewyciężony...

Leon chciał ją widzieć, potrzebował, łaknął jej widoku, jak wędrowiec na pustyni pragnie fatamorgany, choć wie, że mu potém jeszcze gorzej będzie.

Chciał ją widzieć, ale zdaleka, w teatrze, na ulicy w operze, ale tak, aby ona jego widzieć nie mogła.

Dlatego oczom nie wierzył, gdy się znalazł naprzeciw niej, w powozie księżnej de Poligny.

Dziwne uczucia piersi jego rozrywały, kiedy prowadził spokojną, poufną nawet rozmowę z temi paniami.

Uczucie rozkoszy, upokorzenia, zdziwienia, przestachu nawet, ale i żalu do obudwóch pań.

Tak — żalu. Czemu go dziś przyciągają, czy, by go znowu odrzucić, gdy przyjdzie im fantazya? Czemu, gdy jeszcze był młodziutkim chłopczykiem, dawano mu do zrozumienia, że Klima, a nie kto inny, będzie jego żoną?

Czemu wuj panny Sieniawskiej, a jego sąsiad, hrabia Przemysław Mielsztyński, powiedział mu wyraźnie rok temu:

„Staraj się o moją siostrzenicę; mam nadzieję, że ją dla ciebie dobrze matka wychowała, boś wart dobrej żony, a pamiętaj, że ci moje życzenia towarzyszą.”

Czemu, gdy od lat tylu bywał w Sieniawce, przyjmowano go serdecznie, jak przyjaciela; czemu

matka Klimy tak często o tej ukochanej córce z nim mówiła? Na co? po co? Czyby w nim rozdmuchać tę miłość, która tlała z dawna jeszcze w sercu młodego chłopczyka?

Na te wszystkie pytania odpowiadał sobie nieraz z goryczą:

— Twoja wina. Trzeba było pilnować tej duszy, która do ciebie miała należeć, nie dać się do niej zakraść obcej myśli, obcemu przybyszowi. Gdy cię napadła kilkoletnia mania przenoszenia namiotu z pod nieba południowego na wschodnie pustynie, gdyś marzył swobodnie o przyszłości, o szczęściu, jako o rzeczy niewątpliwiej, po którą tylko rękę potrzebowaleś wyciągnąć, wtedy szczęście to wysuwało się z ręki twojej i nie wróci więcej, nie wróci. Gdyś zaspokoił żądzę zmian, gdyś okiem poznał i objął wszystko, coś mógł objąć z tego świata, dążyłeś po kilku latach nieobecności po Klimę, jak po własność swoją, inny ci ją zabrał, a dlatego, że ci ją zabrał, kochasz ją uczuciem, które wszystko inne zabiło w tobie. Błądzić teraz będziesz po tym samym świecie, z któregoś uczynił zabawkę, samotny, złamany, bez celu, bez duszy. Jej mieć nie będziesz, a o cóż dbasz jeszcze, gdy ona innego żoną zostanie?

Wszystkie te pytania i odpowiedzi przesuwwały się przez myśl jego w nieładzie wielkim, targały każdym nerwem, w skroniach pulsa mu biły gwałtownem tętnem; serce dzwoniło głośno a smutno w pier-

si jego, jak nad umarłym, nad umarłemi wrażeniami, które teraz wskrzeszone, tańczyły znowu po mózgu jakiś szalony taniec.

Ale on wiedział, że to taniec szkieletów; nie chciał wierzyć w ich zmartwychpowstanie, bo nie chciał drugi raz śmierci ich opłakiwać.

To, co w nim wrzało, wezbrane szalonem uczuciem na wewnątrz, nie objawiło się zewnątrz.

Rozmawiał swobodnie napozór i zupełnie przytomnie na pytania księżnej odpowiadał.

— Dawno pan nie widziałś mego brata?

— Na kilka dni przed wyjazdem moim. Wyjechałem tak nagle, że nawet nie miałem sposobności zabrać dla pań poleceń od hrabiego Przemysława.

— A zdrowie jego? Niech mi pan szczerze powie, jak Przymek wygląda?

— Trochę osłabiony, ale zawsze czynny bardzo. Tęskni za paniami, wyczekuje ich niecierpliwie, mówi, że nie ma dość sił, by panie w Paryżu tego roku odwiedzić, ale się pań prędko spodziewa.

— A ksiądz Wiktor, mój siostrzeniec? Czyś go pan nie spotkał?

— Był u mnie, poczciwy, kilka razy. Co to za idealna dusza! Ja sam odwiedzałem go także. Śliczne dostał probostwo nad Rosią; w cudnym położeniu. Tak tam u niego ładnie! Kościół, ogród, muzyka, biedni, tak ma życie zapelnione, że jego od-

wiedziny u mnie największą mają wagę w moich oczach. Gra precudnie zawsze.

— Nie zarzucił muzyki?

— Ale gdzietam! Fortepian w jednym pokoju, organy w drugim, harmonium w trzecim. Okropnie się na to uskarża. Mówi, że go nie stać na takie zbytki, ale że taką już ma niepohamowaną naturę. A mnie się śmiać chce, bo żyje, jak anachoreta; tak u niego skromnie — za skromnie, jak na jego majątek.

— Kochany ksiądz Wiktor! — zawołała Klima z zapalem. — To jedyny człowiek, na którego liczę więcej, niż na siebie samą.

— Jedyny? — zapytał Leon prawie mimowoli, tak go ten wykrzyknik zdziwił, ale i pocieszył trochę, bo jeżeli ksiądz jest jedyny, to na „tamtego” nie liczy widocznie.

Biedny! nie zastanowił się tylko, że między liczeniem na kogo a miłością nie zachodzi czasem żaden związek.

Miłość często chodzi samopas; nie zawsze potrzebuje towarzystwa, zaufania, wiary, a nawet szacunku.

Tymczasem Klima, raz ożywiona wspomnieniem o kraju, wuju Przemyku, księdzu i t. d., prowadziła rozmowę swobodnie, serdecznie nawet, spokojna, że Leon ostrzeżony jój bilecikiem, nie będzie się już łudził, a jój tylko o to chodziło.

Jako towarzysz lat dziecińczych, Leon był dla niej miłym wspomnieniem; za złe mu tylko miała, gdy sobie rościł pretensyę do jej serca. Po za tćm, jako przyjaciel, *à la bonne heure*.

Nie zdążyła odpowiedzieć na jego pytanie, bo się powóz zatrzymał u wjazdu do „*Jardin d'acclimatation*”, a Lulu zdaleka już spostrzegł słonia i na grzbiecie jego kilku maleńkich, jak on, mężczyzn, klaskał więc w rączki i rwał się naprzód. Klima zaś, wpatrzona w niego, nie mogła oderwać oczu od jego ślicznej, rozbawionej twarzyczki. Co chwila okrzyk zdziwienia lub radości wyrwał się z ust dziecka. A strusie, słonie i wielbłądy przesuwały się zwolna, majestatycznie, z pewnym namaszczeniem, jak gdyby czuły, że skoro im dzieci powierzono, to trzeba się spokojnie zachowywać, aby krzywdy nie zrobić.

Klima bawiła się razem z Lulu. Jego wesołość była dla niej zaraźliwą, księżna tymczasem, wsparta na ramieniu Leona, dążyła za córką i wnukiem.

Leon się zasepił.

Spostrzegła to księżna i serdecznością swoją chciała rozproszyć smutek jego.

— Patrz pan, jak się te dzieci dobrze bawią; Klima tak samo cieszy się słoniami i strusiami, jak Lulu.

— To dowodzi, że panna Klima miewa czasem serce współczujące.

— Niech pan nie mówi „czasem”, ona zawsze

ma złote serce. Chwilowo, dajmy temu pokój, może Bóg da, że kiedyś jeszcze podniesiemy tę kwestyę.

Była to odpowiedź, którą tylko Leon mógł zrozumieć i zrozumiał ją, ale nie wiedział, czy mu wróży nadzieję, czy tylko wytłómaczenie dziwnego postępowania.

Aby zmienić przedmiot rozmowy, rzekł:

— Dla mnie widok tych wszystkich egzotycznych stworzeń jest bardzo smutny. Przypomina mi zmarnowane lata, najgorzej użyte, bo gonilem...

I urwał nagle.

— Co pan gonileś?

— Czy ja wiem? Wiatr po polu może, tymczasem... Nie, nigdy sobie moich podróży nie daruję.

Ani wiedział, jak zmieniając temat, znowu do tego samego wrócił; on już o czem innem myśleć nie mógł.

Zatrzymano się przy dużej klatce, w której kilka pięknych psów odbywało poobiednią drzemkę.

— Jakie piękne psy! — zachwyciła się Klima. — Zaczne, pocziwe zwierzęta! Jak można im tak ubliżać i do klatki zamykać na widok publiczny.

— *A propos* psów, mam nadzieję, że Werbel, faworyt pani, zdrów zajechał na miejsce. Co do storczyka, który poleciłaś mi pani odesłać równocześnie, mniej mam pewności, w jakim stanie doszedł rąk pani.

Zapytanie to rzucił Leon z pewnym zadowole-

niem; chciał okazać pięknej pannie, że umie spokojnie mówić o tém co zaszło między nimi.

Klima oblała się rumieńcem.

— Dziękuję panu bardzo — odparła dość przytomnie — Werbel zdrow, robi nam największy ambaras; ale za to Lulu nacieszyć się nim nie może i nasz stary stangret Wojciech. Zrobiłeś mi pan największą przyjemność.

— Żałuję, że mi pani częściej nie pozwalasz oddać sobie usługi, choćby znacznie większej, niż wyprawienie Werbla.

Lulu począł teraz okazywać gorącą chęć przejechania się na małym kucyku, z którego mniejszy jeszcze jeździec dopieroco zeskoczył.

Klima walczyła pomiędzy obawą powierzenia chłopca obcemu człowiekowi a chęcią dogodzenia dziecku.

— Jeżeli tylko o to chodzi — rzekł Leon — ja Lulu nie odstąpię. Niech mnie go pani powierzy.

Chwilę potem kuc, Lulu i pan Braclawski klusowali we trójkę po alejach ogrodu, Lulu rączką obejmował szyję Leona, jego złote loczki mieszały się z kasztanową czupryną Ukraińca.

— Sliczny obrazek! — zawołała z zachwytem księżna.

Ale Klima, bojąc się, że matka zanadto się entuzjazmuje, milczała i choć entuzjazm babki podzielał wnuczek, okazując najgorętsze afekta Leonowi

w drodze z powrotem do domu, chłód jakiś zawisł nad starszém towarzystwem; Klima zbyt żywo przypomniała sobie, że Leon, to groźny rywal Vera de Montroye.

Księżna starała się wynagrodzić panu Braclawskiemu tę zmianę w humorze córki.

— Gdzie pana odwieźć? — pytała. — Może pan do nas wpadnie?

— Przypominam mamie, że już trzecia i że za kwadrans musimy być na wencie u lady Macgrove — przerwała Klima.

— Ja téż nie mógłbym korzystać z zaproszenia księżnej — śpiesznie odparł Leon — w każdej chwili gotów jestem uwolnić panie od mego towarzystwa, jeżeli tylko pozwolą panie powóz zatrzymać.

— Nie, nie, nie pozwolę na to! — zawołała księżna. — Gdzie pan stoisz? w którym hotelu?

— Zawsze w Angielskim.

— To po drodze; zrzucimy pana, ale pod warunkiem, że będziesz u nas jutro na śniadaniu o pierwszej.

Klima zaczerwieniła się powtórnie, widocznie zmieszana była słowami matki.

— Jeżeli księżna rozkazujesz — odparł z ukłonem Braclawski.

Widocznie przyjął zaproszenie.

VIII.

W kilka dni później pan Leon Braclawski wma-
wiał w siebie, że koniecznie wypada mu złożyć wi-
zytę księżnej de Poligny.

— To śniadanie, na które zostałem zaproszony,
mogło mnie o śmierć przyprawić — myślał sobie. —
Szczęście, że w takich chwilach je się niewiele, ale
każdy kęs chleba trucizną zaprawiony. Ja tylko
księżnej de Poligny nie pojmuję. To nie pospolita
kobieta, ma dużo serca. Więc dlaczego mnie cią-
gnie? Przecież jej to przyjemności sprawiać nie
może, gdy się męczę. Dlaczego mnie zaprosiła? Czy
na to, by córce dać sposobność popisania się z dowci-
pem, danym jej z natury ku udręczeniu ludzi? Jak
ona zręcznie umiała skierować rozmowę na banalne
przedmioty w chwili, w której matka starała się ująć
mnie serdecznością. „Cóż to może obchodzić pana
Braclawskiego?” — raczyła zapytać w chwili, w któ-
rej księżna mówiła mi o projektach letnich. Miała
słuszność. Cóż mnie to może obchodzić? Czy one
pojadą na księżyc, czy do Hunolulu, cóż mnie, u li-
cha, do tego? Ciekaw jestem, czy w tej kobiecie
jest trochę ciepła jeszcze z dawnych lat, czy też hoł-
dy i powodzenie światowe, wszystko wystudziły. To
taka była entuzyastka! Krańcowe miała pojęcia!
ale takie szlachetne. Teraz mróz od niej wieje,

Brrr... kataru można się nabawić. „Cóż to pana Braclawskiego obchodzić może?” Ta poza! ta wyniosłość! Zupełnie jakbym z Marsa przybywał; boć ostatecznie, po ludzku biorąc sprawy, jeszcze mogłoby mnie interesować, gdzie ta, lub owa sąsiadka lato spędzi. O! ja jój tego nie daruję! Szatan, nie kobieta. Jak ona umie znaleźć najdrażliwszy punkt w sercu i targnąć, aż jęknie; no, trzeba dodać, że jęknie tylko u takiego, jak ja bałwana; innyby zaklął, pięknie się uklonił — i tyleby go widziała. Ja się też uklonię, ale mnie wszyscy dyabli biorą za to, że ona ani spostrzeże mego ukłonu i zniknięcia, a tamten błazen, naturalnie, w to mu graj. Żeby go mógł zdusić jedném nadeknięciem nogi, tobym zdusił i krzywdybym światu nie zrobił i wyrzutów sumieniaby nie miał.

— Klima! „Clémence”. Pamiętam dziesięć lat temu, ten idiotyczny album paniński. Czternaście lat miała i tyle serca w oczach; pewnie tylko w oczach, bo w piersi, to i wtedy niewiele być mogło — gdzieżby się podziało? Dała mi album z zapytaniem: „Jaką cnotę uwielbiasz najwięcej?” — Jaką? Naturalnie odpisałem: „Clémence, miłosierdzie”. Na posmiewisko nosi to imię. Ona i miłosierdzie! Ona z rozkoszą drze mi serce w strzępki — tamtemu na ofiarę. Ale już koniec. Albo jestem mężczyzną, albo — lalką malowaną. Dostyc tej głupoty. Jeżeli od kieliszka można odwyknąć, to i od miłości

można. Nie mam czasu na takie blażeństwa. Dziś pójdę; muszę, naturalnie. *Visite de digestion*, a potem... do widzenia w czasie i przestrzeni. Trochę nienawiści zabiorę z sobą na razie i pogardy; wiem, że i taki balast w życiu niepotrzebny, ale zawsze lżejszy, niż niedorzeczna miłość.

— Co mnie tu przyniosło do tego przeklętego miasta? Uroki jakiegś, ale widocznie: *Alles was ist, ist vernunftig*. Byłbym się tam porał do końca życia z tą moją pseudo miłością, a tu przyjechałem po to, aby uroki przysły. Jestem zdrow, albo na najlepszej drodze. „Co to pana Braclawskiego może obchodzić?” Naturalnie, że nic. Dziś pożegnam tę sfrancuziałą klikę, a jutro będę w drodze do Olwiopola, za tydzień wyprawię Winnickiego po klacze do Berdyczowa, a sam nie będę czekał aż syreny nadciągną z taborem wielbicieli do Sieniawki, tylko pomknę aż pod Dynaburg. Już dawno w matki majątku nie byłem. Polowanie mieć będę wspaniałe, drzewek do szczepienia co niemiara, a potem uporządkuję bibliotekę w Taraskowie. Roboty dosyć. Dyabli nadali te „trawiące wizyty”. Choćbym dziesięć oddał, ostatniego śniadania i tak nie strawię, bo mi kością w gardle stanęło. Ale iść muszę, choćby dla dowiedzenia, że „pana Braclawskiego nic to nie obchodzi”, co się z temi paniami dzieć będzie.

Gdyby tak przyszło spisywać wszystko, co się

przesuwało przez głowę pana Leona w czasie kilku dni ostatnich, to możnaby tomy całe napełnić.

To kłął, to się upajał wspomnieniami, to siebie o wszystko złe obwiniał, to Klimę od czci i wiary odsadzał.

Utracił ją dobrowolnie, ale bezwiednie, i ztąd, to losy, to siebie, to ukochaną kobietę przeklinał.

Kto nigdy nie kochał, niech pierwszy kamień rzuci na niego.

Około godziny trzeciej, jednego majowego po południa znalazł się więc u drzwi pałacu Poligny, a w kilka chwil później został wprowadzony do saloniku księżnej, którą zastał samą.

— To jeszcze do szans zaliczyć można, że tamtej nie ma — pomyślał — tylko serce nie wtórowało myśli, bo ścisnęło się z bólu kurczowo.

— Jak to pocziwie z pana strony, że mnie odwiedzasz — zawołała księżna. W maju jeszcze mi bardziej tęskno za Sieniawką, a gdy pana widzę, zdaje mi się, że i Sieniawka blisko.

— Cóż mnie to może obchodzić? — myślał Leon.

I bardzo zimno przyjmował serdeczności księżnej, chcąc rozmowę na obojętny grunt naprowadzić.

— A jednak nie wierzę — mówił — aby w Paryżu za głuchą Ukrainą tęsknić było można, zwłaszcza o tój porze. Taki ruch wre i kipi; nie potrzeba mieć życia w sobie i myśleć dla siebie; życie ogólne

obejmuje nas swoją bujnością. To ma swój wielki urok.

— Czemu pan cudze zdanie wygłaszasz, panie Leonie? Bądź naturalnym i sobą samym, ze mną przynajmniej, która cię znam od dziecka. Na co te paradoksy, gdy nie jesteś w buduarze przeciętnej damy światowej? Mówmy po ludzku.

Braclawski zmieszał się widocznie, zaklął w duchu, bo miał bardzo brzydki, choć modny zwyczaj. kłać, jak furman, ale zawsze pocichu, w czem się różnił od więcej „lansowanych” znajomych swoich.

— Po ludzku, księżno? Naucz mnie, proszę, co nazywasz ludzkim językiem?

— Powinnam może powiedzieć indywidualnym językiem, to jest tym, jakim myślisz sam dla siebie.

— Kiedy w Paryżu zatracą się indywidualność.

— Nie wierzę. Nie pan. Za czemże pan tęsknisz?

— Chytra kobieta — pomyślał Leon — niby to ona nie wie.

Głośno zaś zapytał:

— Za czem? Alboż to można określić? Za czemś, czego nie zgubiłem prawdopodobnie. Tęsknię na wiwat, tak, jak inny kłamie, albo kocha dla sportu.

— To źle. Nie trzeba się temu poddawać.

— Naturalnie, że nie trzeba. Czy mnie księżna widzisz rozmarzonego, goniącego, okiem wrony po

niebie? Nie, tęsknota sobie, ja sobie. Jój nic do moich spraw, a moim sprawom nic do niej. Nie cierpię mazgajstwa. Ale co to księżnę może obchodzić— dodał z naciskiem.

— Jaki pan niedobry! — zawołała. — Pan dobrze wiesz, jak bardzo mnie to obchodzi. Matkę twoją ja tak kochałam, Leonie, i ty dzieckiem jeszcze do mnie lgnąłeś, a ja niby do syna do ciebie się przywiązałam.

Po tym serdecznym wybuchu, łzy zakręciły się w oczu obojga. Milczenie zapanowało, aż w końcu Leon pochylił się, ujął ręce księżnej i ucałował czule jedną i drugą, nie dodając słowa.

W tój chwili nic sobie nie mieli do powiedzenia, nic, albo za wiele. Dlatego księżna wstała.

— Chcesz pan zobaczyć Lulu? A może i Lila jest u siebie? Chodź, widzisz, *mnie* się zdaje, że *ciebie* to obchodzi.

I poszli.

Niepostrzeżeni stanęli przy portyerze, jaka do połowy zakrywała pokój dziecinny. Stali tak przykućci do miejsca urokiem, jaki płynął z owego pokoju, nie mogąc oczu oderwać.

Lila, Klima i Lulu, w oryginalnych pozach, odprawiali jakąś tajemniczą ceremonię. Lila do połowy wsunięta za fotel, tylko jój złote włosy wychylały się z nad poręczy, Lulu z zawiązanymi oczyma, z główką do góry podniesioną, z rozwartemi nawpół

ustami, widocznie śledził, co się dokoła niego dzieje, Klima na krześle stała, z uśmiechem, rozjaśniającym jęj cudną twarz i zmieniającym ją do niepoznania, stała na krześle, tuląc się do portyery, spadającęj z okna, widocznie schroniła się tam przed Lulu.

— Wszyscy uciekli, nikogo nie ma? — wołał malec rozgniewany.

— Szukaj — odezwał się głos Lili.

Lulu począł macać rączkami, biegać na prawo, na lewo, aż zdążył do krzesła, na którem „ciocia Kli” się schroniła i już miał ją schwycić za brzeg sukni, gdy zeskoczyła lekko, wymykając się chłopcu z rączki.

Wtedy jednak spostrzegła stojących przy drzwiach wchodowych matkę i Leona.

Fizyognomia jęj zmieniła się natychmiast, przybrała swój chłodny, wyniosły trochę wyraz.

— Mamo! jak można? — zawołała. — Co sobie pan Braclawski pomyśli, że mama tak wszystkich do pokoju wnuków zaciąga, aby się z nimi w ślepą babkę bawili.

— Pan Leon nie pomyśli, że zaciągam „wszystkich” — odparła księżna z widocznem niezadowoleniem. — Pozwól mi zapomnieć czasem, że jestem w Paryżu — dodała.

Lila już witała serdecznie Leona.

— Pamięta pan — mówiła — jak to piętnaście lat temu pan się ze mną w ślepą babkę bawił? Jakie

pan miał włosy wtedy! — wołała z entuzjazmem. — Zawiesiłam się raz obu rękami o tę lwią grzywę i pan mnie podniósł do góry. Pamięta pan?

— Pamiętam nawet, jaką sukienkę miałaś pani wtedy na sobie — odparł Leon, jeszcze trochę oszłomiony.

Obrazek, jakiemu się z za portyery przyglądał, zahypnotyzował w nim znowu wszelkie nieprzyjemne uczucia dla Klimy. Jedno spojrzenie, rzucone na nią, gdy tak stała rozpromieniona przywiązaniem do dziecka, wystarczyło, by zniweczyć wszelkie postanowienia, a głównie rozwiązać wszelkie ułudy co do możliwości wyrugowania jęj z serca.

— Trudno, — pomyślał sobie — będę z jęj obrazem nosić się w duchu po wiek wieków; z tego mnie i śmierć nie wyleczy.

Lulu, bardzo niekontent z przerwanej zabawy, niechętnie spoglądał na Braclawskiego. Nareszcie zdecydował się położyć koniec tej wymianie słów pomiędzy matką a gościem i upomniał się o dalszy ciąg zabawy.

Propozycya ta uśmiechała się aż nadto Leonowi; być przypuszczonym po dawnemu do życia rodzinnego Klimy, było to więcej, niż śmiał marzyć. Ale ona nie pozwoliła mu długo łudzić się możliwością spełnienia marzeń.

— Lulu! — rzekła poważnie do malca. — Nie trzeba nudzić gości, to bardzo niegrzecznie. Jutro

ciocia znów się z tobą bawić będzie, ale teraz się nie naprzykrzaj.

Taka poważna rozmowa imponowała bardzo nie tylko Lulu, ale i Lili, i Leonowi; gdy Klima poważnie się odzywała, mało kto śmiał jej się sprzeciwić. Dlatego też nigdy głosu podnosić nie potrzebowała.

W kilka chwil później księżna, obydwie jej córki i pan Leon znajdowali się w salonie margrabiny de Groeck.

W salonie, a nie w buduarze, dokąd Lila zapraszała towarzystwo; znowu Klima położyła *veto*.

— Przejdźmy lepiej do salonu, — rzekła — jeżeli ci to różnicy nie robi; pan Braclawski pewnie nie aprobeje przyjmowania gości w buduarze, *à moins* najbliższych.

Tego już było nadto dla Leona. Na każdym kroku przypominała mu, że jest obcym dla niej i że obcym pozostać musi. W tej chwili znowu mu się zdawało, że jej nienawidzi.

— Nie będę paniom czasu zabierał. Przyszędłem je pożegnać. Jutro wyjeżdżam.

Księżna i Lila, zasmucone tą wiadomością, starały się odwieść Leona od tego zamiaru.

— My za dwa tygodnie wyjeżdżamy także, myślałyśmy, że nam pan towarzyszyć będziesz — rzekła księżna.

— Gdybym mógł być na cokolwiek przydatnym,

opóźniłbym wyjazd do téj pory, ale wiem, że księżę lub margrabia de Groeck podąży z paniami.

— To jeszcze nie zdecydowane, — odparła Lila — bo...

Odpowiedź jej przerwało wejście lokaja.

— Pan de Montroye pyta, czy pani Margrabina przyjmuje?

— Prosić — odparła Lila, orientując się dopiero po swém: „prosić”, jak dalece niemiłym będzie spotkanie się dla obydwóch panów.

Braclawski pobladł. Z jego śniadój twarzy ostatnia kropla krwi uciekła.

Klima oblała się szkarłatem. Lila szukała wątku przerwanéj rozmowy, tylko księżna spokojnie, ze zwykłą uprzejmością, kończyła zdanie za córkę.

— Może same pojedziemy, bo tak mąż mój, jak zięć, dopiero ku środkowi lata wybierają się na wieś.

— Mnie ważne interesa powołują zaraz do kraju — mówił nerwowo Leon, zdecydowany w duchu, że go żadne mamidla nie skuszą do odkładania wyjazdu. — Nie mogę być teraz w Olwiopolu, bo za tydzień najdalej wyruszę na całe lato na Litwę.

— Na Litwę? na całe lato?

W téj chwili, pełen owéj „nonszalancyi” wielkopańskiej i wdzięku kobiecego prawie, wsunął się do salonu Vero de Montroye, składając jeden głęboki ukłon trzem paniom, zakończony lekkim skinieniem głowy w kierunku Braclawskiego.

— To dla mnie niespodziane szczęście, że widzę wszystkie panie; wątpiłem nawet, czy margrabinę uda mi się zastać o tój porze.

Klimy ciemne oczy, jakby zamglone w tój chwili, wyrażały wielkie wzruszenie. Lila prowadziła rozmowę z nowoprzybyłym, Leon tymczasem zeszywniał zupełnie, odpowiadał na pytania księżnój napół przytomnie i po kilku minutach wstał z miejsca, żegnając całe towarzystwo.

Równocześnie z nim wstała i księżna.

— Odprowadzisz mnie pan do drzwi, a może i wstąpisz jeszcze do mnie na chwilę; ja zchodzę, tyle osób przesunęło mi się dziś przed oczyma, że mnie trochę głowa boli.

Wyraźniejszej impertynencyi nie można było zrobić panu de Montroye; on zniósł ją ze stoicyzmem.

Księżna nie podała mu ręki na pożegnanie, antypatyę czuła dla niego i nawet przez miłość dla córki ukryć jój nie umiała.

Dwie siostry i Vero sami zostali.

Rwała się rozmowa z początku: demonstracya ze strony księżnój zmieszała wszystkich. Lila, którój zanadto wrażliwe serce odczuło ból, jaki odczuć musiał Vero, według niój, postanowiła wynagrodzić mu chwilowe cierpienie.

— Pan mi wybaczy, jeżeli pójdę napisać bilecik, niecierpiący zwłoki. Zupełnie o nim zapomniałam.

Wróćę prędko, Klima tymczasem bawić pana będzie.

Pan de Montroye dobrze zrozumiał pocziwą intencję Lili i postanowił z niej skorzystać.

— Czy to nigdy końca nie będzie miało? — zapytał Klimy — czy nie zdobędziesz się na energię, pani moja droga, aby wyjaśnić naszą sytuację? Pomyśl, czy nie dosyć dowodów miłości złożyłem? Czy przywiązanie moje do ciebie nie jest silniejsze od ambicyi, od miłości własnej? Twoja matka okazuje mi tyle uprzedzenia, że trzeba tak kochać, jak ja ciebie kocham, aby nie uciec na drugi koniec świata od tyłu upokorzeń.

— Nie mów o tém, — odparła Klima z oczyma łez pełnemi na zwykle bladéj twarzy — nie mów o tém. Czy myślisz, że ja tego nie widzę, że ja nad tém więcej od siebie nie cierpię? Dla mnie to okropne, a jeżeli pomijam to wielkie uprzedzenie mamy do ciebie, to także dowód, że... że...

— Że kochasz więcej matkę odemnie.

Klima podniosła na niego oczy zdziwione i trochę przestraszone. Wiedziała, że kocha matkę, że ją ubóztwia. Wiedziała także, iż Vero wszechmocnie włada jej sercem, ale nigdy nie zadała sobie pytania, które z tych dwojga kocha więcej. Nigdy się nie zastanowiła, które z nich poświęciłaby, gdyby jej przyszło wybierać.

Musiała matkę kochać niezwykłą miłością, jeżeli

do téj pory znosiła cierpliwie jéj sposób traktowania ukochanego przez nią człowieka.

Musiała i Vera kochać nieograniczoną miłością, jeżeli, pomimo żalu, prawie rozpaczy ze strony matki, nie miała dość siły, by się wyrzec miłości.

Czekała w nadziei, że matka przekona się do jéj narzeczonego, w nadziei, że Vero potrafi zdobyć tę sympatyę, której zdobycie o ich szczęściu stanowić miało. Nie lubiła jednak zastanawiać się nad tém, czując instynktownie, że dwie najdroższe dla niéj istoty nieprzyjaźń może zawsze dzielić będzie.

Byłaby wolała przeciągać do nieskończoności takie położenie rzeczy, byle nie wyrzec się jednéj z tych dwóch miłości, bo obiedwie były jéj niezbędne do życia. Dlatego pytanie Vera zatrwożyło ją.

Jakże miała mu odpowiedzieć, kiedy ona sama sobie odpowiedzi dać nie umiała? Absolutna, krańcowa w uczuciach, jak we wszystkiém, nie pojmowała nawet, jak to, co jest dla niéj droższém od życia, poświęconém być może.

— Naturalnie, to jasne, że kochasz matkę więcej odemnie — powtórzył Vero.

Ona jeszcze milczała.

— A jednak, Klimo, powinnaś pamiętać, że przed miłością dla wybranego męża wszystko ustąpić powinno. Jeżeli mnie chcesz życie swoje powierzyć, to nie możesz krępować się fantazyami, choćby matki rodzonej. Ty mnie nie kochasz. O, nie! nie zaprze-

czaj! Gdybyś mnie kochała, czy zniosłabyś te wszystkie upokorzenia, na jakie mnie *moja* miłość dla ciebie naraża? Gdybyś mnie kochała, czy czas, który zdała od siebie spędzamy, obce jedno dla drugiego, nie wydałby ci się ciężarem nie do zniesienia? Ty nie umiesz kochać. W twojém sercu tylko jedno uczucie rozbudzone, to, które już trzechletnie dziecko odczuwać potrafi, kochasz matkę; po za tém nic i nikogo. Czémże ja jestem dla ciebie?

Dwie duże łzy stoczyły się z oczu Klimy. Cierpiała bardzo widocznie, bo ona do łez nie była skłonna.

— Proszę cię, Vero, — mówiła cichym, smutnym głosem — nie mów tego. Ty nie wiesz, jaki mi ból zadajesz. Jak ty możesz wątpić o tém, że ja ciebie tak bardzo, tak zanadto... Doprawdy, ja wiem, że ciebie zanadto kocham. To grzech, to już pewnie dozwoloném nie jest. Gdybym była dobrą córką, to poświęciłabym ciebie, skoro to mamę unieszczęśliwia. Ale nie żądaj odemnie, abym była dla nięj zupełnie złą, tybyś mnie sam mniej kochał, ty kochasz przecież także matkę twoją, co?

Na takie zapytanie Vero się nie przygotował.

Albo on wiedział, czy matkę kocha? Pewnie, prawdopodobnie.

— Niedorzeczne pytanie — pomyślał i wybąknął krótko:

— Naturalnie.

Klimie zupełnie to wystarczało; ona nie wątpiła, że Vero jest najlepszym synem.

— Gdybyś miał więcej cierpliwości, — kończyła — to wszystko zmieniłoby się na dobre. Mama przekonałaby się, że w tém tylko szczęście moje i w końcu przywiązałaby się do ciebie, choćby przez wdzięczność za twoje uczucie dla mnie.

— Ależ, Klimo, zastanów się! Zanim ja sobie tę wdzięczność zdobęde, to mogę dłużej, niż Jakób biblijny, służyć w pocie czoła. Ty wiesz dobrze, że matka twoja nigdy kochać mnie nie będzie. Czas już zdecydować się i wybrać między mną a nią, skoro obojga mieć nie możesz.

— O, nie mów tak! — zawołała Klima, zakrywając oczy ręką, jak gdyby chciała widmo jakieś odpuścić. — Czyżbyś ty tak łatwo się zgodził na wyrzeczenie się przyszłości naszej wspólnej? Przecież lepiej poczekać, niż gwałtownością wszystko popsuć. Ja ci przyrzekam, że będę twoją, tylko twoją. Jeżeli za rok mama nie zmieni swego usposobienia dla ciebie, to ja w każdym razie twoją żoną będę. Czy chcesz rok czekać? Vero, tylko rok.

Oczy jej takie piękne były w tej chwili, ta słodycz w głosie, ta pokora w prośbie, takie to było różne od zwykłej zimnej, wyniosłej Klimy, że dumnym mógł być każdy mężczyzna z takiego zwycięstwa. Vero patrzył na nią z wielkim zachwytem i odczuwał tryumf swój, upajając się nim do odurzenia.

Schwycił rękę narzeczonej, całował je gorączkowo, tulił do serca i mówił:

— Będę czekał rok, kiedy każesz. Tylko widzieć cię muszę. Co ja pocznę, gdy na lato pojedziesz? To przecież niemożliwa próba.

— Przyjedziesz do Sieniawki. Mama będzie dobra dla ciebie. Bądź spokojny. Mama zawsze dobra, ale w Sieniawce jeszcze lepsza, niż w Paryżu. Poznasz mój kraj; zobaczysz, że bardzo piękny. Mama teraz chwilowo podrażniona wizytą tego nieszczęsnego Braclawskiego. Dawna *idée fixe* wraca. Gotowa jestem znienawidzić tego człowieka. Gdyby nie on, mama jużby cię lubiła. Przyjedziesz do Sieniawki razem z „papa” i będzie nam bardzo dobrze, zobaczysz.

— Cały rok! Jeszcze czekać!

— To prędko minie. Mama taki warunek kładzie. Ja muszę coś dla niej zrobić. Nie gniewasz się? Zaczekasz? Będziesz cierpliwy?

— Cóż mam robić!

— Obiecujesz?

— Obiecuję. Choćbyś dziesięć lat czekać kazała, to słuchać muszę. Choćby i życie minęło, to ja inniej, jak ty, kochać nie będę. Jeżeli się skarżę, to dlatego, że chciałbym mieć prawo być ciągle z tobą, że każda chwila zdala od ciebie zmarnowaną mi się wydaje. Nie dziw się temu.

— Nie dziwię się, ale przyrzeknij jeszcze, że dla

mój miłości nie będziesz brał za złe mamie, jeżeli... jeżeli...

— Jeżeli mnie będzie maltretować? Obiecuję. Niech mnie za drzwi wypędzi, niech mnie lokajom wyrzucić każe, — dodał żartobliwie — wszystko zniósę, oknem wejdem, gdy mnie drzwiami wyrzucą. Wsunę się dziurką od klucza.

Klima przez łzy śmiać się zaczęła i psuć go, dogadzać mu.

— Ty taki jesteś dobry, taki miły, taki kochany, najmiłszy, najlepszy *mój* Vero.

Byłaby może znalazła więcej jeszcze rozkosznych słówek dla ukochanego ta dwulicowa Klima, gdyby nie wejście Lili, które rozczuleniu tamę położyło.

W kilka chwil później lokaj księżnej przyszedł z poleceniem, aby pan de Montroye raczył wstąpić do niej, gdy opuści margrabinę.

Polecenie to zdziwiło niepomalu obie siostry, jeszcze więcej Vera, ale nie chcąc dać księżnej czekać na siebie, wstał natychmiast, pożegnał panie ucałowaniem ręki i wyszedł.

Księżna czekała na niego w tak zwaną bibliotecę. Kolorowe witraże rzucały niewyraźne światło na staroświeckie, średniowieczną trącające szafy, krzesła i fotele. Duże rzeźbione biuro zajmowało środek pokoju, dywan o przyćmionych barwach pokrywał całą posadzkę.

Poważny to był przybytek. Klima i jej matka

lubily w nim przesiadywać; można tu było zapomnieć, że się jest w Paryżu, w centrum hałaśliwej, pstrąg, kosmopolitycznej cywilizacji.

Co zdecydowało księżnę, by wezwać do siebie pana de Montroye, gdy pół godziny wcześniej wyraźnie dała mu uczuć, jak dalece towarzystwo jego jest jej niemiłym.

Oddawna już dręczyła ją myśl wydania ukochanej córki za tego człowieka. Początkowo antypatyę do niego chciała w sobie przełamać, lecz im bardziej z nią walczyła, tym silniej tylko ją odczuwała.

Miała słuszną Klimę, twierdząc, że Braclawski swoją obecnością w Paryżu podnieca jeszcze uprzedzenia jej matki do Vera.

Księżna czuła głęboki żal do świata całego, do siebie, do córki, a głównie do pana de Montroye, patrząc na człowieka, który był jej wymarzoną ziemią, a który obcym pozostać musiał dlatego, że tamten „pusty Francuz”, jak go nazywała, zabrał serce Klimy.

Niespodziane zjawienie się Braclawskiego, jej radość z tego powodu, nieprzewidziane spotkanie się tych dwóch panów w jej obecności, zestawienie tych dwóch typów, tak zupełnie różnych, a w jej sercu tak odmienną pozycję zajmujących, to było dostateczne, by wywołać kryzys w jej uczuciach.

Gdy tylko Leon pożegnał ją ostatecznie i nieodwołalnie, poszła do swego pokoju i rzuciła się na

kolana przed krucyfiksem i błagała Boga, by ją natchnął, co począc, by uchronił jej córkę od tego nieszczęścia, jakie sama dla siebie zgotowała.

Ofiarowała życie swe wzamian za spokojną przyszłość dla Klimy.

„Spokojną”. Ona Boga nie prosiła o szczęście, dawno w nie wierzyć przestała; ale spokój, tę ciszę wewnętrzną, to błogie uczucie zadowolenia w każdej okoliczności wiedziała, że osiągnąć można i to jedno jest szczęściem na świecie.

Kto kiedy znalazł i posiadał inne, niech powie!

Zastanawiała się nad charakterem swej córki.

— Ona nie zniosłaby tego, co ja i Lila znosimy — myślała trwożna. — To inna natura. Ona lepsza od nas, szlachetniejsza, wyższa, nie ścierpiałaby niższości w tym, którego kocha. Teraz oświecić ją, będzie to wprawdzie okropnym zadaniem, ale teraz jest jeszcze błysk nadziei wyleczenia. A kto wie? Może... może ja się mylę. Może on z próby wyjdzie zwycięzko. Wtedy powiem: „bądź wola Twoja” — i pogodzę się z koniecznością.

Tak to po gorącej modlitwie i rozmyślaniu głębokiem, zdecydowała się księżna wezwać pana de Montroye zaraz, nie odkładając na później.

— Jeżeli go jeszcze zastaną u Lili, — pomyślała — ale on tam jest jeszcze; inaczey jużby Klima tu była — dodała w duchu z pewną goryczą.

Montroye, dążąc na wezwanie księżnej de Po-

ligny, nie miał czasu na długie medytacje; zdał sobie jednak sprawę z tego, że będzie miał twarde orzech do zgryzienia.

— Czego ona odemnie chcieć może? — pytał w myśli. — Impertynencyi mi nagada i spróbuje z kwitkiem odprawić. Nic z tego moja miła świekro. To ci się nie uda. Córkę mam, a mama, to drugorzędny mebel, choć tutaj będzie okrutnie niewygodny, ależ to do reguł matrymonialnych należy. *Les belles mamans! Sapristil toutes possédées du diable.* Córkę mam, kocham ją... no, tak... naturalnie, że ją kocham. Śliczna! Trochę ją wytresuję, a będzie, jak stworzona dla mnie. Ten posag, to głupia rzecz. Mnie to w gruncie nie obeszłoby wcale, gdybym sam coś miał. Trudno! w muszli morskiej z motylami, zamiast koni, niepraktyczna jazda. Powóz kosztuje, konie kosztują. Głupi świat! wszystko kosztuje. Mały kieliszek szampana kosztuje. Mówią, że ma posag na księżycu, ba — taka wersja dobra dla publiki. Ale ja wiem, wiem jako fakt niezbity, że wuj milioner tylko jój zapisuje cały majątek, nikomu innemu, tylko jój. Chory, podobno niedługo pociągnie, tak mi „stary” mówił, a starego to też interesuje. No, *qui vivra verra.* Nie milion, to pół miliona wezmę, a z tego jako tako żyć można, z taką żoną w dodatku. Tom poezyi do roku — nie zapracuję się, rutynę mam — natchnienie? Kto tam pyta o natchnienie? Natchnienie rym psuje, tom poezyi, to

zawsze jakie dziesięć tysięcy franków, póki jestem modny, a będę modny, póki będę bogaty. Dam sobie radę.

Stanął przed księżną z owém „dam sobie radę” w głowie. Schylił się we dwoje pokornie, tym razem księżna podała mu rękę, którą nie omieszkał ucałować, oddając jej w duchu sprawiedliwość, że ręka tak piękna i szlachetna mogłaby zdobić najmiłą pod słońcem kobietę, a nie przyszlą *belle-maman*. Uwagę kończył zawsze w duchu:

— Natura tak po szalonemu i nierozważnie skarby rozrzuca; na co taka ręka u teściowej?

— Pan pewnie bardzo zdziwiony mojem wezwaniem — rzekła księżna, wahając się.

W tej chwili najlepiej czuła, jak bardzo delikatną misję narzucała sobie.

— Ja, księżno, przedewszystkiém szczęśliwym jestem, że raczysz mnie potrzebować. Nie zepsulaś mnie dotąd zbytkiem łaskawości.

— Wymówka pana jest słuszną po części.

— Broń Boże, księżno! To nie wymówka. Ja mogę boleć nad tém, że twych względów zdobyć nie umiałem, ale nie jestem ani dość śmiesznym, ani dość zarozumiałym, by o to rościć pretensye do kogokolwiek, oprócz do siebie samego. Widocznie nie umiałem sobie zasłużyć na łaski twoje.

— O łaskach moich mowy tu być nie może — odparła księżna poważnie i zimno, bo ją niecierpli-

wił ton nieco napuszony pana de Montroye. — Pojmiesz pan, że w warunkach, w jakich się względem siebie znajdujemy, całem mojem pragnieniem byłoby pozyskać z jednej strony zaufanie i przyjaźń pana, z drugiej mieć dla pana jak największy zasób sympatyj.

— Co do mnie, księżno...

— Chwileczkę cierpliwości i szczerości. Zdawkową monetę uprzejmych słów zostawmy na później. Gdybyś mnie pan zapewniał o swoich uczuciach dla mnie, musiałbyś być nieszczerym. Lubić mnie nie możesz, bo czujesz dobrze, że nie jestem przyjaźnie dla ciebie usposobioną.

— *Nom d'un nom!* — myślał Vero — *elle n'y met pas plus de cérémonie.*

— Powtarzam, — kończyła księżna — że pragnęłabym bardzo, by nasze wzajemne usposobienie na korzyść odmienić się mogło. To jednakże drugorzędna sprawa. Na pierwszym planie leży uczucie pana dla córki mojej.

Chwila milczenia.

Vero, stosując się ściśle do rozkazu, słuchał z największym skupieniem ducha słów księżnej.

— Jesteś pan pewny, że kochasz Klimę?

— Oryginalna kobieta! — myślał Vero — pewny, naturalnie, o tyle, o ile się jest czegoś pewnym na świecie.

— Nie dziwi mnie to pytanie ze strony księżnej— odparł. — Podług wszelkich reguł, powinienem był dawno już zwrócić się wprost do niej, by jej wyznać uczucia moje dla panny Klementyny i prosić o jej upoważnienie, ale...

— Proszę się nie tłumaczyć. Wiem, że pan jesteś w porządku pod tym względem. Wiem, że chciał ze mną mówić i że ja nie dopuściłam do słowa. Jestem otwartą zupełnie. Nie życzyłam sobie, by Klima wyszła za pana. Inne miałam projekta. Dlatego zwłóczyłam ostateczne porozumienie się nasze, zawsze w nadziei, że Klima, widząc moje uprzedzenie, ustąpi mi i poświęci pana dla mego spokoju. Przekonałam się, że tego nie zrobi, widocznie pokochała pana całém sercem. Skoro tak jest, to się nie da odmienić, mnie nic nie pozostaje, jak pogodzić się z jej wolą dla jej szczęścia. Ale muszę być przekonaną, że to będzie jej szczęściem, dlatego pana pytam, czy pan jesteś zupełnie pewnym, że ją kochasz? Nie dziw się formie pytania. Ileż to razy, szczególniej mężczyźni, biorą za miłość złudzenie, fantazyę, chimere? Czyś pan sam nie słyszał często, jako dostatecznego tłumaczenia po dokonaniem wiarołomstwie ze strony mężczyzny: „Ja téj kobiety nigdy nie kochałem, mnie się tylko tak zdawało. To nie była miłość, to było złudzenie.” Dlatego pytam pana, czy to nie złudzenie, że pan Klimę kochasz?

— Księżna mi krzywdę robisz, wątpiąc o tém;

muszę stać bardzo nisko w jej opinii, jeżeli mi takie pytanie zadaje.

— To z opinią nie ma nic wspólnego. Choćbyś pan córki mojej nie kochał, ona nie byłaby mniej warta miłości, a pan ze swęj strony mniej godnym szacunku.

— Panna Klementyna jest istotą, stojącą tak niezmiernie wyżej od ogółu kobiet, że nie śmiałem nawet przypuszczać, iż takie istnieją, a cóż dopiero przypuszczać, że mnie taka kobieta dostać się może. I to mnie tylko przytłacza, że nie jestem godnym, ale ona i mnie potrafi podnieść...

— O tém nie wątpię — odparła księżna z istic macierzyńską dumą. — Mnie tylko chodzi o to, czy ją pan uszczęśliwić potrafisz?

— O ile to zależy od wielkiej, nieograniczonej miłości, o tyle ufam, że potrafię...

— Mówmy, jak ludzie rozsądni. Pan, jako poeta, musisz być bardzo niepraktyczny. Ja się tego obawiam. Promieniami księżyca długów się nie płaci. Czy pan masz długi?

— *Nous y sommes!* — pomyślał Vero i chwileczkę zawahał się z odpowiedzią, odparł w końcu rezolutnie:

— Tak bardzo niewiele, że o nich mówić nie warto.

— Czemu i tych „niewiele” nie spłacił pan dotąd?

— *En voilà de l'indiscrétion* — myślał Vero.

Odpowiedział jednak skromnie:

— Jeżeli taka wola księżnej, jutro mogą być zapłacone.

— Więc pan masz majątek? Przykro mi mówić o tém, ale jest to konieczne.

— *Très — curieuse, la belle maman* — myślał Vero i odparł jeszcze pokorniej: — To zależy od pojęcia, jakie się przywiązuje do wyrazu „majątek”.

— Więc cóż pan posiadasz?

— Dziś dochody tylko, ojciec mój żyje jeszcze.

— Jakie masz pan dochody?

— Co babie do tego? — myślał ostatecznie niecierpliwiony Vero. — Niecierpię, gdy mnie zmuszają do kłamstwa, trudno, żebym jej wyznał prawdę, powiem cyfrę, którą rocznie wydaję.

Myśli te błyskawicznie, wszystkie naraz, zamajaczyły mu w głowie, ale sobie z nich zdawał sprawę doskonale.

— Zupemnie pojmuję, że księżna chcesz się upewnić co do mego finansowego położenia. Kobiety dzisiaj bywają ostrożniejsze od mężczyzn — odparł nieco sarkastycznie.

— Widocznie spostrzegły, że zbyt wielka bezinteresowność zamienia je na ofiary, godne pożalowania — odparła księżna. — Więc?..

— Moje dochody? Rozporządzam piętnastu tysięcy franków rocznie.

— To dla pana wystarcza. A dla żony?
Vero skamieniał.

— Czy pan masz zamiar zredukować znacznie swoje wydatki przez miłość dla Klimy? Bo wnoszę, że choćby jako poeta, kochasz ją bezinteresownie i o posagu jój nie myślałeś?

Chwilowa cisza zawisła nad nimi, dopóki się Vero nie ocknął po doznaniem wstrząśnieniu umysłowo-sercowem.

Odparł w końcu:

— Kocham pannę Klimę i nie chciałbym z imieniem jój łączyć żadnego wyrachowania. Wiem, że przywykła do życia niezależnego, że wolno jój było dotąd dogodzić każdój fantazyi swojój. Moje dochody nie zapewniłyby jój tego, do czego przyzwyczajona. Ja z méj strony cierpiałbym bardzo, gdyby ona musiała się krępować i poświęcać gusta swoje dla niemożliwości dogodzenia im. Dlatego pojdziesz, księżno, że im większe byłyby dochody nasze wspólne, tém więcej dogodziłoby to memu pragnieniu, nie ze względu na siebie, ale na żonę. Jestem równie szczerzy, jak księżna, może to i najlepszy sposób.

— Bezwątpienia. Ale powiedz mi pan, cobyś zrobił, gdybym ja córce nie wyznaczyć nie mogła?

Tu Vero pomyślał:

— Chytra niewiasta! Kopie dołki podemną i chce mnie wpakować głową naprzód. Otóż nie wpadnę. Klima będzie moją, ty, droga mamó, znaj-

dziesz dla niej dochody, a wujaszek nie tobie, lecz jej zostawi miliony. Mogę brnąć dalej w bezinteresowność. Chytrość na chytrość.

To krótkie wewnętrzne „aparte” powstrzymało na kilka sekund odpowiedź pana de Montroye; odpowiedź ta nabierała tém większej wagi i mogła się wydać księżnej z tém głębszege przekonania pochodząca, że po krótkim namyśle wydana.

— Cobym zrobił? Naturalnie ręce twoje ucałowałbym, księżno, na znak najgłębszej wdzięczności i zabrałbym sobie na własność pannę Klementynę, gdyby tylko ona sama zgodziła się dzielić ze mną losy mniej świetne materyalnie, niż te, jakie w domu matki były jej udziałem.

— Czy myślisz pan, że Klima zgodziłaby się na to?

— Nie wątpię. Ona jest zanadto szlachetna; nie oglądałaby się na żadne względy, serca słuchając tylko.

Księżna teraz zadumała się głęboko.

— Więc on ją kocha jednak — myślała. — Dotychczas próba wypadła na jego korzyść. Nic mi nie pozostaje, jak powiedzieć mu całą prawdę.

— Wybacz pan — rzekła nieco serdeczniej — że tak niedyskretnie napozór, niedelikatnie nawet postępuje względem niego.

— Nie mam nic do wybaczenia, księżno. Pojmuję zupełnie, że dla ciebie myśl oddania córki,

i to takiej córki, jak panna Klementyna, w obce ręce, jest nie do zniesienia. Masz mnie za złodzieja, który ci skarb chce zabierać i traktujesz mnie trochę, stosownie do tego pojęcia — dodał z uśmiechem pełnym dobroduszości.

— Tak źle nie jest — odparła księżna także uśmiechając się pobłaźliwie. -- Gdy pan Klimę uszczęśliwisz, wybaczę ci nawet to, żeś mi ją zabrał. Tymczasem ciebie o pobłażliwość prosić muszę. Naturalnie pojdziesz pan, że nie oddam mu dziecka mego, nie myśląc o jego przyszłości. Klimy dochody równać się będą dochodom pana, co wyniesie razem 30,000 franków. Nie jest to świetnością. Niestety, o świetnym wyposażeniu cóżki marzyć już nie mogę.

— O! księżno, to doprawdy żal zbyteczny!

— Marzyć nie mogę — kończyła księżna — Taki dochód wystarczyć jednak powinien na życie skromne, a skoro pan i Klima chcecie tego, skłaniam głowę w milczeniu. Muszę także pana uprzedzić, że mam brata ukochanego — tu zadrzał głos księżnej: pomyślała o smutnym stanie jego zdrowia. — Brat mój jest bardzo bogaty. Klima miała być jego jedyną sukcesorką.

Tu Vero zaczął strzydz uszami, ale nie okazywał zbytniego zainteresowania.

— Przyznaję szczerze — mówiła dalej księżna — że nie jestem dość bezinteresowną, aby majątek wiel-

ki dla córki mojej mógł mi być zupełnie obojętnym. Wyrzeczenie się tego, co dla niej było przeznaczonym, kosztuje mnie. Brat mój bardzo jest do kraju swego przywiązany. Stanowczo przeciwnym był memu powtórnemu małżeństwu z cudzoziemcem — tu księżna zatrzymała się chwilę. — Nie mógł mi później darować że pozwoliłam na małżeństwo Lili — tu księżna wyraźnie, cicho, westchnęła — Klima była i jest jego ukochaną siostrzenicą; innych bliskich krewnych brat mój nie ma, dalekich nie zna i nie interesuje się nimi. Wyraźnie więc Klimę, jako spadkobierczynię sobie wybrał. Mówił o tém ze mną długo i szeroko. Wybrał ją, ale pod warunkiem, że wyjdzie za polaka. Testamentem, którego treść jest mi znana, wyraźnie kładzie ten warunek, dodając, że w razie niespełnienia takowego, majątek ma być obrócony na rozmaite cele dobroczynne; małe tylko dochody wyznacza w takim razie dla mnie i córek moich.

Tu Vero skamieniał powtórnę; było to szczęściem dla niego, że w téj chwili mówić niepotrzebował, bo zabrakłoby mu z pewnością głosu.

— Pojmie pan, że choćby dlatego, musiałam być przeciwną małżeństwu Klimy z panem.

To Vero pojął, mimo, że był odurzony spadłym przed chwilą piorunem.

— Naturalnie Klima wychodząc za pana, wyrzeka się świetnych materyalnych korzyści, jakie ją

czekały. To nie dosyć. Dla brata mego wiadomość o wyborze Klimy może być ciosem nie do zniesienia. Pojmiesz pan, że zmartwienie jakie sprawić musimy choremu, jest dla mnie także ciężką koniecznością.

Tu Vero mniej pojmował — ale powoli oryentować się zaczął i myśli zbierać.

— Znam brata mego. To będzie dla niego ostatecznym rozczarowaniem. Nigdy nam tego nie daruje. Więc widzisz pan, że nietylko korzyść materialną, ale i moralne względy miałam na uwadze, opierając się małżeństwu Klimy. Teraz może mniej pan potępiać mnie będziesz, a jeżeli pomimo to wszystko zgadzam się na wybór Klimy, to nie obwinisz pan powtórnie kobiet o „większe od męskiego wyrachowanie”.

— O nie! — pomyślał Vero. — *A-t-on jamais vu un four pareil* — kończył w duchu.

— Teraz położenie rzeczy powinno być jasnym dla pana — mówiła dalej księżna. — Przedewszystkiem nie chciałabym nikogo w błąd wprowadzić. Wiem jak dalece, nie jest w mojej mocy opierać się szczęściu waszemu, skoro to „szczęściem” nazywacie, a skoro już raz postanowiłam uważać pana za przyszłego zięcia, chciałam mu się wytłómaczyć jednocześnie z mego postępowania, które mogło mu dać fałszywe o mnie pojęcie i utrudnić nasze przyszłe stosunki. Teraz pragnę tylko, aby wszystkie nieporozumienia usunięte zostały między nami. Jeżeli to

od dobrej woli zależy, ja starać się będę wzbudzić w sobie wiele przyjaźni i przychylności dla pana. Pragnę bardzo, byś mi się pan wywzajemnił; bo szczęście Klimy zależy także od tego, jakie stosunki łączyć będą matkę z jej mężem. Pan milczysz? Naturalnie wydać ci się musiałam nieznośną do tej pory i nie wiesz jak odpowiedzieć na moje przyjazne propozycje, chcąc pozostać szczerym. Ja nie żądam, byś mnie kochał, jak matkę — dziś, zaraz na zawołanie — dodała ze smutnym uśmiechem, to możemy pozostawić czasowi.

Spostrzegł Vero, że pora odezwać się nareszcie:

— Dziękuję ci, księżno — odparł wymijająco — za twoje dobre chęci. Mam nadzieję, że zasłużę na nie. Przykro mi niezmiernie, że jestem powodem prawdziwego zmartwienia dla ciebie i twój rodziny. Nie wiedziałem o tém. Bardzo mi przykro.

A tym razem prawdę mówił. Przykro mu było bardzo rzeczywiście, nie tyle ze względu na rodzinę Klimy, ile na siebie samego.

— *Sacré nom!* — myślał. — A tom się wpakował. Dyabeł mnie z tego błota nie wyciągnie. — To musi być ciekawy okaz ten wujaszek! Biedna Klima, zmartwi się; ba, a ja, czy się nie zmartwię? *Belle culbute, ma foi.* Ale to niemożliwe! 15,000 franków, no dajmy trzydzieści tysięcy, gdybym wierszy naklepał — z czego tu żyć w Paryżu? z żoną, z przyszłą generacją? Szaleństwo! Tylko stare baby mogą

w podobne mrzonki się zabawiać. Swoją drogą niedoszła świekra imponuje mi t \acute{e} m, że mnie za drzwi poprostu nie wyrzuciła, sto razy w takich okolicznościach miałyby prawo.

Myśląc tak wkółko o niewesołych rzeczach, Vero siłą przyzwyczajenia mówił całkiem przyzwoicie. Prawił w dalszym ciągu o przywiązaniu sw \acute{e} m do Klimy, korzył się wobec księżn \acute{e} j, w końcu wstał, by ją pożegnać.

— Nie zabieram księżn \acute{e} j wi \acute{e} c \acute{e} j czasu. Serdecznie wdzi \acute{e} czny j \acute{e} j jestem za tyle szczerości i dobroci. Chciałbym czynem okazać, że potrafię wyrzec się własnego szczęścia, gdy chodzi o niezakłócanie spokoju rodzinie.

— Nie mówmy ju \acute{z} o t \acute{e} m — przerwała księżna— dziś zapó \acute{z} no; dziś, wyrzekając się swego szczęścia, musiałbyś i szczęście Klimy poświęcić, wi \acute{e} c lepiej, abym ja jedna poświęcenie zrobiła, ni \acute{z} wy dwoje. Nie zatrzymuj \acute{e} pana dłu $\acute{z$ ej. Zobaczmy się wkrótce. Do widzenia.

Vero r \acute{e} kę podaną sobie ucałował i wyszedł, odychając głęboko. Zdawało mu się pod koniec ow \acute{e} j rozmowy, że się udusi. Atmosfera biblioteki przytłaczała go, niby kamień młyński.

IX.

Klina przez wielkie przechodziła wzruszenia w czasie owęj długięj rozmowy między księżną a panem de Montroye. Obawiała się, czy matka, pod wpływem rozdrażnienia, nie zechce zerwać kategorycznie stosunków, wiążących ją z Verem.

Zastanawiała się, co pocnie w takim razie? Ulegnie woli matki, czy też zbuntuje się i wszystko poświęci tamtęj miłości? I jedno i drugie wywoływało ból straszny w jęj sercu.

Nie przypuszczała prawie, aby owa długa konferencya między dwoma osobami, od których zależały losy jęj, mogła dla nięj wypaść pomyślnie. Nie śmiała się ludzi tą nadzieją, zwłaszcza po ostatnięj demonstracyi ze strony księżnięj.

To też niedowierzała sobie samęj, gdy w kilka chwil po wyjściu pana de Montroye księżna kazała ją do siebie poprosić i gdy wyczytała na twarzy matki tylko słodycz, spokój i rezygnacyę. Nie dowierzała uszom własnym, gdy matka, tuląc ją do siebie, mówiła:

— Widocznie cię serce nie myliło. Zdaje mi się, że Vero godny jest ciebie, że cię kocha bezinteresownie, gorąco; więc, dziecko moje, spokojna już jestem o ciebie. Nie takie było moje marzenie. Nie śmiem myśleć o Przemysławie, ale naturalnie ty jesteś pierwszą dla mnie w życiu — o twoje dobro

chodzi mi przede wszystkim. Bądź więc zupełnie swobodną. Nie martw się, że idziesz przeciwko mojej woli. Uprzedzenia moje zwalczone. Twoje szczęście będzie zawsze moim szczęściem, takie, jak ty je dla siebie, a nie ja dla ciebie rozumiem.

Klima okrywała ręce matki pocałunkami, garnęła się do niej, jak dziecko pieśczośliwe. Słuchała z rozkoszą szczegółów rozmowy, którą jej matka wiernie powtórzyła. Dumną była ze sposobu znalezienia się ukochanego. Wiedziała, że on nie był zdolny inaczej postąpić. Z rozpromienioną twarzą wysłuchiwała opowiadania matki, a jeśli można, kochała ją z większym uwielbieniem jeszcze za jej bezstronność i szlachetność w całej tej sprawie.

Wróciła do życia, do zwykłych swych zajęć, z pogodą w duszy, jasno patrząc na świat cały

Wuj tylko zatruwał jej radość, ale pocieszała się, wmawiając w siebie:

— On mi przebaczy. O majątek jego nie dbam, tylko o przywiązanie.

Minął dzień jeden bez żadnej chmurki na horyzoncie. Drugi minął także, wywołując tylko lekkie zdziwienie u Klimy: czemu się *Vero* nie pokazuje:

Godziny jednak prędko ulatywały, a zwątpienie nie myślało nawet zakradać się do jej duszy. Układała tymczasem plany cichych, w najmniejszym kątku przyjaciół odbyć się mających zaręczyn. Cieszyła się myślą, że *Vero* będzie miał prawo spędzić lato w Sieniawce.

Być w Sieniawce, razem z ukochanym, wydawało się jój szczytem marzeń.

Trzeciego dnia Klima, w ślicznój toalocie, dążyła obok Lili w powoziku, pełnym koszów z kwiatami, bukietów i wiązek kwiecistych na wentę, urządzaną na rzecz ubogich.

Klima i Lila miały sprzedawać kwiaty. Ich pawilonik elegancki, lekki, cały niby bukiet, pełen już był doniczek, wazonów, poduszek, girland, butonierek etc., a one wiozły resztę zapasów z sobą, nadesłanych w ostatniej chwili przez ogrodnika.

Obie siostry rywalizowały dziś wesołością. Klima nie wątpiła na chwilę, że na owęj wencie zobaczy Vera.

Przyszło jój na myśl, że po rozmowie z jój matką nie pokazał się pewnie w skutek wyrafinowanėj delikatności; może czeka wezwania od księżnėj.

Na wencie będzie jednak z pewnością. Tyle o nię radzili wspólnie, on sam przysłał dwie żardiery, pełne cudnych okazów flory. Naturalnie, że jako na neutralnym gruncie będzie tu z pewnością.

Nie zafrasowało jój i to, że go i tam nie zasiała.

— My jesteśmy jedne z pierwszych z obowiązku, on przyjdzie później.

Zanim jednak Vero się ukazał, robiło się coraz rojniej i pełniej wokoło pawilonu „gwiazd północy”.

Pawilon naśladował kształt wodotrysku gałązkami bluszczu, caprifolium, pnących róż i powoi.

Pod promieniami wieńców kwiatowych, rozstrzelonemi w półkole, tak Klima, jak Lila nabrały większego jeszcze uroku; tutaj znalazły stosowne ramy do swój piękności.

Szkoda, że Vero nie pokazał się dotąd, byłby z pewnością zrobił poetyczną uwagę, że tylko na tle kwiatów, barw gorących, w aureoli wieńców, piękność ukazywać się powinna, bo piękność ma swoje obowiązki, ma swój cel w życiu i swój majestat którego popolitować nie ma prawa. Vero powiedziałby, że jestto dowodem, jak dalece świat tonie, jeszcze w barbarzyństwie, skoro nie podniósł do zenitu szczególnych praw piękna, skoro specjalnych hałwochwalczych hołdów nie oddaje piękności nie tylko w uczuciach, ale i w zewnętrznych objawach. Piękna kobieta nie powinna nic mieć do czynienia z trywialnością życia, żadna pospolita strona egzystencyi ludzkiej nie powinna mieć do niej przystępu.

Po kwiatach należałoby jej stąpać, w dosłowném pojęciu tego znaczeniu. W świątyni artystycznie pomyslanęj i dekorowanęj mieszkać, z najwonnich kwiatów, niby z kadzielnic, powietrze czerpać.

Czegożby Vero nie powiedział, natchniony widokiem „północnej gwiazdy!”

Ale go dotąd nie było.

Za to Bertrand Vansocken zaopatrywał się w butoniery, w bukiety i girlandy. Za gardenię, którą

mu Lila przypięła do boku, położył 1000 franków na tacy. A handel nie na tём miał się skończyć.

Lila z niesłychaną werwą wyzyskiwała sytuację, pod pozorem, że lepiej, aby banknoty i złote monety zostały na jój tacy, niż na stoliku, pokrytym suknem zielonem w klubie.

— Ja mam w sobie tyle szkaradnych stron charakteru — mówiła, skarżąc się Bertrandowi — tylko sposobności potrzeba, aby wyszły na jaw. Ani przypuszczałam, że mnie żądza złota napaść może. A dzisiaj, na widok luidorów, gorączki dostaję, doprawdy.

— To bardzo niebezpieczna skłonność. Radzę przytłumić ją w zarodzie — odparł, śmiejąc się Vansocken.

— Byłabym w stanie ograbić dziś wszystkich, rozbijać — z rewolwerem w rękę „śmierć lub sakiewka” wołać. Nie puszczę nikogo, komu choć frank przy duszy pozostał.

— Mniejsza o franki, byleś, margrabino po duszę nie sięgała.

— Co mnie po duszy? Za to nie kupić nie można.

— *Horreur! Quel matérialisme!*

— Bo widzi pan — nie trzeba mnie zanadto potępiać — cel uświęca środki. Ja przed tą wentą bardzo poważnie rozmyślałam nad różnemi humanitarnemi sprawami.

— Czy wolno poznać wynik rozmyślań?

Naturalnie, nie tylko można, ale panu przede wszystkim powiedzieć muszę. Ja w panu odgaduję filantropa.

— *A mes heures perdues.*

— „*Perdues*”, pan filantropię nazywasz traceniem czasu? To chyba przez skromność. O! ja pana znam. Pan masz wszystkie cnoty. Jesteś perłą najczystszej wody. Aż żal, że pan jesteś mężczyzną — powinienesz być kobietą.

— A to ciekawe! Dlaczego? — śmiejąc się, pytał Bertrand.

— Bo kobieta z taką, jak pana, duszą, mogłaby w każdej dnia godzinie dobrze robić, zużyłaby dobroć swoją. Mężczyźni bardzo dobrzy bywają najczęściej dobrymi bez rezultatu, po amatorsku. U nich dobroć zabija energię. Energiczni są zwykle oschli, bez serca, bezwzględni egoiści; jeżeli co zrobią dobrego dla wielu, to bywa zrobione przypadkiem — *par ricochet* — jako resztką tego, co dla siebie czynili. A kiedy są dobrzy, to bywają równocześnie ślamazarni; zdolni do czucia, do rozumienia, niezdolni do czynu. Dobroć w kobiecie wydaje dużo obfitszy rezultat.

Tu Lila przerwała swój „speech” z powodu napływu klienteli. Skwapliwie chwyciła „napoleony” i oczy jej, niby Harpagonowi, iskrzyły się na widok tego złota.

Pan de Fondres kupił bukietek fijołków za 50 franków.

Książę de Moussy równocześnie dobijał targu o całą żardinierkę.

Handlował z Klimą — wiedział, że żardiniera pochodziła od pana de Montroye, był o niego zazdrośny i chciał ją nabyć, *choćby* na wagę złota, ale o ile możliwości za tanie pieniądze, bo był skąpy.

Klima tymczasem chciała zachować dla siebie ową żardinierę, a sumienie radziło jej wyzyskać sytuację, wiedząc, że de Moussy rozporządzał milionami, a kapitały jego rosły co roku.

— Liczę kwiat po 50 franków sztuka, jest sztuk dziesięć, daje 500 franków — mówił młody książę.

— A żardiniera? — pytała z uśmiechem Klima.

— Nic niewarta. Tandeta.

— Jaki on źle wychowany — myślała w duchu oburzona.

— Jaki on skąpy! — zawołał zgorzony de Fondres.

— Daj 5,000 i wynoś się! — radził Bertrand.

— *Fichtre 5,000, comme vous y allez! Mieux vaut prêcher que de la faire.*

— Jest jeszcze druga do nabycia, więc nie potrzebuję na kazaniu się ograniczać.

— Jaki pan poczciwy! — zawołała z entuzjazmem Lila

A za taki wykrzyknik Bertrand byłby dziesięć żardinier przepłacił.

— *Voyons, Moussy* — zachęcał de Fondres — *vous n'en mourrez pas.*

— Kto wie? — rzekła złośliwie Lila — gotów wybryk taki zaszkodzić księciu, a ja do końca życia miałabym wyrzuty sumienia, gdyby kwiaty te złożono mu na trumnie, wskutek śmierci ze zgryzoty.

— *Pitié, marquise!* Dam 5,000, dam, ile chcesz ale mi nie mów o trumnie! — błagał wystraszony de Moussy.

— Zakończmy ten targ po przyjacielsku — rzekła Lila sentymentalnie — my ustąpimy dziesięć franków, aby duch pana nie przyszedł wyrzucać nam niesumienności kupieckiej, a ja się tak duchów boję!

O! ta Lila, to była taka *fine mouche!* Wiedziała, że wyrazy: „śmierć, trumna, duchy” wystarczą, by księcia wyprowadzić ze stanu normalnego, a zatem i ze skąpstwa.

Już i przekazy do banku leżały na tacy u pięknych Polek.

Ledwie się książę de Moussy pozbył swoich pięciu tysięcy franków, kiedy Bertrand, spełniając zobowiązanie, tę samą sumę wykładał.

Lila promieniała radością.

— Za to jednak musisz mi pani wytłómaczyć swoje humanitarne teorye — rzekł Bertrand. — Niechże i ja coś zarobię.

— Naturalnie. Ale gdybyś pan kiedy został ministrem finansów, to proszę mieć w pamięci mój sposób na zaradzenie złemu. Widzi pan, te wszystkie składki dobroczynne, to jest rzecz bardzo względna, a zupełnie niedostateczna do zmniejszenia nędzy. Podług mnie, oprócz zwykłych podatków, powinny być nałożone podatki nadzwyczajne, ale regularne, takie to a takie, od dochodów, na cele dobroczynne. Naturalnie, że owe socyalistyczne zachcianki równania warstw społecznych, parcelowania majątków na równe części, to są wszystko utopie, sensu niemające. *Cela ne tient pas debout.* Nie rozumiem, jak ludzie mogli tyle razy wracać do takich niedorzeczności. Z drugiej strony niepodobna, aby cywilizacya znosiła taką nędzę i takie zbrodnie z nędzy wyrosłe, jak je dziś jeszcze toleruje. Na to rada znaleźć się musi. A zatem: podług mnie każdy człowiek, którego majątek przechodzi 10,000 franków dochodu rocznie, powinien być opodatkowany, na 5 procent przy tej początkowej cyfrze, na 10 przy podwójnej, na 20, 50 nawet, gdy ktoś ma miliony, jedném słowem, procenta wzrastać powinny stosownie do dochodów, a milioner *musiałby* oddawać połowę milionów na przytułki, szpitale, schronienia, bo milionerowi i jeden milion, więcej niż na zbytki wystarcza; tylko w taki sposób możnaby coś zrobić dla zgłodniałych tłumów. Inaczej owa, z własnego popędu pochodząca dobroczynność, zaledwie w niewidzialnej części

nędzę zmniejszyć może. A potem, każda wieś, każde miasteczko, w każdym zakątku świata powinno mieć swoje szkoły, schronienia i szpitale, gdzieby biedni pracować musieli, ale pracę znaleźć mogli; gdzieby wolno im było chorować w stosunkowej czystości i dobrobycie. Bo rozdawanie pieniędzy, to rzecz zgubna: bardzo często więcej złego, niż dobrego robi.

— Więc pani jesteś za szkołkami? Nie dzieli pani zdania tych, którzy twierdzą, że półcywilizacya tylko demoralizować może?

— Jestem za szkołkami, ale nie za sposobem, w jaki owe szkoły dziś kształcą proletaryat. Wszyscy uczyć się powinni, ale każda klasa czego innego, stosownie do potrzeb. W najniższych sferach, nawet czytanie i pisanie skasowałabym, bo tania książka często najgorszą trucizną bywa, ale religii, zasad moralności powinni uczyć wszędzie. Jabym...

— Ależ, Lilo! — zawołała zgorszona Klima — ty tyle mówisz, a tak mało robisz! Pomóż mi. Lady Macgrove chce mieć bukiet z samych mchowych róż, a baron Skandenberg prosi o trzy lilie japońskie. Ty nie nie słyszysz i nie nie widzisz.

Lila zabrała się energicznie do pracy. Pomagał jej Bertrand, myśląc z żalem, że nie uchodzi dłużej bawić pomiędzy kwiatami. To też zdobył się na odwagę i oderwał się w końcu od miejsca, które go pociągało tysiącem uroków:

— Idę rozważyć i spisać teorye margrabiny — rzekł, żegnając się. — Dlatego samego, aby je praktycznie zastosować, postaram się zostać ministrem finansów.

— Pan nie żartujesz?

— Nie, pani, mówię najzupełniej seryo.

Ożywienie Klimy powoli ustępowało wyraźnemu zdenerwowaniu. Rzeczywiście niepokój opanowywał ją coraz większy. Czemu się Vero nie pokazuje? Widocznie coś zająć musiało.

Chory pewnie. Wypadek jaki. I tragiczne obrazy przesunęły się przez głowę panny Sieniawskiej, w chwili kiedy z uśmiechem podawała bukiety i wieńce.

— Co się z nim dzieje? Coś się stać musiało. Coś bardzo niedobrego. Inaczej napisałby przecież. Wytlómaczyłby się.

Tymczasem godziny mijają. Już szósta; koniec wenty. Za chwilę wszyscy się porozjeżdżają, a ból w sercu Klimy rośnie i rośnie.

Niepokój zwiększa się z każdą chwilą.

— Tak rzadko cieszę się z czegoś, i to jeszcze musi być zepsute; nigdy rzeczywistość nie dopisze oczekiwaniu — myślała z goryczą.

Lila przeczuwała udręczenie siostry. Wiedziała od niej o wszystkim, co zaszło między księżną a panem de Montroye i dziwiła się także niezmiernie, dlaczego Vero, zamiast korzystać z tak niespodziane-

go a pomyślnego zakończenia sprawy, usuwa się i zachowuje wyczekującą postawę, teraz, kiedy już wolno mu było w obec świata nazywać Klimę swoją.

Lili serce pełne było współczucia dla siostry. Byłaby ją chciała pocieszyć, ale nie śmiała rozpocząć dość drażliwej kwestyi. Miała nadzieję, że może Klima pierwsza się odezwie.

Ale omyliła się. Nawet gdy same zostały, wracając z wenty, nawet wtedy Klima milczała. Błada, bledsza, niż zwykle, z podsiniąłymi oczyma, zapatrzona w dal, jakby bezmyślnie, taki nieruchomy wyraz twarzy jej przybrała.

Lilę milczenie to poczęło zanadto męczyć.

— Lepiej przecież, że ciężar z serca zrzuci — pomyślała i zdecydowała się wyrwać siostrę z tego odrętwienia zapytaniem:

— Ty się pewnie niepokoisz o Vera; ja sama nie pojmuję, co się stać mogło?

Klima zwróciła oczy na siostrę, trochę zdziwiona, jakby zbudziła się ze snu.

— Tak, nie pojmuję — odparła po krótkim namyśle.

— Nie martw się, Klimeczko — pocieszała ją Lila. — On może nie zdrow. Mógł się zaziębić. Nie chcę cię straszyć, uprzedzając o jakiej lekkiej dyspozycyi. Pewnie z dnia na dzień czeka, w nadziei, że mu lepiej będzie.

— Czy ty doprawdy myślisz, że on chory? — pytała Klima zmęczonym głosem.

— Myślę, że może niezdrów. Gdyby był bardzo chory, to uprzedziłby nas z pewnością. Tylko się nie martw tak zaraz, bez podstawy.

— Ty wiesz, Lilo, że mam podstawę. Ty wiesz, że po tej rozmowie on powinien był widzieć się ze mną.

— Naturalnie; ale widzisz droga moja, tyle nieprzewidzianych okoliczności zajść może i ja ci zaręczam, że on się potrafi wytłumaczyć. Wszystko się wyjaśni, zobaczysz.

— Tylko to jedno przypuszczam, że on chory być musi i tak mnie ta myśl dręczy.

— Napisz do niego, zapytaj.

— Gdy tylko powrócę, napiszę natychmiast.

W pół godziny później Vero de Montroye odczytywał bilecik Klimy.

„Drogi mój panie — pisała narzeczona — o ile uszczęśliwiona byłam, że jedyna przeszkoda, jaką mieliśmy do zwalczenia, usuniętą została, o tyle teraz niespokojna jestem bardzo, nie pojmując, co się z panem dzieje. Naturalnie chorym pan być musi, ale dlaczego mnie nie uprzedzić, dlaczego nie powiedzieć mi szczerze, co panu jest? Przewiduję różne okropne wypadki, wyobraźni po prostu na wodzy utrzymać nie mogę. Dziś na wencie nie wątpiłam, że pana zobaczę, pańska nieobecność napelniała mnie okrop-

ną obawą o jego zdrowie. Nie przypuszczam, abyś pan krępował się jeszcze względnie do mamy jakiegokolwiek niepewnościami.

„Mama powtórzyła mi wszystkie szczegóły rozmowy waszej; ująłeś ją, mój najmilszy panie, twoją bezinteresownością i przywiązaniem do mnie. Dziś ona ci już ufa i wierzy, tak, jak ja wierzę. Najlepiej jest dla ciebie usposobioną. Licz na nią, ona nie umie grać komedyi, gdy raz otworzyła ci serce swoje, to od ciebie tylko zależy, by je sobie pozyskać zupełnie.

„Byłabym bardzo szczęśliwa, gdyby nie ta obawa o pana. Jeżeli to tylko możliwe, proszę, zamiast listownej odpowiedzi przynieść mi ustną. Ale proszę niepopępiać żadnej lekkomyślności, jeżeli panu opuszczać mieszkania niewolno, proszę kilku słowami albo mnie uspokoić, albo — choćby zmartwić, byle w niepewności nie zostawiać.

Sercem i duszą pana narzeczona.”

Vero trzeci raz odczytywał pachnący liścik Klimy.

— *Nom d'un nom! Sacré tonnerre!* — cedził klątwy przez zaciśnięte zęby. — Ot, masz tobie! Myślałem, że napisze. Pewny byłem tego. Przygotowany na to. Ale myślałem, że mi otworzy jaką furtkę wyjścia. Ani w tył, ani naprzód, ani na prawo, ani na lewo. Taki list! Co to jednak w sercu kobiecym

mieści się wiary i iluzji. Gdyby mnie tak, albo któremu z nas jaka jejmość, przez trzy dni w podobnych okolicznościach, znaku życia nie dała, tobyśmy przedewszystkiem przygotowani byli na najgorsze. Zdradziła, w pole wywiodła, zakpiła sobie, kłamała, grała komedję... No, faktycznie, każdy z nas pomyślałby to wszystko o każdej z nich, o tak zwanęj najlepszej. Taka ślepa wiara w nasby nie powstała.

Medytacye te przerwało odezwanie się służącego:

— Lokaj księżnej de Poligny zapytuje, czy będzie odpowiedź? — rzekł z nieśmiałością, bo po pytającym spojrzeniu pana poznał, że bezpieczniej byłoby nie zbliżać się do niego w tej chwili.

— Idź do dyabła! — odparł ostro Vero.

Służący zakreślił się i poszedł, myśląc w duchu:

— Do jakiego dyabła pójdę, jak nie do niego?

Po chwili na odgłos dzwonka wrócił.

— Czy tam ten drab czeka jeszcze?

— Czeka, panie.

— To mu powiedz, że go nie zatrzymuję.

Służący cofnął się, by spełnić polecenie.

— Czeka*j sacré nom!* — krzyknął Vero.

Służący wrócił.

— Powiedz temu bałwanowi, że — niech idzie. Czeka*j. Sapristi!* Nie widzisz, że nie skończył? Powiedz mu, że ty sam odpowiedź przyniesiesz — za godzinę. Tak, za godzinę... Czeka*j, ośle!* Słuchaj,

kiedy do ciebie mówię. Czy tamten, ten błazen od księżnej, pytał się o co?

— Nie, panie.

— To mu powiedz zręcznie, powiedz mu, że jestem chory — rozumiesz?

— Rozumiem, panie.

— Możesz iść. *Sacré...*

I znowu został Vero z medytacjami.

— Co ja odpowiem? — myślał. — Zdawało mi się, że taka trzydniowa abstynencya wystarczy, by na mnie umysły oburzyć; że mi niedoszła świekra napisze pełno impertynencyi, że ja z tego skorzystam — no, i jakośby to było. Miałbym haczyk. „Chory byłem, a księżna mnie masz za ostatniego łotra i mieć zawsze będziesz, *je tire donc me révérence.*“ Ja tego chciałem, ale tak... Czego to dowodzi? Kobiece mrzonki poprostu granic nie mają. Ona ani na chwilę nie zwątpiła. Biedactwo! Żeby mnie jęj tak żał nie było, to nie brałbym tego do serca. Co chwila się takie wypadki zdarzają. Ale mnie jęj żał. Wszystkiemu winien wujaszek z testamentem. Patryota, *le nigaud!* Trudno, trzeba się na coś zdecydować.

Chodząc tak wzdłuż i wszerz po pokoju, szukając w ruchu natchnienia, siadł w końcu Vero do biurka i zaczął:

„Nie myliłaś się, dobra pani moja, przypuszczając, że zdrowie moje stanęło mi na przeszkodzie, aby

przyjść twe ręce ucałować. Swoją drogą ostatnia rozmowa z księżną nie napełniła mnie tém szczęściem, o jakim pani mówisz, a dlatego, że nie wyciągnąłem z niej wniosków korzystnych ani dla siebie, ani głównie dla pani, nie miałem odwagi pokazać się, tak, jak nie miałem odwagi napisać, bo i cóż ja napisać mogę? O ile szlachetność księżnej jest niezaprzeczoną, o tyle ja z mej strony nie chcę pod żadnym warunkiem zostać w tyle. Nie mogę przyjąć ofiary ani matki twojej, ani twojej własnej, pani droga. Dowiedziałem się tylko, że korzystając z nieocenionego uczucia twego dla mnie, wnoszę żal rozczarowania, a może i niezgodę do rodziny twojej. Ja tej myśli znieść nie mogę. Czuję dobrze, jak dalece księżna poświęca dla mnie wszystkie nadzieje, swoje. Przyszłość twoja świetną być może, pani droga; nie chcę, byś się dla mnie wyrzekła losu stokroć ponętniejszego, niż ten, który ja mógłbym ci zgotować. Dziś ofiarę czynisz chętnie, ale żałowałybyś może za lat kilka, a mnie prześladowałaby wiecznie myśl, że nie mogę dać ci tego, co byłoby twoim udziałem, gdybym nie był skorzystał z chwilowej może egzaltacji uczuć twoich i wyzyskał je na swoją korzyść. Nie żądaj tego odemnie. Wolę ja siebie poświęcić, niż gdybyś ty najmniejszą ofiarę dla mnie zrobić miała.

„Wybacz mi, że nie spieszę z osobistą odpowiedzią, podług życzenia, które raczyłaś w liście twym

wyrazić. Nie mam siły do tego. Niezdrow jestem, a pożegnanie ciebie osobiste więcejby mnie jeszcze kosztowało. Nie wątpię, że zrozumiesz pobudki moje. Gdybyś była mężczyzną, postąpiłabyś tak samo, pani droga.

„Pozwól mi po raz ostatni ucałować ręce twoje. Wolna jesteś i życzę z serca, by ci wolność przezemnie wrócona, szczęście przyniosła. Nie potępiaj mnie, błagam!

Vero.”

Równocześnie prawie, gdy wymiana korespondencji miała miejsce między Klimę a panem de Montroye, Lila prowadziła ożywioną rozmowę z księciem de Poligny w buduaru.

Książę ciekawy był, jak sroka i z natury i z interesu, a potrafił być dyskretnym, jak kamień i Lila dobrze o tém wiedziała. Umiał on z niej wyciągnąć niejedną konfidencyę i na swoją korzyść obrócić, ale nigdy nie zdradził przed nikim zaufania, jakie w nim pokładała.

Wiedział dobrze, że coś się święci między panem de Montroye a Klimą, ale nie mieszał się zbyt do tej sprawy.

— Klima niewiele mnie obchodzi — myślał sobie. — Bawi mnie dosyć ta komedia, bo się oboje załapia: Klima na człowieku, on na majątku.

Po owęj rozmowie, która ostatecznie miała zdecydować o losach Klimy, księżna uważała za stosow-

ne mężowi decyzję córki przedstawić, naturalnie nie prosząc go, ani o radę, ani o sankcję, a tylko, dla ceremonii. Książę bardzo taktownie zachował się w tej sprawie.

Złożył życzenia i matce i córce, życzenia zmieszane z komplementami, jedne równie zręczne, jak drugie.

Dawno wiedział od Lili o postanowieniu brata żony, pana Przemysława Mielsztyńskiego. Wiedział warunek, pod jakim stary pan Mielsztyński ukochanej siostrzenicy cały swój majątek myśli zapisać. Wiedział, że Klima wychodząc za Vera, rzeczyć się musi zapisu tego i utracić olbrzymią fortunę.

Książę zjawił się na wencie i naturalnie kasę Lili zasilił kilkudziesięciu frankami. Jego także uderzyła nieobecność Vera. To też wkrótce po powrocie pań do domu, zjawił się u Lili, zastał ją samą, bo Klima, dla napisania listu do narzeczonego, zamknęła się w swoim pokoju.

— To nie do darowania — mówił książę de Pologne — takie lekceważenie ze strony de Montroye. Co to ma znaczyć? Tak się nie postępuje.

— Chory widocznie. Inaczej nie zrobiłby tego — broniła Lila.

— Nie rób sobie iluzji, koteczko. Gdyby był chory, to miałby zawsze dość siły, żeby choć kilku słowami dać znać o sobie. Nie umarł nagle, boby o tém słyhać było.

— Niech Bóg broni. Klima go tak kocha!

— A ja ci powiem moje zdanie kochanko, wierz mi, ja mam dobry węch. Podług mnie, Vera chce się wycofać.

— Papo! co za myśl! — z oburzeniem zawołała Lila.

— Tak mi się zdaje.

— Dlaczegóż w takim razie nie wycofał się, kiedy mu mama tyle razy dawała do tego okazję, niechęć mu okazując.

— Bo miał w tém interes. O wuju waszym wiedział — dawniej myślał, że wy wszystko dziedzi- czyć po nim będziecie, później.. ale to już moja wina — tak sobie, dla sportu, bo mnie bawiło to po- lowanie, dałem mu do zrozumienia, że Klima jest jedyną dziedziczką bez zastrzeżeń.

— O! papo!

— Nie oburzaj się, koteczko. Ja nie przypusz- czałem, że matka twoja zezwoli kiedykolwiek na to małżeństwo. Ani mi to w głowie powstało. A Klimie przecież nic to szkodzić nie może, gdy ją w świecie za milionerkę uważać będą; przeciwnie, ułatwi jój to świetne zamażpójście.

— To być nie może! Ja Vera o takie wyracho- wanie nie posądzam.

— A jednak to jasne. Sama mówiłaś mi, że mu matka twoja taki to a taki dochód wyznaczyła — to

dla niego zamało. On liczył na miliony. Sam nie ma, więc czmychnął.

— Mówił mamie, że ma piętnaście tysięcy franków.

— Kłamstwo. Dowiedziałem się dokładnie w kilku ostatnich dniach, że nie ma. Stary Vansocken znakomicie jest poinformowany, bo do niego szturmował kilka razy o pożyczkę i okazało się, że nie ma literalnie na czem zahipotekować. Vansocken chętnie udzielił mi tej wiadomości, gdym mu powiedział, że jako ojczym wasz, mam obowiązek czuwać nad wami i że nie pytam przez prostą ciekawość, ale proszę go o oddanie przysługi. Żałuję tylko, że tego prędzej nie zrobił.

— Papo, to okropne! — zakrywając oczy rękoma, aby z nich łzy powstrzymać, mówiła Lila.

— Tylko nie bierz tego tak tragicznie, koteczko. Takie rzeczy codziennie się powtarzają. Z tego się nie umiera. Biedny Vansocken, dla niego było to także rozczarowanie.

Lila zdziwiona, pytające spojrzenie rzuciła na ojczyma.

— Rozczarowanie było, bo stary Vansocken marzył, że Klima zostanie jego synową, ale to naturalnie było tylko chimera z jego strony.

Lila aż podskoczyła na miejscu i z niezwykłym ożywieniem pytała:

— Czy to być może? Więc Bertrand kocha się w Klimie. Jaka ja byłam naiwna, żeby się tego nie domyśleć! Jego wszystkie grzeczności dla mnie, to tylko *par ricochet*.

— Ależ nie, koteczko, co znowuż? Pozwól że mi dokończyc. Stary Vansocken, a młody, *cela fait deux*. Młodemu nie Klima w głowie — trzeba nie mieć oczu, by tego nie widzieć.

Lila główkę w dół spuściła zamyślona i jakby trochę zasmucona. W jój żywej wyobraźni powstał prędko nowy plan. Jój się tak Bertrand podobał — ona go tak lubiła, że niby marzenie przesunęła jój się przez głowę myśl, że on zastąpi może Vera, skoro Klima stanowczo za Braclawskiego wyjść nie chce.

— Tak — rzekła po chwili milczenia — to prawda, że młody Vansocken nie okazuje zajęcia się Klimą. Szkoda.

— Naturalnie, że nie okazuje. Jakże ma okazywać, kiedy się kocha w stokroć miłszėj kobiecie.

— Miłszėj od Klimy? — z niedowierzaniem pytała Lila.

— Lilo, ty taka mądra jesteś i taka domyślna, a tu, doprawdy, oczu ci chyba brakuje. Przecież to jasne, że Bertrand Vansocken stracił głowę dla ciebie, a nie dla kogo innego.

Lila przestraszona patrzyła na księcia w milczeniu.

— Papa żartuje — rzekła wreszcie.

— Z Bertranda uczuć żartować nie można, bo na to nie zasługują — odparł poważnie książę.

— Mój Boże, mój Boże! A ja go tak lubiłam, tak na niego liczyłam. Myślałam, że on lepszy od innych.

— *Voyons, petite chatte! c'est ridicule.* Czy to grzech kochać?

— Papo, przecież ja mam męża. Bertrand nie powinien o tém zapominać.

— Cóż to ma jedno do drugiego? Przecież on nie ma pretensyi do twojej miłości, a każdemu wolno kochać w milczeniu, tego nawet twój mąż nie mógłby mu zakazać, chociaż... oboje wiemy, że Karola niewieleby to obeszło.

— Jaki papa niedobry, żeby mi to przypominać — zawołała Lila z żalem prawdziwym, wstając z miejsca, jakby chciała przerwać przykrą rozmowę.

— Jakaś ty niewdzięczna, Lilo. Dlatego, że mnie oburza postępowanie twego męża; dlatego, że cierpię nad twoją dolą; dlatego, że mam sympatyę do ludzi, którzy otaczają cię miłością, na jaką zasługujesz; dlatego ty masz żal do mnie.

Lila stała chwilę w milczeniu, jakby rozważając słowa księcia.

Widocznie wniosek, który z przemowy tej wyciągnęła, nie przebiegał jej dostatecznie, bo odparła smutnym, ale nieco zimnym głosem.

— Dziękuję papie, ja wiem, że mi papa dobrze życzy, ale czemu mieszać imię obcego człowieka do naszych spraw?

Książę wstał także.

— Rozdrażnioną jesteś w tej chwili, ja się temu nie dziwię; postępowanie takiego de Montroye jest niegodne, haniebne — to dostateczne, by cię z równowagi wyprowadzić. Nie bierz mi za złe, że cię uprzedził. Lepiej wiedzieć, czego się trzymać. Klimę świadomość nikczemnej roli, jaką ten jegośmość odegrał, może prędzej wyleczy.

Lila była tak oszołomiona tą całą rozmową, że nie zdobyła się teraz na żadną odpowiedź.

Książę de Poligny pocałował ją w czoło, mówiąc:

— Do widzenia koteczko, bądź dobrej myśli, nie trzeba się martwić.

I wyszedł.

— Ziarno rzucone — myślał — Lilę wyrwę ze szpon Karola; stary Vansocken będzie kontent — ztąd ja będę kontent, a najszcześliwszym będzie młody. Lili będzie lepiej, mojej drogiej żonie przydać się może taki zięc. Zobaczymy. Jeszcze nie grałem roli Opatrzności — może mi się powiedzie.

X.

Klima po odebraniu listu od pana de Montroye, dłuższy czas myśli zebrać nie mogła. Aby list ten przeczytać, została sama, matka weszła tylko na chwilę, by ją zapytać o zdrowie Vera.

— Nic mu nie jest, mamó — odparła Klima.

Ale odparła takim zmienionym głosem, że matka z trwogą spojrzała na nią i zawahała się chwilę, czy zostać, czy też córkę samą z jej bólem, na twarzy wypisanym, zostawić. Znając jednak naturę Klimy, zdecydowała się nie narzucać jej w tej chwili ani swego współczucia, ani swój wielkiej miłości nawet.

Wyszła cicho, a gdy się znalazła w swoim pokoju, tam, gdzie kilka dni temu taką gorącą prośbę do Boga zanosila o szczęście dla córki, teraz uklękła znowu przed tym samym krucyfiksem, a dusza jej wołała do Pana głosem wielkim:

— Czy tak bardzo zawiniłam, Boże mój, Boże! Czy już nie ma dla mnie litości u Ciebie? Czemu i jej serce łamiesz ręką Swoją? Czemu za mnie karzesz dzieci moje?

Ale dzisiaj modlitwa ulgi jej nie przynosiła. Złamana cierpieniem, całą myśl swoją zwróciła do kraju.

— Wyjechać, jak najprędzej wyjechać! Tutaj przyjdzie nam oszaleć z nadmiaru cierpienia.

Nazajutrz służba wiedziała, że za kilka dni wszystko ma być do drogi gotowe.

Ruch panował wielki w całym pałacu. Tak księżna, jak jej córki w niczem systemu życia nie zmieniły.

Oddane w niewolę najabsolutniejszemu tyranowi, światu, nie wolno im było, choćby przez miłość własną, oddawać się w zamknięciu zgryzocie lub cierpieniu.

Serce niech pęka, ale ludzie o tem wiedzieć nie powinni.

Nie dadzą powodu licznym „przyjaciołom” do komentarzy i złośliwych domysłów.

Świat wiedzieć nie powinien, że znalazł się taki nikiemnik, który grał z uczuciem panny Sieniawskiej, zdobył je — i odrzucił.

O tem nikt nigdy wiedzieć nie będzie. Nawet matka rodzona, nawet siostra, domyslić się tylko mogą, co się dzieje w hardem sercu Klimy.

Bardzo blada, ale naturalna zresztą, wynioślejsza, niż zwykle, składa z matką liczne wizyty, rzucając karty „P. P. C.”

Nikomu pewnie w głowie nie powstało, by ta dumna, otoczona hołdami, jak królowa, piękna kobieta nosiła w piersi serce zdeptane przez człowieka niższego od niej rozumem, znaczeniem, nazwiskiem — przez człowieka, który, jako charakter, nie był godzien prochu przed narzeczoną zmiatać.

A jednak takim ludziom, bez żadnych zalet, bez

żadnej wartości, oddają serce kobiety rzadkie, wyższe umysłem i cnotą nad ogół kobiet...

O, Szekspirze, najgłębszy znawco dusz ludzkich! twoja Tytania i twój osieł, to najwspanialsza alegorya tego, co się w życiu codzienném zdarza.

A więc nie było ni scen, ni łez, ni rozpaczy.

Tylko jedna wiara do ludzi zamarała, tylko jedno serce niewieście, pełne miłości, pełne skarbów nieprzebranych, wypaliło się, jak wulkan i zgasało.

Wszystko wygasło, tylko nie nawyknienie, tylko nie hardość. I Klima dzisiejsza, podobna do wczorajszej, pójdzie dalej w życie — z tą różnicą, że wczoraj żyła, a dziś pójdzie jak automat, mocą przyzwyczajenia poruszany.

Wieczorem po odebraniu pamiętnego listu Klima weszła do biblioteki, gdzie matkę i siostrę zastała.

Spokojnie, napozór obojętnie, pokazała im list Vera, pytając:

— Czy wy temu wierzycie?

Lila czytała przez ramię matki.

Silne rumieńce wystąpiły na jej twarz, oczy świeciły gorączkowo, oburzenie malowało się coraz wyraźniej w jej spojrzeniu.

— Kłamca! — zawołała w końcu. — Nikczemny kłamca! — powtórzyła.

Klima kurczowo ścisnęła poręcz krzesła, a choć w jej oczach pociemniało, choć serce jej zamarało w piersi, ani zemdląła, ani łzy nie uroniła.

Matka odgadła tylko, że jój dziecko przechodzi w tój chwili mękę konania.

Lila, pod wrażeniem wielkiego oburzenia, powtórzyła siostrze rozmowę, jaką miała z księciem kilka godzin temu.

Jeżeli ów list, zřęcznie dosyć napisany, zostawił cień nadziei w duszy Klimy, to teraz cień ten znikł bez śladu, a bólu nic nie łagodziło, nic, bo gardząc tym, którego przed chwilą kochała całą pełnią uczucia, gardziła i sobą samą.

— To, co kochałam, pozostawiło plamę na mojej duszy, zbrudziłam się tēm uczuciem; czas, ani żadne lekarstwo nie wymyje tēj skazy — myślała.

Szalone to było oskarżenie samej siebie, niczēm nieuzasadnione, a jednak głębokiēm przekonaniem wryło się w duszę panny Sieniawskiej.

W kilka dni wszystko było gotowe do podróży.

Wizyty „P. P. C.” złożone — odebrane.

Koniec maja; formalny szał wre na ulicach, w powietrzu, w naturze, w mieście całēm.

Wtorek — na środę wyjazd zdecydowany. Ósma godzina rano, margrabia de Groeck z żoną wybrali się konno do Łasku Bulońskiego. W tēj chwili zbliżają się do Łuku Zwycięztwa.

O tēj porze oryginalne zestawienie zrobić można w tēj dzielnicy nowego Babilonu. Z małemi wyjątkami, dwie tylko sfery zaludniają ulice.

Najwyższa i najniższa. Ta, która goni za przy-

jemnością, i ta, która goni za kawałkiem chleba. Pośrednich warstw brakuje. Jedni śpią, drudzy ledwie domowe zajęcie rozpoczęli.

Tylko ci, dla których uciecha jest celem, czasu nie tracą i wczesnie gonitwę za wrażeniami rozpoczynają.

Tylko ci, dla których każda godzina w domu małeńki zarobek przedstawia, a dzień cały ledwie na wyżywienie rodziny starczy, tylko ci wczesnie się zrywają, by się od głodu ochronić.

Lila, jadąc obok męża, spoglądała dokoła siebie i różne robiła uwagi.

Bo Lila to było dość skomplikowane stworzonko — przepadała za piękną toaletą, a do łez wzruszała ją nędza ludzka; tak serdecznie lubiła wesołość, bale, muzykę, tańce, a tak całą duszą odczuć potrafiła cudzą niedolę, smutek; tak nieogłędnie wyrzucała pieniądze dla dogodzenia fantazyi, gdy chodziło o nabywanie cacka, tak wspaniałomyślnie zrzekała się wymarzonej nawet przyjemności, gdy chodziło o dopomożenie bliźniemu.

Cienia egoizmu w niej nie było i cienia zarozumiałości; nie umiała przeczytać książki uczonej, choćby o wzniosłych celach traktującej, ztąd miała się za „głupiutką”, ale myśl jej zatrzymywała się nieraz na przedmiotach wielkiej wagi, zagłębiała się nieraz tam, gdzieby nikt nie był przypuścił, że się zagłębić potrafi.

Wszystko, co w niej było mądrego, milego, rozkosznego, ujmującego, wszystko to z serca pochodziło.

Z wyobraźnią dziecinną, dawała się unosić rzeczom blahym, światowości, tak, jak dziecko, świecidełka i błyskotki lubiła; sercem kobieta, umiała zdobyć się na siłę charakteru, na rozsądek, na wiele mądrych rzeczy.

Wtedy dziwili się ludzie: „Jakie to do niej niepodobne!”

A jednak było to do niej podobne, było to bowiem treścią jej natury, gruntem, na którym wszystko się opierało. Tylko ona tak swobodnie, ochoczo, wesoło brała życie, a ludzie swobodę, wesołość, a głównie ochotę do życia, tak dziwnie z pustotą wewnętrzną związali, że nie umieją prawie pojąć, aby jedno mogło być synonimem drugiego.

Lila, dążąc obok męża, myślała o tych istotach zafrasowanych, snujących się cicho a żwawo po bruku paryzkim, i byłaby chciała po raz tysięczny w życiu spędzić troskę z każdego czoła.

Odezwała się, przerywając dość długie milczenie:

— Gdybym ja była Panem Bogiem, dopięroźby było dobrze wszystkim ludziom na świecie! Wszyscy by z rozkoszy tańczyli!

Karol de Groeck, który w tej chwili daleki był od zajmowania się tém, coby robił, gdyby był Panem Bogiem, i stłumiał ręką nerwowe ziewanie, tak się

zdziwił owym słowom, że ziewnięcia nie dokończył i spojrzał na żonę, jak się patrzy na coś niezupełnie normalnego.

Ona poprawiła się natychmiast, jako gorliwa katoliczka, dodając:

— Ja wiem, że plotę bez sensu; bo przecież Bóg ma w tém swoje widoki, jeżeli więcej trosk, niż wesela zsyła.

Margrabia zaśmiał się wesoło, tak, jak się starsi z conceptów dzieci śmieją.

Lila z Vansockenem puszczała się na humanitarne rozprawki, ale z mężem... czuła, że jój nie rozumie.

— Może tobie Klima życie zatruwa? — pytał niedyskretnie Karol.

Nie wiedział on wszystkich szczegółów z tego, co zaszło pomiędzy panem de Montroye a siostrą żony, bo Klima, nie lubiąc szwagra, prosiła Lili, by go nie wtajemniczała w jój sercowe sprawy.

Książę de Poligny ze swój strony dąsał się na margrabiego i ploteczek mu nie udzielał.

Swoją drogą Karol, zwykle nieciekawy spraw cudzych, zmiarkował, że Montroye gra rolę w życiu Klimy, a że jój nie lubił, więc byłby z pewnem zadowoleniem usłyszał o jój upokorzeniu i zgryzocie.

— O Klimę się martwisz? — powtórzył pytanie, gdy Lila nie spieszyła się z odpowiedzią.

— Dlaczegoż nią więcej, niż czém inném? — odparła wymijająco Lila.

— Bo ją toczy teraz jakiś robak; nie wiem, miłość, czy blednica — rzekł złośliwie Karol.

— Prędzej blednica.

Lila skierowała na inny przedmiot rozmowę.

— Niezupełnie zdrowa teraz; gdy spędzi kilka miesięcy na wsi, przyjdzie z pewnością do siebie. Tak się cieszę na to całe lato; już mam dosyć powietrza paryzkiego!

— Nie dziwi mnie to, natura wilka ciągnie do lasu. Byłyście w dzikim kraju chowane, do dziczy wiecznie tęsknić będziecie.

Lila zarumieniła się z gniewu.

— Czy ty naturę piękną, a ludzi zdrowych moralnie „dziczą” nazywasz?

— No, już ty mnie nie zwabisz do tój pięknej natury i do tych zdrowych ludzi i do tych wszystkich sentymentalnych upodobań waszych.

Cisza zapanowała znowu między małżeństwem. Lila posmutniała.

— Nie, ja nigdy jego miłości nie zdobędę, a póki on mnie nie kocha, to i gustów moich i zapatrywań dzielić nie może.

I przyszły jęj na myśl słowa księcia: „Bertrand dla ciebie głowę i serce stracił.” Odpędziła je prędko; jęj się zdawało, że już jest grzechem to machinalne przypominanie słów cudzych.

Dla niej kochać, przywiązać się, było tak łatwo, taką naturalną skłonnością i potrzebą duszy, że przyzwyczajenie, poczucie obowiązku, okoliczności sprzyjające, wszystko to wystarczało, by serce jęj przykuć do kogoś, a nawet do czegoś, do przedmiotów, zwierząt, do miejsca, do zajęcia.

Nie powstało jęj w głowie, by można w narzeczonym nie być zakochaną. Nie przyszło jęj na myśl, by można męża nie kochać.

Inne to robiły, ona o tém wiedziała, żałowała i uniewinniała jedne, potępiała drugie, ale do siebie nie odnosiła nigdy możliwości nawet podobnej sytuacji.

Serce jęj było wiecznie pełne, nigdy w niem próżni nie zaznała, a choć często bardzo odczuwała ból głęboki, że mąż jęj nie oddaje tego uczucia, jakie ona ma dla niego, to przecież nie buntowała się przeciw temu. Miała zawsze gotową ekskuzę dla swego tyrana. Oni wszyscy tacy — każdy mąż ma swoje zle nałogi.

Już taki los kobiet.

— Jeden na tysiąc kocha żonę po ślubie; zkąd ja miałam rościć sobie pretensyę do losów, żeby mnie się ów unikat dostał?—filozofowała.—Ich natura inna, nasza inna,—mówiła sobie na pociechę—oni kochają inaczej, my inaczej, oni kochają *czasem* goręcej, my *zawsze* dłużej. Są takie, które z zawodu w głowach im przewracają i serca im zabierają; te katują ich i znęcają się nad

nimi za ich żony, narzeczone, siostry. Ale ja nie mam ochoty do nich należeć. Już mam taką „woskową” naturę, że czyjś ból staje się przede wszystkim moim bólem.

I tak było rzeczywiście, miała Lila jednak tę wielką pociechę, że o ile umiała czuć i boleć głęboko, o tyle natura jej wesoła, żywa, niosła jej prędko pociechę, ukojenie i wielka choćby zgryzota na długo świetnego jej humoru zepsuć nie potrafiła.

Tym razem także wyrwał ją ze smutnej zadumy widok oryginalnego zaprzęgu. Staruszka jakaś w wielkim słomianym kapeluszu powoziła dwoma kozami, siedząc w maleńkim wózekku; wózek pełen marchwi, pietruszki, cebuli — widocznie stara na targ wiozła swoje bogactwo.

— Jakie pyszne kozy. Patrz, Karolu, to moje marzenie dla Lulu; możeby ona sprzedała? Spytaj się, to taka będzie radość!

— Co znowu! Jutro jedzicie, a ja będę kozy kupował? Może ty z Klimą, jadąc, na wstążeczkę wziąć chcecie każda po jednej kozie, dążąc na sielankę; to bardzo uroczy będzie widok—*à ce prix*, gotów jestem kupić.

Lili tak się komiczną wydała myśl prowadzenia kozy na wstążeczce, że, śmiejąc się wesoło, serdecznie, o wszystkich chmurkach zapomniała.

— Już zrzekam się kóz, — mówiła — ale stanowczo nie wyrzekam się tego, byś ty nie miał Sieniawki odwiedzić, choćby na kilka tygodni; pomyśl

tylko, to doprawdy byłoby okropn^{em}! Dzieci zapomniałyby cię zupełnie.

— Dzieci, dzieci! Dajże mi pokój; gdy zostanę mamą, wtedy będę myślał o dzieciach.

— To znaczy, że nigdy, Karolu? — ze smutnym uśmiechem pytała Lila.

— Może przyjadę. Ty wiesz, że niecierpię krępować się projektami.

— I tybyś doprawdy nie tęsknił za nami, wcale? ani za dziećmi, ani za mną? Powiedz, Karolu, że tak nie jest, powiedz.

— A to dobre! Czemu ja dla was mam robić poświęcenie, czemu nie wy dla mnie? Ja dziczy niecierpię, więc może ty tu z dziećmi zostaniesz?

— Jeżeli tego żądasz — ale nie przyjąłeś mojej ofiary; gdybyś chciał, to zdecydowałabym się zamieszkać w Guerlaon, w Paryżu nie można; dzieciom świeżego powietrza potrzeba. Ale ty Guerlaon także nie lubisz. Ty kochasz jedno tylko na świecie — Paryż.

— Nie przyjąłem od ciebie ofiary, więc ty jej odemnie nie żądaj; skoro wiesz, że mnie tu dobrze, to mnie tu zostaw w spokoju.

Lila z mężem argumentować nie umiała, uważała to zresztą za rzecz niestosowną i nie prowadzącą do niczego, oprócz do scen strasznych.

Ach! te sceny; ją dreszcz zimny przechodził na ich wspomnienie.

Byli już dawno w tak zwanym lasku i wiele ukłonnów zamienili dotychczas.

Nagle, na zakręcie drogi, wysunęły się dwa łby końskie, a za nimi dwie głowy męskie, księżę Ubaldini i Bertrand Vansocken.

Rozjaśniła się znudzona dotąd fizyognomia margrabiego.

Księżę Ubaldini, to jego wielki przyjaciel, z nikim tak o psach i o koniach rozprawiać nie można. Pointery, bigle i cetry, a po za tēm trakeny, perszerouy, demi-sang i pursang, to temat niewyczerpany.

Zamienił Karol *shake-hands* bardzo kordyalne z towarzyszem wszystkich polowań, a Lila niezmiernie się zażenowała; nie wiedziała, jaką minę przybrać wobec Bertranda, skoro nie mogła usunąć się od jego towarzystwa.

— Byłem wczoraj u margrabiny, chcąc ją pożegnać, ale mnie nie przyjęto — zaczął Bertrand.

— Taka byłem zajęta, przepraszam pana bardzo — odparła zakłopotana Lila.

— A tymczasem, czy pani domyśla się, co czują ludzie w chwili, kiedy zamiast „zaraz”, muszą sobie powiedzieć: „za pół roku, a może i więcej?” Kiedyż panie wracają ze swęj podróży?

— My teraz „wracamy”; przecież jedziemy do kraju. Za pół roku przyjdzie nam emigrować na nowo.

— Pani Francyi nie lubi?

— Paryż lubię zawsze, jako najciekawsze, najruchliwsze i najpiękniejsze miasto pod słońcem.

— Karolu, już dziesiąta! — zawołała Lila — tylo mam jeszcze zajęcia, musimy wracać.

— Karol, który dopiero co wyznaczył sobie „*rendez-vous*” z księciem Ubaldini, mógł się oderwać od rozmowy. Pożegnano się więc na miejscu.

Bertrand z rozpaczą w sercu czuł, że Lila nawet przyjaźń swą dla niego cofa, a żegnał ją na tak bardzo długo; i nie pojmował, jak zniesie te długie miesiące, nie pojmował, jak zniesie to życie, którego końca nie widział, jak zniesie to życie bez nięj.

Lila też posmutniała bardzo; czuła, że ból zadała, a ona tego wystrzegala się więcej, niż własnego cierpienia.

Nie zdawała sobie sprawy z uczuć swoich. Nie próbowała ona nigdy analizować siebie. „Jestem na to za głupia” — powtarzała.

O tyle miała słuszności, że nie ma tego mędrca, któryby się w takiej analizie nie zgubił.

Koło dziesiątej, Lila dowiedziawszy się, że matka jęj i siostra są w kościele, pośpieszyła złączyć się z niemi.

Cichy kościółek „*Nôtre Dame de bonnes nouvelles*”, mało znany, szczególnieję „*high-lif'eowi*” paryzkieniu niewielki, o liniach wyszukłych, wysoki, lśniący białością marmurów, w tęj swojej bieli i smukłości robił wrażenie lilii.

Ile tablic marmurowych, tyle hołdów dziękczynnych, albo modlitw serdecznych, wyrażonych złotem literami na tle białem.

Cudny kościółek, gdzie się duch blisko Boga czuje, gdzie wszystko do modlitwy usposabia, gdzie się każdy, choć na chwil kilka, lepszym, wznioślejszym staje.

Wotywa. Organy, dotknięte ręką wprawną, napełniają kościół melodyą, wprost do serca idącą. Płyną potoki harmonii, z duszy natchnionej; kto tak gra, a gra Bogu na chwałę, ten wierzyć musi i na skrzydłach muzyki do nieba się unosić.

Kilka chwil temu weszła tu Klima, harda, z duszą zbuntowaną przeciw losom, bo przeciw Bogu buntować się nie śmiała, a przecież bunt, buntem pozostał. Czyż ręką, jeżeli nie ręką Boga losem jej rządziła?

Weszła Klima do domu Bożego, machinalnie prawie, idąc za przykładem matki; dusza jej nie wyrwała się do tej niebiańskiej pociechy; nie szukała jej nawet, nie wierzyła, by pociecha dla niej istnieć mogła i prosić o nią nie miała zamiaru. Po co? Jej się zdawało, że wysłuchaną być nie może.

Ale duch Boży mieszkał w przybytku swoim i ogarnął ją.

Oczy jej odpoczywały w tej śnieżnej białości i lubowało się nią zbolące serce, kołysała cudowna melodia Fugi Bacha. Pływały fale harmonii tam,

z góry — to miękkie, łagodne, ciche, pokorne, śpiewały Bogu pieśń poddańczą, łkając, żaląc się, uskarżając coraz silniejszym tonem, błagały Boga o litość w minorowych, rozpaczliwych prawie jękach, wstrząsały duszę ludzką. Teraz słabły i cichły, jakby ukojone; szeptem, prawie nieokreślonym, jak znikające echo, dziękowały za doznaną pociechę, aż nagle, przechodząc w „major”, brzmiały głośniejszém dziękczynieniem.

Coraz głośniej, pełniej i silniej rozplywa się potok melodyi; aż niby chór cały rozbrzmiewa po kościele pieśnią tryumfalną: Hosanna! hosanna!

Wszystko drga pełnią tonów, każdy zakątek, każde zagłębienie kościoła wibruje harmonią.

W tój bieli lilii, w światłach jarzących na ołtarzu, w blasku słońca, padającym z wielkich okien, w eterycznej lekkości świętych Pańskich, unoszących się na obrazach, w całym idealném zestawieniu wszystkiego, co przez zmysły do duszy przemawia, mieściło się tyle pociechy, taka balsamiczna atmosfera rozchodziła się w tym białym przybytku, że serce Klimy poczęło razem z organami łkać po cichu, skarżyć się Bogu i o litość błagać.

Hymn tryumfalny brzmiał już radośnie w pełni tonów. Serce Klimy korzyło się ciągle, a duch Boży wszechmocną ręką pokój w niém szczepił, pokój, który miał być zakłócony często jeszcze recydywą złego, ale który, pochodząc z Wszechmocnej prawicy,

plon wydać, przyjąć się musiał. Tęj modlitwy, tych wrażeń, tęj harmonii melodyjnej w tym białym kościółku, nie miała Klima zapomnieć, a gdy szatan pychy i buntu powracał, by rzucić garść swego nasienia i psuć Boże dzieło, Klima szukała ratunku w przypomnieniu tęj cudnej melodi, która ukołysała ból, rozrywający jęj serce.'

Melodya ta musiała się stać dla nięj głosem Bożym, harmonia w nięj zawarta, wszystkie węże podnoszące jadowite głowy, miała obezwładnić, zwyciężyć i z buntowniczego serca Klimy wypędzić.

Księżna i Lila niemniej wzruszone i pocieszone opuściły kościółek.

— Mamo — mówiła Lila, równie jak siostra wrażliwa na muzykę — anieli w niebie piękniej grać nie mogą. Mnie się zdaje, że nawet umierać przy takiej muzyce byłoby łatwo.

Księżna i Klima milczały; zdawało się im, że umrzeć w każdej chwili jest łatwiej, niż żyć ze zlamaniem sercem.

Buntu przeciw woli Bożęj i cieniu w nich teraz nie było, ale smutek pozostał; dusza ich zaczerpnęła jednak wiele sił ze źródła pociechy.

A sił potrzeba im było wiele, szczególnieź księżnej, do zniesienia ciosu, jaki ją czekał.

Natychmiast po powrocie do domu oddano jęj depeszę, zawierającą słowa:

„Hrabia Przemysław Mielsztyński bardzo chory, prosi o powrót siostry.”

Podpisano: „Ksiądz Wiktor.”

Wyjazd zatem przyśpieszono o kilkanaście godzin.

Księżna z trwogą wielką dążyła do brata, umierającego może, którego tak bardzo kochała.

A serce jej, to zamierało z obawy, to było żywiej nadzieją, że może wszystko nie stracone jeszcze.

Klima szarpana była różnemi uczuciami. I ona miała tyle przywiązania dla wuja, idealnego brata jej matki; ale w tej chwili robiła sobie gorzkie wyrzuty, że była gotowa zdeptać wszystkie iluzje, resztki nadziei starego i schorzałego człowieka, by dogodzić egoistycznemu uczuciu. Jakże okropnie ten, któremu wszystko poświęciła, zdeptał jej własne uczucia!

XI.

Pociąg dysząc, sapiąc, chrapiąc, plując, zwalnia bieg swój i zatrzymuje się w Tahańczy — to stacya księżnej de Poligny i jej córek.

Powóz i bryki pod rzeczy czekają na nią, ale nie z Sieniawki, tylko z Mielsztynówki, bo panie te dążą pod dach starego pana Przemysława Mielsztyńskiego, jedna wobec drugiej ukrywając trwogę, jaka

w czasie drogi ich nie opuszczała — trwogę o jego życie.

Ale trwoga, chwilowo przynajmniej płonna się okazała, bo tydzień później stary pan Przemysław zdawał się wracać do życia, gdy ukochana siostra i siostrzenice otoczyły go swoją opieką.

Nie miał jednak siły podnieść się z łóżka.

Piękna jego głowa, pokryta bujnym, trochę kędzierzawym, białym włosiem, wąs zawieszisty, równie biały, najmilsze sprawiał wrażenie.

Dziwnie ujmujący wyraz twarzy, uśmiech słodki, jak u dziecka, chociaż wiele energii w oczach, wzbudzały równocześnie i zaufanie i szacunek.

Spoczywał na mahoniowém starém łóżku, w skromnie urządzonym pokoju, gdzie mnóstwo strzelb od najstarszego do najnowszego systemu, a także skóry dzików, niedźwiedzi i rogi jelenie świadczyły, że pan Przemysław myśliwstwu się oddawał.

Myśliwstwo było pierwszą i ostatnią jego namiętnością. Mówiono, że dlatego tylko się nie ożenił, aby mógł swobodnie dnie w lesie przepędzać.

Powiadano nawet, że jedyna osoba, w której się kiedykolwiek kochał, znana na Ukrainie piękność swego czasu księżniczka Zeneida Bystrzanowska, wielkim sentymentem darzyła go w zamian; że pan Mielsztyński miał z nią tańczyć pierwszego mażura i prowadzić tańce w domu jej rodziców, tymcza-

sem zapomniał i o mazurze i o księżniczce, gdy mu leśniczy oznajmił, że jest na tropie dzika.

W ten sposób, dla miłości dzików i zajęcy, został pan Mielsztyński starym kawalerem, a często bardzo patrząc na swe siostrzenice, dowodził, że wcale tego nie żałuje, bo własnych córek nie mógłby więcej kochać.

Myśliwstwo — to był główny łącznik między starym Mielsztyńskim a młodym Leonem Braclawskim.

Mieszkali w najbliższem sąsiedztwie i zwykle razem odbywali dalekie wycieczki, czy to z wyżłami, czy z chartami.

Pan Leon przywiązał się serdecznie do starego sąsiada. Kochał w nim równocześnie ideał zacnego człowieka i wuja Klimy — miłego towarzysza i skończonego Nemroda.

Ze swęj strony stary Mielsztyński nie mógł się obejść bez Leona; dlatego też, gdy zasłabł, przede-wszystkiem posłańca po niego wysłał.

Zanim pani Sieniawska z córkami zdołały nadjechać, Leon dniem i nocą czuwał nad chorym, zmienił plany wyjazdu na Litwę, odłożył to do chwili, kiedy już choremu potrzebnym nie będzie, a okropny żal go ogarniał, gdy się zastanowił, że może chwile starego przyjaciela są policzone.

Z drugiey strony serce biło mu gwałtownie na myśl, że lada dzień Klima nadejdzie — Klima, nale-

ząca już pewnie do innego, jeżeli nie związana ślubem, to przynajmniej narzeczona.

Nie śmiał myśleć o tém.

Nigdy, na drobiazgowy pytania pana Mielsztyńskiego, nie wspomniał słowa o tém, co w Paryżu głośnym było — dlatego nazwisko de Montroye obcym było dla wuja Klimy.

Stary Mielsztyński, który w życiu nie napotkał żadnych niezwalczonych trudności, którego wola, nie ulegająca fantazyi, ale rozsądkowi, kierowała zwykle całym otoczeniem, nie przypuszczał, aby mógł czegoś pragnąć gorąco i aby to coś nie miało przyjść do skutku.

Dwa ciosy, które przeboleł, było to powtórne małżeństwo siostry i zamążpójście Lili; wyrzucał sobie, że temu nie zapobiegł i zdecydował, że Klima będzie żoną Leona i na chwilę nie wątpił, że decyzya ta uznana będzie za nieodwołalną.

Na kilka dni przed przybyciem tych pań z Paryża, leżał starzec, złamany chorobą, prawie bezprzytomny, przecież ostatnie godziny w wigilię ich przyjazdu coraz się czuł rzeświejszym, humor mu wracał i przesładował Leona, zapytując go o powód zamyślenia.

— Kobiety się zjawiają, to ci będzie zaraz weselej. Smutno ci biedaku, i nie dziw, tyś tylko we mnie duszę przytrzymał, a teraz myślisz, że śmierć w sąsiedztwie, to rzecz niewesoła.

— Ja wcale o śmierci nie myślę; najlepszy dowód, że nic złego nie było, skoro pan tak prędko do siebie przychodzisz. Co do pań, to nie doczekam się ich przybycia, bo mam wiele interesów w domu, więc skoro panu lepiej, dzisiaj się pożegnamy.

— Ani mi się waź ruszyć! Zwaryował! Ja kontent, że trochę przy młodych twarzach odetchnę, a ten ucieka. Zwaryował! Zostaniesz i kwita, gdybyś mi za drzwi tylko wyszedł, to umieram i musisz wracać na ratunek.

Pan Mielsztyński był despota, na swoim postawił — i dlatego Leonowi coraz niespokojniej serce biło, w miarę zbliżania się chwili przyjazdu „Paryżanek”, jak te panie na Ukrainie zwano.

— Całkiem tu będę niepotrzebny — myślał — dadzą mi to uczuć na wstępie, to jest „ona”. Spojrzy na mnie tym swoim nieubłaganym wzrokiem, zimno zmierzy, pytając wyraźnie spojrzeniem: „A ty tu co robisz?” Ależ będzie to cios dla biednego staroego. Gdybyż to ukryć przed nim można! Te kobiety są jednak bez litości — choć nad nim mogła się zlitować. Gdzietam! egoizm! Cóżby jej „ja” poczęło, gdyby mu we wszystkim nie dogadzała? Niech tylko przyjadą, a staremu będzie lepiej, to już mnie tu i dyabeł nie przytrzyma. Cóż u licha! U nóg się będę czołgał, a ona po mnie deptać będzie?

Jakiś głos na dnie serca szeptał:

— Niechby i deptała; wszystkoby mi zniósł od

nięj, gdyby nie kochała innego, ale teraz — teraz, gdy ona inną pomiata, zdaje mi się, że to nie ona, tylko on i krew się we mnie burzy.

Tymczasem wybiła chwila spotkania; ale tak zupełnie różna od tej, jaką sobie Leon wyobrażał z gorączką, że kilka dni później, chodząc u siebie po łasku, który się z ogrodem łączył, uprzytomniał sobie w pamięci każde słowo, każde spojrzenie Klimy, i nie wiedział, co to wszystko ma znaczyć?

Ale bo też wróciła na Ukrainę do rodzinnego gniazda — nie ta sama, wyniosła, harda Klima, pełna życia, pełna energii, wiedząca, czego chce i do czego dąży.

Cień jęj wrócił — ciało bez ducha.

Nie przywitała Leona ani sarkazmem, ani zimnym spojrzeniem. Podala mu rękę, z jakimś uśmiechem, który nigdy dawniej na twarzy jęj nie powstał, z uśmiechem tych wszystkich, którzy nie dla siebie, ale dla oczu ludzkich się śmieją.

Uśmiech taki oczu ani twarzy nie rozjaśnia, a zamiast wywołać weselszy promień na twarz bliźniego, wywołuje tylko głębokie współczucie.

— Co się stało? — myślał Leon — co się stało? Gdybym ja tego mógł dojść kiedy. Czy ona się na tamtym poznała i teraz płacze za zmarłymi ideałami?

A wielki żal ścisnął jego serce, patrząc na ukochaną kobietę, której oczy najwyraźniej świadczyły, że życie już ją nie zajmuje.

Te kilka dni tak bardzo smutnych, a tak bardzo miłych jednak dla Leona, zeszyły na czuwaniu przy łożu chorego. Klima nie opuszczała wuja.

Dla niego widocznie siliła się na humor, a on wpatrzony w nią, na swój sposób także zakochany w jej pięknym profilu, uśmiechał się do niej, trzymając jej rękę w swém ręku.

Że Klima piękniejszą była teraz, to nie ulegało wątpliwości. Słodycz wielka rozlana była na jej twarzy, słodycz, której tam dawniej brakowało.

Braclawski, chodząc w Olwiopolu między wyniosłemi świerkami, zastanawiał się nad tą wielką zmianą i dumiał:

— Jak ona go musi kochać, ale jak ona musi cierpieć, biedna, biedna!

A duszę byłby oddał, by ją mózdz pocieszyć, by odblask dawnego życia wywołać w jej oczach.

Konny poslaniec od strony Mielsztynowa się zbliżał; Leon zachodząc mu drogę, miał chwilę wielkich wzruszeń, czy nie wiecie złych wieści o starym Mielsztyńskim.

Było to wezwanie, drżącą ręką starego skreślone:

„Przyjedź zaraz; muszę z tobą pomówić, może raz ostatni — gorzej mi.”

Godzinę później siedział Leon przy łożu starca, którego żółta cera i widoczniejsze, niż zwykle zmarszczki świadczyły, że złą noc przebył, a z przygasłych oczu z trudnością unosił powieki.

Na wyraźne żądanie chorego, księżna i Lila pokój opuściły. Starzec zatrzymał przy sobie tylko Klimę i Leona.

— Co to będzie? — myśleli oboje i czuli, że jakaś przykra a ważna dla nich chwila nadeszła.

Stary Mielsztyński odchrząknął kilka razy, to przybierał siedzącą postawę, to, zmęczony widocznie wysiłkiem, kład się na nawo, a Klimę, poprawiając mu poduszki i dogadzając, wedle możliwości, pierwszy raz od wyjazdu z Paryża wyrwaną została z apatyi — tak wielkim niepokojem o ukochanego wuja, jak dziwnie ambarasującą pozycją, gdy sama jedna obok Leona na żądanie wuja przy nim została.

Nareszcie starzec się odezwał:

— Już czas na mnie, tym razem się nie wykręcę. Nie, nie! nie zaprzeczajcie, wy też to dobrze wiecie. Ale Bóg miłosierny, czegoż się bać śmierci? Wszystko w porządku zostawiam. Testament...

Tu się zatrzymał, widocznie sił mu zabrakło. Łzy wielkie staczały się zwolna po twarzy Klimy. Leon, siedział, ręką oczy zasłaniając.

Mielsztyński mówił dalej po krótkim odpoczynku.

— Domyślcie się, po co was tu zawołałem. Milczenie.

— Wiecie jakie jest gorące życzenie moje?

Cisza zupełna panowała w pokoju, kilka muszek wiosennych pobrzękiwało na oknach. Zachodzące słońce rzuciło smugę świetlistą na posadzkę.

Gdy starzec przestawał mówić, można było z cizy i postawy wziąć tych troje za posągi.

Mielsztyński, widocznie zadziwiony tem milczeniem, mówił po chwilowej przerwie:

— Dawno już myślałem, że wy dwoje do siebie należeć będziecie. Nie ma czego dłużej zwlekać i w bawełnę owijać. Kochaliście się jeszcze jako dzieci. Pewnie wam serca z wiekiem nie wystygły, co? — pytał, siląc się na uśmiech i na swobodę.

Po chwili dodał:

— Cóż tak siedzicie, jak mumie? Ty, Leonie, ty — to do ciebie należy, to rzecz mężczyzny wyznać najpierw...

Tu stary urwał, przyszło mu na myśl. Czemu się Leon nie spieszy? Może on kocha inną? Może jemu Klima nie w głowie?

I okropnie mu się smutno zrobiło; ale było to ostatecznie a najgorętsze pragnienie umierającego człowieka; nie chciał go się wyrzec. Zapytał wtedy wprost.

— Leonie, ty może inną kochasz?

— Nie — lakonicznie, półgłosem odparł Leon dla którego chwile te były także powolnym konaniem.

Oczy chorego jaśniej spojrzwały na młodego człowieka.

— Klima nie może ci się nie podobać. Kochasz ją? — z prawdziwie męczącą natarczywością pytał

starzec; zapominając, pod wrażeniem osobistych pragnień i fizycznego cierpienia, jak bardzo scena taka mogła być upokarzającą i przykrą dla ukochanej siostrzenicy.

— Kochasz ją? — pytał powtórnie gorączkowo.

— Kocham — wyszeptał półgłosem Leon, nie podnosząc oczu i rękami twarz przysłaniając.

Klima blada bardzo, czuła, że na nią przyjdzie kolej indagacyi; serce w niej zamierało, przytomność umysłu prawie ją odbiegała — jedno tylko wiedziała, że wujowi nie zrobi zawodu, że wypełni jego ostatnią wolę.

— Dziś mi już wszystko jedno, czy ten, czy inny, skoro wuj tego pragnie — myślała.

Nie omyliła się, pan Przemysław po chwili spoczynku zwrócił się do niej:

— A ty go kochasz, Klimo? — zapytał, nie dając jej tęp prosto postawionem zapytaniem możliwości wymijającej odpowiedzi.

Znowu chwila strasznie przykrego milczenia nastąpiła.

Leon męki przechodził, a nie śmiał starcowi pokoju zakłócać jasnym przedstawieniem sytuacji.

Klima, po krótkim wahaniu, podniosła głowę, oczy na chorego zwróciła i odparła:

— Jestem gotowa zostać żoną pana Leona, jeżeli takie jest życzenie wuja.

Starzec, widocznie uradowany pomysłem zakoń-

czeniu ułożonego przez siebie planu, mówił dalej pewniejszym, spokojniejszym już głosem:

— Czemużeście się tak długo namyślali, skoro się kochacie? I moja siostra i ja pragniemy tego. Klimo, testamentem prawie cały mój majątek tobie zapisałem, a Leona proszę, aby od téj chwili zajmować się zaczął interesami. Zrobiłem go egzekutorem testamentu i powierzam mu to wszystko, co do Klimy należeć będzie. Czy spełnisz moje życzenie?

— Spełnię — lakonicznie odparł Leon.

— Niech was Bóg błogosławi, drodzy moi — dodał chory, wyciągając rękę do Leona i łącząc dłoń jego z dłonią Klimy. — To wielka dla mnie pociecha.

Wieczorem dnia tego stary pan Przemyk zdawał się do zdrowia powracać, swobodny był, w dobrym humorze, tylko sił mu brakowało.

W nocy księżna zdrzemnęła się na chwilę przy łóżku chorego, obudził ją głos brata, głos zmieniony i jakby wystraszony.

— Duszę się, duszę, daj gromnicę — zawołał — Jezus, Mar...

I słodkie imię Maryi domówił na tamtym już świecie.

Pomimo oddalenia, wiele bardzo osób zjechało się na pogrzeb starca, którego ogólnie kochano.

Pan Leon Braclawski zajmował się wszystkim, co było do załatwienia w czasie smutnego obrzędu,

a wieść, że jest narzeczoną panny Sieniawskiej, choć tylko na domysłach oparta, rozbiegła się szeroko i dalego.

Klima tymczasem tak była znękana, zboląła, że jak we śnie dała sobą powodować. Śladu z dawniej stanowczości nie pozostało — uległa, cicha, nie objawiała żadnego życzenia, żadnej woli, nie objawiała nawet w oczy bijącego żalu po stracie wuja.

Jak automat obracała się między ludźmi, a Lili roztaczała nad nią opiekę, jak nad małym dzieckiem.

Dwie tylko były istoty, które zdołały na smutną jej twarz promień ożywienia wywołać—Lulu i ksiądz Wiktor.

Ksiądz Wiktor Sieniawski, brat stryjeczny Klimy i Lili, był skończonym typem księdza z powołania.

Musiało to powołanie być bardzo silne, jeżeli zwyciężyło w nim jedyną wielką rywalkę—muzykę.

Dłuższy czas wahał się młody Sieniawski między zupełnym oddaniem się sztuce, czy Bogu?

Dzieckiem był jeszcze, gdy okazywał wielkie zdolności do muzyki, improwizował już wtedy na różne temata, jakie mu Klima i Lila zadawały.

Z kuzynkami wychował się prawie. Matka jego umarła, życie mu dając, ojciec w kilka lat później przeniósł się także do wieczności, umierając, polecił dziecko bratowej, hrabinie Sieniawskiej, i ztąd to chłopczyk; o kilka tylko lat starszy od Klimy, w Sieniawce dziecinne spędził lata.

Cichy, łagodny, ze spuszczeniem w dół oczyma robił wrażenie grzecznej panienki i kuzynki, dużo hałaśliwsze od niego, trzymały go pod pantoflem, prowadząc na pasku.

Nieraz, jako mała dziewczynka, wymawiała mu Klima, że nie umie dobrze konia udawać, ani powozić, cytowała mu, jako przykład Leona Braclawskiego, którego odwiedziny napełniały hałasem cały pałac, elektryzowały młodziutkie pokolenie.

Gdy trójka swawolników, to jest dwie kuzynki i Leon zanadto hałasowali. Wiktor wymykał się niepostrzeżony, zasiadał do fortepianu i grał, grał bez końca, aż zwabione muzyką dzieci, zasiadały poważnie do fortepianu i pod czarem różnych melodyi, zachowywały się spokojnie.

Wychowany u Jezuitów, później na uniwersytecie w Gandawie, marzył zawsze młody człowiek o ciszy, ale nie klasztor go nęcił, wszędzie zdala od swęj Rosi ukochanej, tęsknił; wiedział, że tylko na Ukrainie; nad Rosią szczęśliwym być może.

Nikt mu oporu nie stawiał — był niezależny, bogaty, mógł wybrać każdy zawód, a gdy całe nieraz miesiące mijały i on, pochłonięty przez muzykę, nie pojmował by mógł żyć bez niej, to następowały miesiące zmęczenia, jego serce tęskniło za obfitszym polem, na którym mógłby zasługi jakieś położyć — rwało się do poświęceń. Umartwiał się, modlił go-

dzinami, i prosił Boga, by mu dał siły do zwalczenia kusicielki muzyki.

Po długich walkach, powołaniej prawdziwe zwyciężyło.

Wyświęcony na księdza, prędko dostał probostwo wymarzone nad Rosią, a gdy raz potrafił panować nad sobą i nie pozwolił muzyce owładnąć sobą wyłącznie, poznał, że ta, która mu się groźną rywalką Boga, od piekła zesłaną pokusą wydała, jest pocieszycielką i przyjaciółką człowieka w chwilach wolnych od poważniejszego zajęcia.

Nie zarzucił więc muzyki, ale też nie hołdował jej jednej wyłącznie.

W czasie pogrzebu starego pana Mielsztyńskiego można było widzieć postać młodego księdza, wysoką, szczupłą, nieco naprzód pochyloną, uderzającą dystynkcyą ruchów i szlachetnością fizyognomii.

Ksiądz Wiktor, w długiej sutannie, wydawał się wyższym i szczuplejszym jeszcze, niż był w istocie.

Cera nieco zżółkła, świadczyła o postach i umartwieniach, oczy zwykle powieką i długą, bardzo ciemną rzęsą przysłonione, pełne były słodczy wielkiej, gdy je na chwilę odstonił.

Usta małe, gotowe każdej chwili do łagodnego uśmiechu, nadawały mu cechę niesłychanej, niezwykłej dobroci.

Dobrym był też ksiądz Wiktor, jak anioł Boży na ziemi, a jeżeli człowiek ze zwierzęcia i z anioła

jest złożony, to w młodym księdzu anielska natura prawie zupełnie górę nad zwierzęcą wzięła.

Wszyscy Ignęli do niego, a cóż dopiero ci, co go znali zbliska.

Dziś, po śmierci starego Mielsztyńskiego pocieszał ciotkę, pocieszał Klimę, Lilę — każdą na inny sposób.

Księżne — modlitwami wspólnymi, Lilę — wesołym opowiadaniem codziennych zdarzeń w parafii, Klimę — muzyką.

Bystrzanka, probostwo księdza; Sieniawka, rezydencya hrabiny Sieniawskiej; Olwiopole, majątek Leona i nareszcie Mielsztynówka, siedziba zmarłego pana Przemyka — wszystko to było w sąsiedztwie położone.

Panie Sieniawskie, opuszczając Mielsztynówkę, po kilku godzinach drogi znalazły się w Sieniawce; nie oddalając się od Bystrzanki, to jest od księdza Wiktora; a poczciwy ksiądz, choć po nieustannęj pracy około parafii, najwięcej lubił spokojny wieczór przy muzyce, przecież, widząc smutek swych krewnych, szukał chwili swobodnëj, by do nich zajrzeć.

One ze swëj strony częstemi były gośćmi na probostwie.

Wszystko je tam nęciło — najpierw sam ksiądz Wiktor, kojący troski i bóle swoim wpływem; potem urocze położenie Bystrzanki; spokój, jaki się tam odczuwało; organy, na których ksiądz grał tak pięk-

nie; łódź wielka na Rosi, na której dalekie robiono wycieczki.

Położenie Bystrzanki jest rzeczywiście czarodziejskie.

I to Ukraina — ale tak, jak w operze, gdy się jeden akt skończy, a w drugim, po podniesieniu zasłony, inne dekoracje oczom się ukazują, tak i tutaj, po przebyciu mil paru, trudno uwierzyć, że się dopiero smętny wzrok w płaskie, melancholijne obszary posyłało.

Niby oaza na pustyni, zielone gaje, wesole strumienie, wsie gęste, wielkie, porządnie zabudowane, ciągną się jedne za drugimi.

Aż i pagórki o miękkich, delikatnych konturach, aż i wąwozy, doliny, kotliny, parowy i wysokie wzgórza, przesuwiają się przed oczyma.

Natura zalotna, fantastyczna, po to tylko monotonna, bezbarwną szatę przywdziała, by nagle zabłysnąć tysiącami uroków. Nigdzie nie spotkasz w tym jasnym zakątku grozy, ponurości, ani nawet przepychu krajobrazu.

Ani skał urwistych, ani niebotycznych, śniegiem uwieńczonych, gór wspaniałych, ani przepaści, ni tego wszystkiego, co choć wzrok nęci, grozą przejmują.

Ale uśmiech tylko, uśmiech za uśmiechem rozweselonej przyrody.

U stóp wzgórza Roś się pieni, zadąsana, rozka-

pryszona — wolałaby toczyć się wprost przed siebie, bez zapory, a tu drugie wzgórze, po przeciwnęj stronie, zmienia kierunek jej koryta — więc, rada nie rada, skręca raptownie na lewo, a huczy, a złości się, a nadyma, harda w swęj piękności. Królowa wód wielu, ma tyle, tyle służebnic w strumykach, rzeczulkach maleńkich — nie zna sobie równej w tych stronach.

O nięj wszyscy tu wiedzą, do jej kaprysów się stosują, liczą się z nią, obawiają nieraz, bo umie ona tamy zrywać, groble niszczyć, młyny znosić, mosty druzgotać, wszystkie złe narowy posiada: podstępna w twęj naturze, jak jej starsze siostry.

A słońce patrzy na nią i uśmiecha się, bo taka ładna w swęj fali rozkapryszonęj; białą pianą obryzguje wybrzeża i grozi, grozi! Płaszczyzna grózb tych nie lubi, ale obadwa wzgórze urągają się tylko i przeglądają w jej wodach.

I drzewa patrzą; piękne majestatyczne dęby rade odbijać swe prastare konary w nurtach rzeki.

Ale im Roś szyki psuje; dęby tak wysoko, dębów nie dosięgnie swą pianą złośliwą, więc wykrzywia ich obraz i wyśmiewa ich majestat, każąc im tańczyć w ruchliwęj fali, łamie pnie w zygzaki, odrywa od pni konary, rozprasza liście po wierzchu wód, karbuje nawet i załamuje w swęm zdradliwęm zwierciadle wzgórz kontury.

Na jakie pięćset kroków nad poziom Rosi, na

schyłku wzgórza stoi kościółek niewielki, na biało pomalowany, od strony wzgórza otoczony lipami, od strony rzeki wystrzela wieżyczką, a rzeka, ominąwszy dawne przeszkody, już uspokojona, z powagą wobec wieżyczki się zachowuje i odbija wiernie jej linie, jakby dumna, że w jej nurtach rysuje się dom Boży.

Tuż obok kościoła, za ogrodzeniem cmentarném, ogród proboszcza. W nim lipy, grusze i jabłonie.

Probostwo samo, na kilkanaście łokci dokoła otoczone centofoliami; krzewów różanych bez liku — tworzą gaje, kląby i żywopłoty, a kwitną krociami kwiecia.

Wszystko zda się różowe od ich stulistnego blasku.

Zapach słodki, łagodnie rozplywa się daleko i szeroko; róże zchodzą coraz niżej, coraz niżej od białych murów probostwa, coraz niżej, aż po same brzegi rzeki i też się przegładają ciekawie; róże, to takie próżne i rade ze swęj urody stworzenia!

Istny labirynt — same centofolie, tylko centofolie.

Jedne rozsypały już swe delikatne listeczki i zasłały ziemię różanym dywanem; drugie w całym blasku rozkwitu śmieją się do słońca; inne ledwie z pączka wyzierają na świat różowym koniuszczkiem, takie śliczne, jakby onieśmiałone jeszcze i gotowe cofnąć główkę w zielony kapturek.

Probostwo wewnątrz równie miłe i estetyczne

sprawiało wrażenie. Czystość wielka. Piękne kopie obrazów: „Noc Corregia”, „Święta Cecylia” Rafaela, porozwieszane na ścianach.

Fortepian w jednym, harmonium w drugim pokoju, przyrządy stolarskie i introligatorskie na stołach, biblioteka dzieł poważnych—wszystko to razem świadczyło o gustach księdza.

Nie miało się ochoty wracać do świata z tej cizy. Kto tu zajechał, byłby chętnie na długo pozostał, czując, że tutaj wypoczynek znajdzie.

Częstym gościem na probostwie bywał także Leon. Kochał księdza, jak brata; jego energiczna, ruchliwa, męzka natura odczuwała czar wielkiej słodyczy i serdeczności w obejściu księdza. Nigdy może nie lgnął tak do niego, jak teraz, od śmierci starego Przemyka. Dawniej pan Mielsztyński był łącznikiem między nim a Klimą; teraz ksiądz tylko pozostał.

Cudowny był dzień lipcowy, kiedy powóz, zaprzężony parą pięknych koni, toczył się zwolna wijącą się dróżką pod górę, coraz wyżej i wyżej, aż się zatrzymał przed białym probostwem. W powozie siedziała księżna z córkami.

Prawie równocześnie pan Leon Braclawski konno stanął tuż obok, ku wielkiej radości wysiadających pań.

— Szkaradny jesteś, Leonie,—mówiła księżna—tak o nas zapomnieć! Niegrzeczny nawet jesteś, bo kręcisz się po naszej miedzy, na granicy Sieniawki;

gospodarujesz w Mielsztynówce, a zamiast sam o interesach pomówić, przysyłasz zawsze posłów. To się nie godzi.

Leon pokornie wysłuchał gderania, ale poprawy nie obiecywał, na co innego rozmowę kierując.

— Gdzież amfitryon? — wołał — a to gościnnie gospodarz! nie wychodzi powitać gości.

Ksiądz Wiktor, jak gdyby posłyszał tę wymówkę, pospiesznym krokiem dążył naprzeciw pań.

— Przepraszam — mówił — i dziękuję za odwiedziny. Nie słyszałem. Na samym dole byłem w paście. Miód wybierałem. Mam brudne ręce, a i strój — nie śmiem się pokazać.

Ale to ceremonie były tylko; ksiądz zawsze był czysty i elegancki nawet.

Swoboda jaśniała na wszystkich twarzach. W taki promienisty dzień, przy takim lip zapachu, między takimi gajami róż, nad taką srebrno-łuską rzeką, nikt smutnym pozostać nie mógł.

Nawet blada twarz Klimy lekkim rumieńcem się ożywiła, a w oczach coś nakształt dawnego życia świeciło.

Dobrze tu było wszystkim.

Między trzema rozłożystemi lipami, pod ich cieniem, na stole, połyskującym białością nakrycia, zjadano mleko, leśne jagody i ser znakomity z chlebem razowym, a Lila, chwilowo zapominając o żało-

bie, bawiła wszystkich swoim szczebiotem, zupełnie do świegotu ptaka podobnym.

Pierwszy to raz, od śmierci starego pana Mielczyńskiego, całe kółko miało twarze wypoczęte i gotowe do uśmiechu; pierwszy to raz od czasów—o! od bardzo dawnych czasów — od chwili, kiedy Klima siedmnaście lat skończyła, a pan Leon w daleką podróż się puszczał, kiedy się żegnali w Sieniawce— one, by się udać do Paryża, on, by gdzieś daleko gonić za czemś... za czem? on sam nie wiedział. Za wrażeniami? Ależ on tysiąc razy silniejsze wrażenia odczuwał od chwili powrotu...

Pierwszy to raz od tej chwili serdecznego jeszcze rozstania—wielkiej pewności siebie ze strony Leona: że znajdzie to samo serce, gdy wróci; wielkiej ufności ze strony Klimy: że Leon długo bez niej nie wyżyje. Pierwszy to raz od tej pory Leon dziś po dawnemu zwrócił się do ukochanej, serdecznie, bez obawy, która go sztywnym i nienaturalnym wobec niej czyniła.

Pierwszy to raz także ona nie odepchnęła go zimnym raniącym słowem.

Rozmawiała z nim opowiadania jego słuchała z ciekawością, a życzliwość jaśniała w jej oczach.

Księżnie serce rosło, patrząc na tę zmianę.

— Może, może też Bóg zlituje się — myślała.

I tak na gawędce serdecznej upłynęło godzin kilka, w czasie których ksiądz Wiktor nieraz został

odwołany to do chorego, to do biednego — i wracał, wnosząc z sobą ten błogi spokój, jakim wszystkich natchnąć umiał.

Przepyszny był wieczór.

Srebrna łódź księżycyca płynęła zwolna po niebie.

Jedna gwiazda za drugą wysuwała się na horyzont i w rzece się przeglądały, patrząc, czy im tam ładnie na lazurowym stropie?

Woń balsamiczna lip z taką siłą rozchodziła się w powietrzu, że prawie dotykając się stawała, miód się w ustach czuło.

Łódź, poruszona czasem lekkim powiewem ciepłego wiatru, drżała, kołysząc się zwolna na wodzie. Taka cisza panowała dokoła i tak było pięknie!...

Nagle Lila, pod wrażeniem nowopowstałej myśli, zawołała:

— Księżę, prosimy kazać znieść harmonium do łodzi i dywany; ksiądz nam będzie grał, my będziemy, naprzemian z panem Leonem wiosłowały, a wtedy łódź księżycyca naszej łodzi pozazdrości.

Księdzu trochę ekscentryczną myśl ta się wydała, ale oddawna przywykł słuchać komendy kuzynek — zawsze rad, gdy mógł komu przyjemność zrobić; szczególnie, widząc, jak bardzo Klima ucieszyła się tym projektem, przystał nań i po chwili Lila z Leonem u wiosła, Klima u steru, ksiądz przy harmonium, płynęli z prądem wody.

Oddać urok takiej chwili trudno jest doprawdy.

Gdy świat cały, zda się, tonie w ciszy i ukojeniu, gdy światłość łagodna srebrzysta rozlewa się na całej rozmarzonej naturze; gdy drzewa i wzgórza, i łąki, i wody zdają się być uduchowione, pełne myśli, pełne zadumy głębokiej, wtedy to człowiek napelnia się dziwnym uczuciem.

Patrząc na takie cuda, człowiek może tylko czuć, a nie myśleć; uczuciem snąć jest większy, niż myślą: myśl jego nie ogarnie, nie obejmie wiecznej tajemnicy, prędzej ją serce zrozumie, gdy się zapełnia wielkim uwielbieniem dla Stwórcy.

Drobny atom, nasz rozum, z którego tak dumni jesteśmy, że gdy on Boga nie pojmie, to odważamy się istnieniu Boga zaprzeczać, drobny ten atom, ten pyłek nie rozważa, nie filozofuje, gdy potoki melodyi płyną w powietrzu i serca nasze porywają.

Rozum tego wszystkiego nie obejmie, tylko serce odczuje.

Więksi jesteśmy sercem, niż rozumem; rozum to karzeł wobec serca. Rozumem tylko zrozumieć możemy, i to tak bardzo niewiele — sercem odczuwamy i przeczuwamy, a przeczucie i uczucie dalej, niżeli rozum sięgają.

Łódź posuwała się zwolna, wiosła rzadko i leniwie o falę uderzały.

Kilka osób siedziało w łodzi pod wrażeniem chwili uroczej, chwili, która jak sen czarowny zostawia niezatarte wspomnienie.

Księżna wpatrzona w księdza, słuchała z zachwytem melodyi, rozpływającą się w powietrzu.

Lila błędziła okiem po malowniczych wybrzeżach Rosi, a drobne jej ręce to w dół, to do góry wiosłem poruszały.

Leon widocznie zapomniał o dawném postanowieniu, by nigdy więcej nie okazać swego uczucia. Wpatrywał się w czysty profil Klimy, nie mogąc od niego wzroku oderwać.

Klima, śledząc oczyma promienie księżyca, znaczące srebrną drogę na rzece, zadumana była głęboko—o czém myślała? Może machinalnie poddawała się urokowi chwili, wsłuchana w anielskie tony melodyi, płynącej z pod palców mistrza.

Księdza Wiktora twarz natchniona, oczy nieco w górę wzniesione, widocznie dusza jego rozkoszowała się w muzyce — o świecie całym zapomniał.

Raptem ton zmienił, z majorowych przeszedł w minorowe akordy i ta sama Fuga Bacha, która tak wielkie wrażenie zrobiła na Klimie w przeddzień wyjazdu z Paryża, w tej chwili zabrzmiała w powietrzu, tylko słodsza, mniej potężna. Delikatniejsze tony harmonium pieściły ucho, lekkie, eteryczne, drgały w powietrzu, dążyły w dal jasnej nocy balsamicznej, a prostym ludziom, którzy z wybrzeża słuchali cudownej melodyi, zdało się, że to anieli płyną po rzece i przygrywają.

Klima, zelektryzowana, podniosła głowę i z oczy-

ma szeroko otwartemi, z lekko uchylonemi ustami, zdawała się pić tę harmonię; serce jęj, bijące gwałtownie, odczuwało wszystkie te wrażenia, jakie niēm wstrząsnęły w czasie mszy w białym kościełku paryzkim.

Słuchała tak chwilę, przejmując się każdym tonem niebiańskiej muzyki, nagle, jak gdyby uczuła na sobie wzrok Leona, podniosła oczy na niego.

Oczy ich się spotkały; on, jakby złapany na gorącym uczynku, natychmiast w przeciwną stronę głowę odwrócił. Ona chwilę zatrzymała na nim wzrok, a potem, zamyślona, w wodę znowu patrzała.

Spokój wielki w serce jęj wstępował, pogoda jakaś, rezygnacya. Fuga Bacha tymczasem brzmiała słodko w powietrzu, a Leon nie domyślał się, że muzyka, to różdzka czarodziejska, która większy wpływ wywiera na Klimę, niż wszystkie pociechy i ludzkie lekarstwa.

Nie domyślał się, że ta jedna melodia cudów dokazać może i lepiej, niż czas, łagodzić ból wewnętrzny, że myśli dobre wlewa i odwagi dodaje; że pod jęj wrażeniem Klima ocknęła się z apatyi; że przypomniała sobie, iż czas jest spełnić obietnicę, daną wujowi.

Ani mu to w głowie postać, że piękna panna, gdy ze spaceru wróca, poprosi go sama, że swęj inicjatywy, aby nazajutrz Sieniawkę odwiedził; że go poprosi serdecznie, pokornie niemal.

Takie jednak było zakończenie tego wieczoru, a panie, rozmarzone wracając do domu, nie rozmawiały prawie, wsłuchując się jeszcze w melodyę, pod której czarem zostały.

Księżna nie chciała słowem jednem zdradzić się wobec Klimy, że widzi w niej jakąś zmianę; tak samo Lila czuła, że najlepiej nie zwracać uwagi na postępowanie siostry.

Nazajutrz rano Klima, nieco rozdrażniona, jakby niespokojna, chodziła od okna do okna, widocznie wyglądając kogoś. Silne wypieki wystąpiły jęj na twarz, a nie tała prawie wzruszenia, gdy kabriolet, a w nim pan Braclawski ukazał się w bramie wjazdowej.

Widocznie nerwy jęj musiały być silnie wstrząśnięte, kiedy ani smutku, ani wzruszeń ukrywać już nie umiała. Dawniej nikt nie byłby odgadł, co się działo w tej hardęj duszy.

Godzinę później Klima, zostawiona umyślnie, czy też przypadkowo sam na sam z Leonem, zapytała go, czy nie zechce pójść z nią zobaczyć te dwie olchy, które kiedyś, kilkanaście lat temu, razem zasadzili na pamiątkę powrotu jaskółek; bo Klima, jako młoda dziewczyna, uroczyście zawsze święciła dzień, w którym pierwszy raz na wiosnę jaskółki spostrzegła.

Zdziwienie Leona było wielkie; o tych olchach nigdy Klima nie wspominała od wielu lat i bardzo

zimno przyjęła raz w Paryżu aluzję, jaką Leon do nich zrobił.

Naturalnie zgodził się na propozycję, ale z pewną nieufnością.

Nie, już przestał w szczęście wierzyć — już teraz zapóźno; każde serdeczniejsze słowo Klimy brał tylko jako dowód, że ona, złamana sercem, pojmuje teraz ból jego i lituje się nad nim, ale oprócz litości, dobrze wiedział, że ona innego uczucia nie znajdzie dla niego.

Życzliwy sposób postępowania Klimy, zamiast otuchy mu dodawać, przejmował go wielkim smutkiem.

Teraz, gdy nie mógł już wątpić, że ona ma serce takie, jakie przeczuwał w młodym dziewczęciu, teraz trudniej jeszcze było mu się pogodzić z myślą, że to serce nigdy do niego należeć nie będzie.

— Czemu ona mnie do tych olch prowadzi? — myślał w duchu. — Co to ma znaczyć?

Widocznie Klima uparcie się trzymała myśli jakiejś, bo nerwowym, prędkim krokiem dążyła naprzód, nie oglądając się na niego i nie mówiąc, póki nie zaszli na miejsce.

Na samym skraju parku, tam, gdzie się już łąki zaczynały, nad mikroskopijną zatoką, którą jezioro tworzyło, dwie olchy proste, wyniosłe, rysowały się na tle pogodnego nieba.

Rozłożystymi gałęzmi tuliły się do siebie, zbrata-

ne odległością od reszty drzew, przeglądały się w ci-
chém jeziorze, pełne sił, bujnym liściem okryte, o wy-
smukłym, lśniącym pniu, śliczne w tém ustroniu.

Do tych olch doszła Klima i nagle się zatrzyma-
ła, a obejmując pień drzewa ramieniem, oparła o nie-
go głowę. Oddychała prędko, gdyż zbyt pospiesz-
nym szła krokiem, a może też pod wpływem wzru-
szenia. Po krótkiej chwili milczenia rzekła:

— To nasze olchy, jakie duże, nieprawdaż?

Leona twarz szkarłatem się oblala.

— Co to wszystko ma znaczyć? — myślał.

Ona, nie szukając związku między pierwszemu
swém zdaniem, nerwowo, ale ze stanowczością w gło-
sie mówiła dalej:

— Czemu mi pan nie przypomina rozmowy, to
jest obietnicy, jaką daliśmy wujowi? Czy to ładnie,
abym ja się pierwsza odzywała? — pytała z lekkim,
choć wymuszonym uśmiechem na twarzy. — Przecież
musimy spełnić, cośmy obiecali, nieprawdaż?

— Biedactwo! — myślał Leon — jakie ona sobie
tortury zadaje, aby spełnić obowiązek!

A pomieszany bardzo, szukając słów odpowiedzi,
milczał chwilę.

Ona czekała.

— Jest to bardzo szlachetnie ze strony pani, że
w ten sposób zapatrujesz się na daną obietnicę; ale
ja nie mogę podzielić zdania pani. Poświęcenia nie
przyjmę.

— O poświęceniu niema mowy.

— Gdybyś pani dotrzymała obietnicy, danęj wujowi, umarłemu, który dziś inaczej już pewnie z innego świata na ludzkie sprawy się zapatruje, poświęciłabyś szczęście twoje.

— O mojem szczęściu nie mówmy. A co do umarłych, to biedny wuj nie spodziewał się pewnie takich sofizmatów po śmierci. Obiecałeś pan; słowo dane umarłemu więcej obowiązuje, niż inne.

— Nic nie obiecywałem. On mnie zapytał, czy... czy panią kocham? To, co odpowiedziałem, było prawdą. Nie czułem się na siłach rozczarować go w chwili śmierci, pozwoliłem mu łudzić się do końca.

— Ależ to być musi. Wola jego musi się spełnić, — z pewną niecierpliwością zawołała Klima — inaczej, ja nie mogę przyjąć majątku wuja, on mi go zapisał tylko w myśli, że wyjdę za pana.

— Przypuszczenie pani jest zupełnie mylne: majątek słusznie się jęj należy, ja do niego najmniejszych praw nie mam.

— Ale ja wiem, że taka była myśl wuja.

— Pozwól pani, — rzekł Leon — że przypuszczalne projekta biednego pana Przemyka nie mogą wpływać na całe życie nasze; toby było z naszej strony niedorzecznością.

Twarz Klimy oblała się rumieńcem; wiedziała dobrze, dla jakich powodów Leon odrzuca jęj ofiarę; wiedziała, że on ją kocha; dlatego nie czuła się upo-

korzoną jego oporem, a jednak... jednak dawna pycha odezwała się na chwilę wobec tej oryginalnej sytuacji.

Jakto? czyż ona drugi raz odrzuconą będzie? ona, która nieraz już w życiu księżętami wzgardziła i nieprzystępną była dla najdumniejszych? Jakto? więc tamten, którego imię miało zostać dla niej wspomnieniem najsroźszego upokorzenia, tylko jej posag chciał poślubić, a o nią ani dbał. Ten znowu, ona sama przypomina mu, że jemu jest przyrzeczoną, że dobrowolnie chce spełnić obietnicę, a on, on także wręcz odmawia.

Z żywością niezwykłą i pewną ironią w głosie rzekła:

— Dziwna to rola dla mnie przypominać panu tę właśnie obietnicę; naturalnie pan pojmuje, jakie mną kierują pobudki. Niechaj to idzie w zapomnienie; ja pana zwalnim z obietnicy, skoro... pan znajdziesz, że to byłoby ofiarą i poświęceniem życia. Ale co do majątku wuja, będę miała zawsze to uczucie, że nieprawnie go posiadam, że inaczey byłby nim rozporządził, gdyby był wiedział, że...

— Pani tą myślą głównie się powodujesz — odparł Leon ze smutnym uśmiechem — dlatego właśnie, że znam pobudki pani, nie mogę się dziwić nawet takiej... niezwyklej, nadzwyczajnej rzeczy, jak nasza dzisiejsza rozmowa. To do pani podobne...

Ale ja ofiary nie przyjmę, a pani, wychodząc za mnie, miłości dać mi nie możesz, nieprawdaż?

Klima zawahała się, w dół patrząc uporczywie, po namyśle odparła:

— Daję panu przyjaźń i szacunek.

— To nie wystarczy ani dla mnie, ani dla pani. Dlatego nie mówmy o tém. Dziękuję pani — ja wiem, że ta nasza dzisiejsza rozmowa dużo cię bardzo kosztować musiała.

— A więc nie mówmy o tém — żywo odparła Klima. — Ale przyjaciółmi pozostać możemy? — pytała, spoglądając na niego z pewną nieśmiałością, bo ostatnie słowa jego tyle w sobie smutku mieściły, a on sam tak był blady, gdy stał wsparty o pień drugiej olchy, że jej się serce ścisnęło i byłaby chciała pocieszyć go trochę.

— To od pani zależy — odparł. — Tylko słuszniej byłoby — dodał z niemalą goryczą w głosie — powiedzieć, że odnowimy pakt przyjaźni, bo ostatnimi czasy, to jest dwa ostatnie lata, nie świadczyły o pani przyjaznych dla mnie uczuciach.

Klima znowu oczy spuściła, jak winowajczyni.

— Mylnie pana sądziłam, przepraszam — i rękę do niego wyciągnęła.

On ujął dłoń jej w obie ręce i uścisnął serdecznie.

— Dziękuję pani raz jeszcze za tych słów kilka; są one dla mnie pociechą. Więc odnawiamy pakt przyjaźni.

— Jeżeli pan chcesz...

— Chcę, bo muszę — odparł, zawsze smutno się uśmiechając Leon. — Wiem, że tylko jałmużnę najśladszego z uczuć dać mi pani możesz; trzeba się z tem pogodzić.

— Więc przy naszych olchach znowu sobie ręce podajemy?

On w milczeniu pocałował podaną sobie rączkę i zamyśleni oboje, nie siląc się nawet na rozmowę, wracali do pałacu.

XII.

Rok cały minął od chwili, w której stary pan Przemysław Mielsztyński pogrzebanym został w grobowcu familijnym w Mielsztynówce, rok cały, który dowiódł raz jeszcze, że nie ma wiecznego żalu na świecie i że ubytek jednostki z tego padło jest jak ubytek kropli z morza niedostrzeżonym.

Przy pacierzach rannych i wieczornych siostra i siostrzeniec wspominali jego imię, w czasie polowania westchnął za nim pan Leon, gdy chodziło o dostarczenie drzewa biednym na opał, w czasie zimy, pomyślał o nim ksiądz Wiktor — bo byli oni współnikami w wielu dobrych uczynkach — po za tem jednak wszyscy wrócili do dawnego trybu życia,

a ubytek starego Mielsztyńskiego próżni w niczyjém życiu nie zrobił.

W Sieniawce nigdy gwarniej, weseliej nie było, jak tego lata. Pałac pełen. Nietylko „Paryżanki”, ale mężowie zjechali się na wilegiaturę.

Nietylko ksiązę de Poligny i margrabia de Groeck, ale i młody Vansocken i ksiązę de Moussy zjawili się w celu spędzenia dni kilku na Ukrainie.

Gwarno jest bardzo, głównie około kręgielni, gdzie panowie i panie zręcznością się popisują.

Rej wodzi panna Braclawska, daleka kuzynka Leona, a blisko spowinowacona z Sieniawskimi.

Panna Teodora, inaczej Dora Braclawska, przyjechała na kilka tygodni do Sieniawki, razem z matką i bratem.

Slusznie można powiedzieć, że ona przyjechała z nimi, a nie oni z nią, bo ona stanowiła firmę.

Młode to jeszcze stworzenie nie miało więcej, jak dziewiętnaście lat. Już jako jednoroczne bébé rej wodziła w domu i jej wola, była wolą wszystkich.

Bogata, jedynaczka — bo sióstr nie miała, jednego tylko brata — niezmiernie podziwiana przez wszystkich, którzy albo szczerze, albo ze względu na rodziców obsypywali ją pochwałami, Dora bywała często nieznośną, kapryśną, fantastyczką, często bliźniemu dokuczyla — jedno tylko ją ocalało od stanowczego potępienia — pozory dobrego serca.

Umiała i lubiła dopomódz, potrafiła odczuć cudzą troskę, a najlepiej potrafiła śmiać się z drugimi.

Co do dopomagania, współczucia etc., zdobywała się na to tylko wtedy, gdy jój to osobiście żadnej nie robiło trudności.

Panna Dora posiadała cudowną pleć, zadarty, impertynecki nosek, usta nieco zaduże, oczy nieco zamale, piękne ze złotym odcieniem włosy, małą zręczną figurkę, prześliczne rączki i nóżki — i masę wdzięku—tylko wdzięku, bo uroda jój mogła być bardzo podaną w wątpliwość.

Nazywano ją „*perpetuum mobile*” i żywém srebrem i trznadlem; różne miała przydomki. To pewna, że wszędzie jój było pełno, a jój wesoly, mile brzmiący śmiech rozchodził się dokoła.

Grano w kręgle.

Pan Vansocken okropne spustoszenia robił na gruncie Dory, broniąc swych i Lili interesów.

Księżę de Moussy popełniał jedną pomyłkę za drugą, będąc po stronie Dory.

To też młoda panienska w coraz gorszy humor wpadała i łajała bez ceremonii, tak, iż on w końcu z rozpaczą w głosie zawołał:

— *Vous ne me traitez pas comme un partenaire, mais comme un chien dans notre jeu de quilles.*

Księżę de Poligny, przypatrując się grze, pocieszał księcia de Moussy:

— Nie znasz jeszcze Polek — mówił on — to ich zwyczaj humor zmieniać; nie martw się; tu burza, tam znów słońce świeci. To ich urok. Polki, to najniebezpieczniejsze kobiety: nigdy pewien nie jesteś, czego się „à propos” nich trzymać i tą niepewnością trzymają one ciebie. Widzisz, Polka, to tak, jak „rouge et noir”, jeżeli się raz zapaliłeś w tym kierunku, przepadłeś. Stawiasz na „rouge”, przekonany, że masz szanse, wypada „noir”. Z Polką bierzesz się na jeden sposób, by ją zdobyć, wymknie ci się z ręki; próbujesz innego sposobu, jeszcze jej nie masz, nigdy pewnym być nie możesz.

Książę de Moussy dawno już pod komendą nieubłaganą Dory powrócił do gry, robiąc wielkie wysiłki w celu osiągnięcia pochwały, ale młody Witold Braclawski i Klima przysłuchiwali się słowom księcia, aż Klima zgorszona zawołała:

— Pięknie nas papo przedstawiasz. Dobrą nam robisz reputację. Dziękujemy.

— Gdybyś знаła mężczyzn, koteczko, to powiedziałabyś, że lepiej przedstawić was nie mogę. A zresztą, prawdę mówię. Nikt tak, jak Polka, nie potrafi długo serca utrzymać.

— Nie z siebie bierze papa przykład — myślała Klima.

— Włoszki są zanadto zapalne, to wina klimatu; tam niepotrzeba nadzwyczajnej taktyki wojennej, by serce zdobyć. Jedno, dwa czułe spojrzenia, jeżeli

serce było do wzięcia, już je masz. Niemki schymentalne — trzeba poetycznie się wyrażać, bawić w afektacyę, pozować „minodować”. Nudna komedya! A co masz w zamian? Cytaty Schillera i Goethego—wiersz traktujący o miłości w albumie. *Ma foi — ce n'est pas drôle*. Angielki na spleen cierpią, albo nie cierpią; jeżeli cierpią, to od rana do wieczora smutne; jeżeli nie cierpią, to od rana do wieczora się śmieją głośno z byle czego—i flirtować gotowe nawet z kominiarzem, gdy flirt lubią; nie ma emocyi — to nie sport zdobywania serca *miss*, czy *milady* Angielki. Francuzki — *uniques pour passer le temps, mais trop coquettes*, zamało serca. Gdy na ciebie słodko patrzą, myślą: „Jakie też wrażenie robi spojrzenie moje?” Wiecznie o sobie myślą. Mówisz im o miłości — one myślą o sukni nowo obstawianej. Jednym słowem: górą Polki! Jest serce, jest temperament, są nerwy, jest bajeczna wrażliwość — gra się na nich, jak na najdelikatniejszym instrumencie. W dodatku masz zawsze niespodziankę — wyjdzie harmonia, wyjdzie melodia, ale zupełnie inna, niż ta, której wyczekiwałeś. W tém rozkosz — *l'imprévu*.

Książę się zapalił — widocznie mówił z przekonania, ale o jakiej Polce myślał? Nie było tak naiwnego pod słońcem, któryby przypuszczał, że o żonie.

O jakiej Polce? Książę de Moussy i de Groeck

szeptali znane nazwisko polskiej aktorki, która dość głośną była w Paryżu w owym czasie. Czy była w tem prawda? Mniejsza o to — za wieleby czasu zajęło poszukiwanie źródeł, wywołujących zachwyty księcia.

Skończono partyę i poczęto się zastanawiać, jak resztę dnia przepędzić?

Po długich naradach stanęło na tem, że całe towarzystwo wybierze się konno do Olwiopola, do Leona Braclawskiego, zobaczyć, co się z nim dzieje, skoro od trzech dni nie zawitał do Sieniawki. Oddawna już nie zdarzyło się Leonowi tak zaniedbać swych przyjaciół.

Od chwili, gdy zgoda między nim a Klimą stanęła, Klima miała sobie za obowiązek dotrzymać układu przez siebie wywołanego i z niezmierną życzliwością traktowała młodego człowieka.

On, pod urokiem jej dobroci, nie miał sił opierać się uczuciu, przeciwnie—poddawał mu się, powtarzając sobie codziennie, że woli Klimę mieć za siostrę, przyjaciółkę, niż inną za żonę; a gdyby się nie bał własnych złudzeń, gdyby zajrzał w głąb duszy, byłby tam spostrzegł powoli wyrastającą nadzieję, że gdy się serce Klimy zablizni, to może kiedyś, przywiąże się do niego nie tylko jako siostra.

Rok ostatni najmilsze zostawił mu wspomnienia.

Księżna wraz z Klimą spędziły całą zimę w gubernii kijowskiej; Lila tylko na kilka miesięcy do

Paryża wyjechała z obowiązku jako żona, a od miesiąca, w początkach czerwca, cały „klan” pałacu de Poligny zjawił się na szerokich stepach tamtejszych, przynosząc z sobą ruch i ożywienie.

Na jasnym tle harmonijnych stosunków pomiędzy Sieniawką a Olwiopolem, od dwóch tygodni dopiero chmury poczęły się rysować.

Leon bywał codziennym gościem u swych sąsiadów, ale bawił coraz krócej i nie odznaczał się świetnym humorem. Klima ze swjej strony powracała do dawniej zmienności w usposobieniu; zdarzało jej się po dawnemu wyniosłe i pogardliwie bliźnich, a zwłaszcza młodego pana Braclawskiego traktować.

— Widocznie rok słodczy i równego usposobienia wyczerpał u niej zasób kobiecości—myślał Leon. —Ten rok cały Klima nie była Klimą; czy na nią wiatr od Dniestru i powietrze swojskie łagodząco działały? Czy może ksiądz Wiktor swoim serdecznym, balsamicznym wpływem uciszał w niej bunty dawne i pychę? Czy też może nerwy jej, po gwałtownym wstrząśnieniu, datującym z epoki Vera de Montroye potrzebowały wypocząć, zmęczone, stargane, by znów hulać i zakrwawiać serca ludzkie.

Wszystkie te przypuszczenia robił Leon.

— Widocznie — myślał — świat źle na nią działa. Zlecieli się tu wszyscy łowcy posagów i hołdują nie jej, ale jej milionom, a ją jak każdą kobietę,

wbija to w zarozumiałość, w pewność siebie; holdy te pochlebiają jej. Bawi się niemi; tego biednego Witolda już do idiotyzmu doprowadziła — tamci też waryują albo udają, że waryują dla niej. Naturalnie potracili głowy na myśl o milionowym posagu. Dziś stałem się niepotrzebnym meblem. Ona uważa widocznie, że dosyć ją monopolizowałem w ciągu roku. Owszem, owszem, usunę się tamtym z placu, usunąłbym się zupełnie, gdyby mi biedny stary Przemysław nie związał tym testamentem, egzekutorstwem, interesami. U licha! niechby się to raz skończyło, niechby sobie już raz wybrała jakiego idiotę za dozgonnego męczennika, któremubym mógł oddać tę całą maszynę i nie myśleć o tém więcej.

Trudno wiedzieć, o ile Leon miał słuszności w swoich przypuszczeniach. Napozór jednak nie mylił się.

Klima, dziwnie zmienna, kapryśna, dla niego nieprzystępna, stała się znowu zagadkową dla matki i siostry.

Dziś, gdy zaproponowano wycieczkę do Olwiopola, nie oponowała wcale.

Dopiero, gdy całe towarzystwo konno skręcało na topolową drogę, o wiorstę od zamku w Olwiopolu, Klima, która rozmyślnie pozostała na końcu kawalkady, zwróciła raptem konia w przeciwną stronę, a uśmiechając się do swych towarzyszków, wyrzuciła:

— *Adieu la compagne!*

Zacięła swą śliczną wierzchówkę i znikła na skrócie.

Witold Braclawski, starający się o jej względy, podążył za nią, lecz widocznie niezbyt łaskawie został przyjęty i bez ogródki odprawiony, bo w chwil kilka powrócił do reszty towarzystwa, z miną mocno niezadowoloną.

Że Klima nie chciała być w Olwiopolu, jasnym było dla wszystkich, a księciu de Moussy i Witoldowi Braclawskiemu kamień spadł z serca na widok tej demonstracyi, bo pomimo zimnego traktowania Leona przez Klimę, dwaj konkurenci obawiali się zawsze rywala, przeczuwając więcej, niż widząc, niebezpieczeństwo.

Klima tymczasem zupełnie sama, wjechała na drogę, prowadzącą do lasu — las ten do niej należał, to jest do dóbr Mielsztyńskich, jakie po wuju odziedziczyła; znakomicie był utrzymany, prawie cały ogrodzony, widocznie ze starannością wielką czuwano nad nim.

Piękne dęby, klony i modrzewie różnaitością liścia i odcieni niezmiernie wesołe robiły wrażenie.

O lesie tym mówiono, że jest perłą dóbr mielsztyńskich, że sam jeden olbrzymią ma wartość, a myśliwi ślinkę połykali na myśl o wielkiej ilości zwierzyny, jaka się w obrębie tych gęsto zarosłych przestrzeni znajduje.

Z powodu ogrodzeń i zamkniętych szczelnie bram wejścia, Klimie trudno było dostać się do środka.

Dążyła brzegiem lasu, zagłębiając oczy w zieleni pięknych, rozłożystych dębów, zadumana głęboko.

Zatrzymała się przy małej furtce, próbując z konia ręką, czy nie uda się jej otworzyć?

Wtedy właśnie zjawił się jeden z leśniczych i wyjął klucz z kieszeni, wpuszczając dziewczkę do wnętrza.

Klima odetchnęła głęboko, czerpiąc balsamiczne powietrze lasu i puściła swobodnie cugle koniowi i myślom.

Może dumiała o swej przyszłości, o tych różnych figurach, które się o jej rękę dobijają. Może je porównywała. Może w przeszłość bolesną, upokarzającą sięgnęła pamięcią.

Twarz jej powoli, pod wpływem ciszy i powietrza leśnego, czy też wewnętrznych uczuć, nabierała słodszy wyraz.

Gdybyż ta harda dusza chciała się wypowiedzieć ze swych myśli, byłaby rzekła w tej chwili:

— Co mi po moim majątku, urodzie, pozycyi, kiedy tego, co temu wszystkiemu, co młodości całej, wartość nadaje, nie zaznam? Nie zaznam miłości serdecznej — i słusznie — Bóg mi dał tyle — zkad-

że miałabym więcej żądać? Tylko... oddałabym to wszystko, co mam, za jedno wierne serce. Czyż ten świat doprawdy już taki nędzny, że na nim uczucia znaleźć nie można?

Głos na dnie duszy mówił jej.

— Wzgardziłaś uczuciem — masz je pod ręką. Potrzebujesz tylko jedno „chcę” powiedzieć, a zdobędziesz to, czego pragniesz.

Widocznie jednak miłość własna musiała w niej ostatnimi czasy zostać zadraśnięta, bo na ów tajemny głos duszy twarz jej rumieńcem się okryła, oczy stalowego, twardego wyrazu nabrały i powiedziały sobie:

— Już mu się znudziło; kochał mnie dawniej, ale — tu ironicznie się uśmiechnęła — jak na to życie już i tak kochał zadługo. Przecież mi Dora mówiła wyraźnie, jakie są plany jej matki; mówiła mi, że on wie o nich, musi wiedzieć, skoro tak bardzo kuzynce asystuje. Teraz — przynajmniej teraz — przestanie mi majątek wuja na sumieniu leżeć i przytłaczać mnie. Dotąd myślałam, że go bezprawnie używam, nie dzieląc go podług woli wuja z Leonem, teraz, skoro on tamtą kocha...

Myśli ostatniej nie zdołała sformułować, kiedy posłyszała tętent konia, a wkrótce potem, na bocznej drodze leśnej, ukazał się Leon.

Przysłaniając oczy ręką od zbytniego blasku słońca, przyglądał się bacznie Klimie, widocznie oczom nie dowierzając. Poznał ją w końcu i dążąc na jej spotkanie. pytał zdziwiony:

— A pani zkaąd się tu bierze? Doprawdy, myślałem, że majaczyć zaczynam, gdym panią zobaczył.

Klima serdecznym jego głosem i spojrzeniem ujęta, chwilowo zapomniiała, że Leon nie ma wiedzieć, iż widok jego sprawia jej przyjemność.

Odparła swobodnie:

— Jestem przecież na własném terytoryum; to pan prędzęj na maruderce schwytyany zostałeś.

— A gdzież reszta? Tak ich pani niegościnnie opuściłaś?

Tu Klima przypomniała sobie, że „reszta” do Olwiopola podążyła i że ona dlatego tylko nie chciała im towarzyszyć. Zmieszała się trochę i odparła:

— To pan jesteś niegościnnym, skoro ich nie przyjmujesz w progach swego domu. Oni tam pana pewnie na wszystkie strony szukają.

— Jakto? Całe towarzystwo do mnie się wybrało? Czemuż mnie nie uprzedzili? — zawołał Leon — To bardzo pocziwie z ich strony. A pani?...

Tu się Leon spostrzegł, że Klima do „pocziwie” postępujących nie należała; przypomniał sobie nowe zadrażnienie stosunków i okropnie przykro mu się zrobiło.

— A ja? — Klima zmieszana, nie chcąc ranić

Leona tak dotkliwie, zawahała się — ja skrzyłam, by się po lesie przejechać; później miałam się złączyć z „resztą” w Olwiopolu. Widocznie miałam dobre przecucie, nawrócę pana do owczarni, inaczej byłbyś się może do nocy błąkał i...

Klima, złośliwością powodowana, dodała:

— I byłbyś okropnie zaniepokoił niektóre panie, którym zawdzięczasz dzisiejszą niespodziankę. Zapomniałeś pan o nas, a były rozpaczliwe głosy, dopytujące wszystkie echa o ciebie.

Leon, widocznie zaintrygowany, spojrział na Klimę.

— Doprawdy? — zapytał — więc są tacy na świecie, którzy się mną interesują? Jest to miłe odkrycie, bo przywykłem do myśli, że moje osobiste „być albo nie być” nikogo nie obchodzi.

Klimy serce, gdy tylko nie ulegało jakiegóż wielkiej nerwowej agitacji, zawsze było gotowe do rozczulenia i słowa Leona współczucie w niej wywołały.

— Niewdzięczny pan jesteś, czy myślisz, że Sieniawskiej losy twoje nie obchodzą?

Ale powiedziała to pospiesznie, nie kładąc zbytniego akcentu na ostatnich słowach.

— Dora mocno była zdziwiona, nie widząc pana od dni kilku. Jęj to głównie zawdzięczasz pan dzisiejszą wyprawę do Olwiopola.

— Dorze? doprawdy? Tęm bardziej się cieszę, to takie dobre, kochane stworzenie; ona zawsze myśli o tęm, jakby komuś przyjemność zrobić — odparł Leon z głębokim przekonaniem.

Poznał tylko Dorę z dobrej, strony dla tej prostej przyczyny, że dla niego była ona zawsze najlepszą.

Rozmowa między Leonem i Klimą toczyła się dotąd dość swobodnie; dawno już zwrócili konie w stronę Olwiopola; Leon spieszył, by przyjąć gości z Sieniawki. Klima widocznie miała zamiar podążyć z nim razem.

Nie było to zupełnie według reguł, przyjętych w kraju, taka przejażdżka sam na sam z młodym człowiekiem.

Ale Klima regułami nie krępowała się bynajmniej; aż nadto niezależna, robiła to, co jej było wygodnie, a potem wszyscy wiedzieli, że Leon był jej towarzyszem od lat najmłodszych.

Dawniej wszyscy przepowiadali, że się ta przyjaźń małżeństwem skończy; teraz, gdy w rok po śmierci starego Mielsztyńskiego jeszcze o małżeństwie słychać nie było, przestano na tę parę zwracać uwagę, a zwłaszcza kosmopolityczne, pod wpływem angliomanii wyrobione towarzystwo, które w tej chwili bawiło w Olwiopolu, nie byłoby pewnie wcale zdziwione, gdyby Klima ukazała się obok Leona Braclawskiego.

Na pochwały, jakie posypały się z ust Leona, gdy imię Dory zostało wymienione, Klima odpowiedziała z równym napozór zapalem:

— Tak, Dora, to bardzo dobre i miłe stworzenie, całe towarzystwo ożywia, wiecznie wesola, chociaż—

·dodała — przez ostatnich kilka dni zmienny miała humor i tyranizowała otoczenie kapryсами.

— Trochę zepsuta—odparł niedomyślny Leon— ale to nic dziwnego, okropnie ją wychowywano; musi mieć idealną naturę, jeżeli taką wyrosła, jaką jest.

— Oni oboje, to jest Dora i Witold, są niezmiernie sympatyczni — rzekła Klima z wyraźną intencją. — Okropnie smutno będzie po ich wyjeździe. Ale tymczasem radzę panu się pospieszyć, oni tam szukają pana na wszystkie strony. Do widzenia.

I Klima rękę na pożegnanie do Leona wyciągnęła.

— Ja liczyłem, myślałem, miałem nadzieję — mówił Leon z wielkiem rozczarowaniem w sercu — miałem nadzieję, że i pani do Olwiopola pojedziesz?

— Ja? Nie, panie. Dziś mnie las nęci, za nic bym lasu w tej chwili nie opuściła. Spójrz pan, jaki cudowny.

— Wolisz pani towarzystwo drzew?

— Od ludzkiego? Czasem. Zresztą, cóżby ludzie powiedzieli, widząc nas powracających w czulej parze — kończyła Klima z ironią, raptem pomna na opinię świata. — Komentarzom nie byłoby końca.

— Zkądże pani tak nagle komentarzami zajmować się raczy? — z równą ironią odparł Leon — myślałem, że pani gardzisz taką „drobnostką”, jak plotki.

— To zależy... do pewnego stopnia tylko. Nie ma, widzę, pomysłów śmiesznie nieprawdopodob-

nych, na jakich takie komentarze „à propos” nas musiałyby się opierać.

— A więc żegnam panią — rzekł Leon, posyłając ukłon Klimie.

— Do widzenia—odparła i rozjechali się w przeciwnne strony.

— Miłe usposobienie, nie ma co mówić — myślał z goryczą Leon.—Poczekaj, moja pani, będę ja odtąd liczył na twoje zapewnienia przyjaźni, na twoje komedye przy „naszych” olchach. Poczekaj. Każdy ma swoją ambicyę. Już zapomniałaś, jak bardzo ci ciężył ów testament. Już mi rzucasz w oczy „śmiesznie nieprawdopodobne komentarze.” Zapisuję to sobie w pamięci i dowiodę ci, że ja sam pierwszy, mam takie przypuszczenia za nieprawdopodobne.

Słońce miało się ku zachodowi, gdy Leon wjechał w aleję topolową, wiodącą do zamku. Widok przesłiczny, jaki się roztaczał przed jego oczyma, powinien był natchnąć go mniej gorzkimi myślami.

Zameczek obronny, datujący się z XVI stulecia, widocznie wiele razy odrestaurowywany, przedstawiał wierny obraz dumnych gniazd rodowych, któremi dawniej kraj był zasiany, a których dziś ruiny tylko podziwiamy.

Malowniczo przysiadł na szczycie wzgórza, ślady wałów widoczne jeszcze były dokoła; wzgórze fosami otoczone, zarośnięte gęsto z jednej strony, z drugiej

pokryte krótką, drobną trawą, wesoło uśmiechało się do słońca, które dawno wypiło już ostatnią kroplę wody z fosy.

Wieżyce i baszty zamku spoglądały w dal wesoło, jak dawny rycerz w chwili pokoju, choć czuło się, że groźny wyraz mieć musiały w chwili niebezpieczeństwa.

Od północnej strony wzgórza ogromne drzewa w parku i przysiadłe grusze i jabłonie w sadzie, spuszczały się aż do fos. Z po za wzgórza, w dali, srebrzyła się wstęga Rosi, za nią ciemne pasmo lasu, a słońce oblewało potokami światła wszystko dokoła, zapalało srebrne chmurki na niebie i kładło je, ubarwione ponsowym odbłaskiem, na szczytach wzgórzy, niby ogniska olbrzymie; odbijało się w szybach zamku, niecąc w nich jaskrawe płomienie, rzucało snopy złota w dal na błyszczącą rzekę, zabarwiało jasnymi smugami stropy wzgórza, tańczyło zygzakami między liśćmi drzew, iluminując z hojnością królewską świat cały na „dobranoc”, jak na takiego mocarza przystoi.

Pięknie było i wesoło na świecie, ale nie w duszy, nie w sercu Leona.

Słońce jest cudotwórcą, to prawda, ale jest rzecz na świecie, która zmoże nawet takiego prześwietnego władcę.

Jestto mowa, dana człowiekowi, a jedno słowo szydercze, raniące, zaćmi wszystkie blaski, tęcze —

nawet promienie złościstego pana, gasną wtedy lub drażnią i zdają się urągać ludzkiej niedoli.

Takim to sposobem Leon nie spoglądał z zachwytem na basztę południową, oblaną purpurą zachodu, nie podziwiał aureoli, złożonej z promieni słonecznych, jaka otoczyła ramiona krzyża zestali. połyskujące na wieżyczce zamkowej kaplicy.

Leon jechał zasepiony, przeklinając w duchu najazd obcych osób — najazd, którego zapowiedź tyle mu przyjemności chwilę temu zrobiła.

Na świat cały spoglądał teraz inaczej — cuda natury monotonią go nudziły, blask słoneczny, jak prześladowca, nużył oczy jego, na zamek swój patrzył jak na więzienie smutne i przytłaczające, a myśl spotkania się z gośćmi nieznośną mu się wydała.

Taką jest potęga słowa ludzkiego.

Jeden wyraz wystarcza, by świat piekłem zrobić, jeden wyraz wystarcza, by świat w raj zmienić.

Naturalnie, siłą woli zdobył się Leon na uprzejmy wyraz, gdy się znalazł w obec najezdzców.

Dziękował im za pamięć, dużo miłych rzeczy znalazł do powiedzenia paniom — tak to życie wyrabia fałsz u ludzi najbardziej prawych i prawdomównych.

Ależ bez tego zdawkowego fałszu, gdyby człowiek, szedł za popędem wrażeń i uniesień, to wszyscyby sobie po nogach deptali i oczy wydrapywali, bez względu na sferę i towarzystwo, do któregoby należeli.

Cywilizacya jest konieczną, dobre wychowanie niezbędnem; odwrotną stroną obu tych medali jest fałsz i — judaszowskie pocałunki.

Judaszowskiem uściśnieniem ręki obdarzył w tej chwili swego kuzyna Witolda; dobre wychowanie nakazywało mu dopełnić tego aktu grzeczności w chwili, w której byłby chętnie stanął z dobrze wyostrzoną szablą w pojedynku naprzeciw niego.

Zły humor Leona, ukryty w głębiach jego duszy, łagodniał powoli pod wpływem zaraźliwej wesołości Dorki.

Młoda panienka prześlicznie wyglądała w amazonce i dzokiejkiej czapeczce, zręczna jej figurka uwydatniona była znakomicie wykończonym staniem, czapeczka dodawała jej uroku, doskonale zastosowana do jej sprytniej, ożywionej twarzyczki.

Całe towarzystwo zapijało herbatę, którą w nieobecności gospodarza goście bez ceremonii sobie obstalowali. Z tarasu, na którym Leon zastał ich siedzących, prześliczny roztaczał się widok.

Całą okolicę na milę dokoła można było zobaczyć.

Nawet margrabia de Groeck musiał przyznać, że „dziki kraj” wiele ma uroku i wiele pięknych miejscowości.

Gdy Leon się ukazał, powitano go wesoło i obrzucano zapytaniami, co się z nim dzieje, gdzie się po-

dziewa, wymówkami także, czemu o Sieniawce zapomnia?

Panna Dora trzymała wielkiego białego kota na kolanach i pieszcząc go, mówiła Leonowi:

— Gościnniejszy od ciebie, kuzynie, wyszedł na nasze spotkanie.

— To jedyny mój towarzysz — odparł Leon — on jeden zna moje gusta, nawyknienia starokawalerskie, on jeden wierny mi jest i choć to kot, na niego jednego w świecie liczę.

— Cóż za pesymistyczne uwagi! — zawołała Dora — wszyscy, jak tu jesteśmy, gotowiśmy się obrazić.

— Dlaczego? Byłaby to dziwna pretensya z mój strony, gdybym żądał, by wszyscy moi przyjaciele do końca życia zostali niezmiennymi. Wszystko na świecie jest zmiennem, cóż dopiero serce ludzkie!

— Czy o zmienności uczuć sądzisz podług siebie? — pytała złośliwie panienska.

— Choćby podług siebie. Zmienność jest nawet potrzebną w życiu; cóżby się nieraz dało, by mózgi odmienić własne serce! Widocznie wszystko, co stałe, nuży człowieka.

— Szkaradnym jesteś mizantropem Leonie; jak to znać, że masz kota za jedyne go towarzysza.

— Czy myślisz, Dorko, że mając towarzyszkę, zamiast towarzysza, zapatrywałbym się inaczej na rzeczy?

— Nietylko myślę, ale pewną jestem, widocznie osamotnienie w starém zamczysku, muzyka wiatru w kominie i mruczenie drzemiącego kota, niewesoło ludzi usposabiają.

W tój chwili całe kółko rozbiegło się parami lub po kilka osób zwiedzając: jedni zamek, drudzy park—ciemno się już robiło. A Leon, bawiąc kuzynkę Dorę, jedną miał tylko myśl, która, mimo całego gniewu, niepokojem go napełniała:

— Ciekaw jestem, czy ta nieprzystępna Dyana błąka się dotąd po lesie? To do niej podobne, a doprawdy skończy kiedyś tragicznie; albo koń nogę złamie, a ona z nim razem, albo ją kto porządnie nastraszy.

Dorka myślała również:

— Ani spostrzegł, że Klimy nie ma, ani się o nią zapytał.

Kiedy tak oboje, ale każde inaczej myślało o pannie Sieniawskiej, ona sama ukazała się na tarasie, na którym już tylko Leon z Dorą pozostali. Widocznie konia oddała służbie u wjazdu.

— O! przepraszam — rzekła, cofając się od progu — nie przerywam rozmowy.

— Cóż znowu, Klimo? — zawołała Dora, wybiegając naprzeciw niej. — Zamiast przerwać, ożywisz tylko naszą rozmowę, bo Leon dzisiaj czarno usposobiony i traktował mnie samemi ponuremi uwagami.

— Widocznie twoja w tém wina — odparła Klima — gdy tylko zechcesz, wywierasz zawsze rozwesclający wpływ na twego kuzyna.

— Na każdego, nietylko na mnie — rzek Leon, który uprzejmie, ale bez okazania żadnej radości, powitał pannę Sieniawską u siebie. — Dorka jest uosobieniem wesela, najmilsza kuzyneczka pod słońcem — dodał, całując ją demonstracyjnie w rękę.

— Gdzież reszta towarzystwa? — zapytała Klima — mogłabym, doprawdy, uleść złudzeniu, że mnie młodzi państwo Braclawscy przyjmują u siebie... taki harmonijny widok w tym „*tête-a-tête*” tworzycie.

Dora nie zmieszała się wcale tą zanadto wyraźną aluzją.

— „*Tête-a-tête?*” — zapytała wesoło — a kot? Nie widzisz kota, który nas na krok nie odstępuje?

Leon zaś pomyślał:

— Dobrze, owszem; skorzystam z twojej sugestyi, piękna pani, a jeżeli tylko Dorka nie ma nic przeciwko temu, prędjiej, niż przypuszczasz, pocieszy mnie ona po twojej stracie.

Stosując się do powziętego zamiaru, już kuzynki na krok nieodstępował.

Gdy przy pięknym jasnym księżycu całe towarzystwo wracało do Sieniawki, Leon jechał obok Dorki, widocznie bardzo wesoły — niezwykle nawet

wesoły; nie brakło im przedmiotu do rozmowy. Usta im się nie zamykały.

Klima jechała między księciem de Moussy a Witoldem Braclawskim, także świetnie usposobiona; każdy dowcip tych panów zaszczycala uśmiechem i byłoby widocznie bardzo wesoło wszystkim i każdemu z osobna, tylko nie wiadomo czemu Dorka często spoglądała po za siebie, w stronę księcia de Moussy.

Widocznie brakowało jęj drugiej struny u łuku.

Klima nieraz zatrzymywała oczy na tych, którzy naprzód dążyli — i nie jest rzeczą pewną, czy słyszała wszystko, co do nięj mówiono.

Leon, opowiadając wesołe epizody myśliwskie, zatrzymywał także wzrok często na swym krewnym, panu Witoldzie. I tak, słowa ich nakazywały mniemać, że wszystkim było wesoło, że wszyscy szukali czegoś, gonili za czémś, co widocznie niepochwytne być musiało.

Na samym końcu Lila, między księciem de Poligny a Bertrandem, poważniejsza niż zwykle, nie wyrywała się naprzód, choć zwykle uchodziła za najniespokojniejszą, najpełniejszą werwy amazonkę.

Widocznie zajmował ją przedmiot rozmowy.

Bertrand Vansocken opowiadał jęj interesujące szczegóły ze swęj podróży do Algieru, Marokka i Sudanu.

Całą zimę spędził pod obcém niebem, a teraz

łubi wracać wspomnieniami do tych trudności zwyciężonych i niebezpieczeństw przebytych. Bardzo malowniczo przedstawiał oryginalne strony życia narodów półdzikich.

Rok ostatni wprowadził wielkie także zmiany w życiu Bertranda. Jest on dziś panem kolosalnego majątku i głową firmy Vansocken.

Ojciec jego umarł wkrótce po śmierci pana Mielztyńskiego; tyfus plamisty zabrał go po krótkiej chorobie.

Pani Vansocken, niepokieszona po stracie męża, cofnęła się zupełnie od świata, osiadłszy przy którymś z klasztorów.

Bertrand został więc sam jeden na świecie, a uczuł stratę swą głęboko, tak głęboko, że przez kilka miesięcy zdawało mu się, iż nawet uczucie dla Lili zostało wyrwane z korzeniem, pod nacikiem innych, boleśniejszych wrażeń.

Wtedy, to, wkrótce po śmierci ojca, wyjechał na południe, bez innego celu, jak ten, aby uciec z Paryża i pod jaśniejszemu niebem jakąś ulgę znaleźć.

Algier był dla niego pierwszą przystanią; następnie, zachęcony opowiadaniem kilku nieustraszonych turystów, puścił się dalej w głąb Afryki, a widocznie lekarstwo skutkowało zaczęło, bo powoli wracał do stanu normalnego, począł interesować się wszystkiemi, co się dookoła niego działo, począł tęsknić za tą, która była niezdobytym dla niego skarbem i chwilowy

gwałtowny ból ustąpił miejsca dawno zakorzenione mu bólowi, na który Bertrand czuł, że nie ma lekarstwa.

Gdy po rocznej prawie niebytności powrócił do Paryża, nie zastał tam już Lili; kilka dni pierwiej wyjechała z dziećmi do Sieniawki i Paryż nieznośnie pustym mu się wydał.

Zabrał się do pracy, ale jedna myśl odbierała mu energię do wszystkiego, nie widział celu w życiu.

Starał się wtedy ogłuszyć wszystkimi uciechami, jakich Paryż dostarczyć może temu, kto milionami rozporządza.

Bywały chwile, gdy mu się zdawało, że trafia do celu; upajał się rozkoszami materyalnemi, a choć nieraz obrzydzenie go brało do świata i wszystkiego, co świat rozkoszą zowie, pracował jednak nad tém, by z siebie zrobić materyalistę.

Wchodził na niebezpieczną drogę, na którą wejść łatwiej, niż się z niej cofnąć. Na tę samą łatwą i ślizgą drogę wchodzi wielu młodych ludzi o sercach szlachetnych, o bogatym umyśle, pełnych entuzjazmu, zapału; gdzie się podziewa ten umysł, to serce, ta szlachetność, gdy ci sami ludzie dobiegają kresu podróży.

Egoizm, mizantropia, cynizm, zajęły miejsce ofiarności, serdeczności i ideałów.

Bertrand, zostawiony sam sobie, a raczej sam na sam ze swą *idée fixe*, której nie umiał się oprzeć,

rzucił się głową naprzód w szal życia, aby w nadużyciu zabić drażniącą go nieodstępłą myśl.

Na balu u bardzo modnej i bardzo pięknej kobiety, jednej z tych, u których bywają panowie bez żon, siostr lub córek, spotkał Bernard księcia de Poligny.

Wtedy to dopiero poznał, że i „nadużywanie” nie jest lekarstwem na jego chorobę, bo serce zabiło mu gwałtownie i podając rękę księciu, cały był z elektryzowany, jak gdyby coś nadzwyczajnego mu się przytrafiło.

Mógł wprawdzie dawno już spotkać *beau papa* Lili, nie szukał jednak sposobności do tego, zawsze w nadziei, że złe zagłuszy — nie przypomnienia, ale zapomnienia szukał.

W tej chwili spostrzegł, że o zapomnieniu mowy nie ma; powitał księcia z najżywszą radością, nie tając swych uczuć dla niego; księżę ze swjej strony przyjął więcej, niż serdecznie, te objawy przyjaźni i długo, długo rozmawiali z sobą.

Wynikiem tej rozmowy było niezwykle rozpromienienie Bertranda, gdy wracał tej nocy do siebie.

— Żał mi jej, że nieszczęśliwa — myślał — ale wyrwę ją z tego, od czegoż rozwód? Jeżeli kto, to ona ma prawo korzystać z nowych przywilejów, jakie kobietom przysługują.

Długim wynikiem tejże rozmowy była myśl księcia, gdy wracał do pałacu Poligny:

— Skończyły się moje kłopoty; myślałem, że nie wybrnę. To trudno — *muszę* sobie zdobyć zięcia bogatego, to jest przyzwoitego — de Groeck to skończone zwierzę.

Myśli księcia także weselszy wzięły obrót po owęj rozmowie z Vansockenem; od pół roku ciężki wiódł żywot, kart prawie nie dotykał, brylantu, ani jednego drogiego kamienia, nabyć nie miał za co.

— I jak tu egzystować? — myślał nieraz, zrazony postępowaniem żony, która mu u Klimy kredytu wyrobić nie umiała, czy nie chciała; bardzo niezadowolony z wpływu nad nią, który powoli z rąk mu się wymykał; wszakże to pierwszy raz od ślubu księżna wręcz odmówiła wezwaniu męża, który na zimę pragnął ją widzieć w Paryżu.

Zdaleka niełatwo było księciu wmówić w żonę: *vous savez, ma chère, te amelioracye, reperacye, vous comprenez* — i na téj zasadzie pieniądze wydobywać.

Ale ludzie, w rodzaju księcia, mają swoją specjalną Opatrzność, w którą ślepo wierzą. Wiara taka nie zawiodła go, skoro spotkał Bertranda.

Trzecim wynikiem tego spotkania było zaproszenie młodego milionera do Sieniawki na kilka tygodni.

Księżę daleko doprowadził sztukę dyplomatyczną; napisał do żony, że Vansocken ma zamiar starać się o Klimę, jeżeli ona nic nie ma przeciw temu, a w przeciwnym razie o Dorę Braclawską; o której

egzystencyi wiedział ksiązę i wiedział także, że lato w Sieniawce przepędzi.

To było dostatecznym, by i księżna przesłała uprzejme bardzo zaproszenie dla Bertranda; przestała ona wierzyć w pomyślne zakończenie kwestyi pomiędzy Klimą i Leonem. Kto więc, może jej Bertrand przeznaczony?

Ztąd to Bertrand serdecznie został przyjęty w Sieniawce, a choć mu ksiązę nie dyktował planu postępowania, odgadł on, że Lila wyłącznie zajmować się nie może.

Widocznie zręczne było postępowanie jego, skoro nikomu na myśl nie przyszło, że dla niej, tylko dla niej, przyjechał z Paryża.

Czy o tem wiedziała Lila? — trudno odgadnąć.

W ogóle Lila mogła także potwierdzić określenie, jakie ksiązę wygłosił co do Polek. Niezrozumiałą była dla wszystkich, najwięcej może dla siebie.

Ostatni rok zostawił ślady na jej umyśle, a ferment Paryża i kosmopolitycznego towarzystwa, który tak długo nie dotknął jej prawej, szlacheckiej natury, widocznie zakradł się tam niepostrzeżenie, bo to, co przebiegało przez myśl młodej kobiety ostatniemi czasy, nie byłoby tam powstało dawniej.

Całą zimę spędziła ona w pałacu Poligny, bez opieki matki i siostry.

Nie mając oparcia w ich towarzystwie, szukała przyjaźni przelotnych, a idąc za popędem własnej natury wesolej, garnącej się do swobody, do uśmiechu, przyłgnęła najwięcej do kobiet, których celem w życiu była zabawa.

Margrabia de Groeck, gdy się raz z księciem poróżnił, robił się coraz nieznośniejszym w pożyciu. Więcej, niż niedelikatny, gwałtowny, brutalny, nieraz doprowadzał do scen, które Lila gorzkimi łzami opłakiwała.

Nie miała się komu poskarżyć, ani matki, ani siostry — obiedwie daleko.

Pisać? — i na cóż się to zdało? A jednak ona potrzebowała gorycz rzucić z serca, potrzebowała wypowiadać się ze wszystkich myśli i uczuć swoich.

Może to dzięki tej szczerości, każdy niebezpieczny pociąg zostawał zawsze z góry przytłumiony; matka i siostra słowami swemi wywierały zawsze zbawienny wpływ na tę żywą, wrażliwą naturę.

Teraz Lila sama została. Ojczymowi wyznać swoje upokorzenia, opowiedzieć mu zajścia smatne, jakie dzieliły ją i męża, znaczyło to samo, co rozjątrzać własne rany, bo ojczym buntował ją tylko przeciw Karolowi, a przytém obawiała się, ażeby nie powtórzył jej owych słów pamiętnych: „Rozwiedź się.”

Zdawało jęj się dotąd, że zawsze kocha męża, tylko mniej słodką była, mniej cierpliwą, mniej wyrozumiałą. Dawniejsze tłumaczenie: „Oni wszyscy tacy”, nie wydawało jęj się już dostatecznym.

Jakiś głos cichy, nie odzywający się nigdy dawniej, szeptał jęj: „Nie wszyscy” — a na głos ten stawała jęj w oczach wyniosła postać blondyna, o wejrzeniu pełnym serca i rozumu, o uśmiechu pełnym swobody i ciepła, o wyrazie twarzy, który w niczym wyrazu twarzy męża nie przypominał.

Postać ta miała czas tylko zamajaczyć w jęj wspomnieniu i znikła natychmiast, bo Lila bała się ją zatrzymywać.

Niemniej jednak każda nowa scena między nią a mężem nieodzownie wywoływała, jakby echo słów księcia w jęj duszy: „Rozwiedz się; trzeba nie mieć oczu, by nie widzieć, że cię Bertrand kocha.”

Napozór cały ten sezon zimowy był jednym pochodem tryumfalnym dla Lili. Toalety jęj, cytowane w „Figarze”, brane były za model gustu i elegancyi.

Wielbiciele otoczyli ją rojem. Zaczęła uchodzić za jedną z najmodniejszych pań, a złe języki przypisywały jęj niejedną już „historję”, łączyły z nią niejedno nazwisko, choć do tej pory Lila, oprócz zbytniej światowości, nie miała sobie nic do zarzucenia.

Listy jęj niepokoiły matkę i Klime; one przeczu-

wały, że tego młodego, wrażliwego stworzenia niebezpiecznie jest puszczać samopas.

Księżna de Poligny jednak nie wiedziała, jak zaradzić złemu; nie chciała narażać Klimy na spotkanie Vera de Montroye; nie wiedziała, do jakiego stopnia pod wrażeniem straszego upokorzenia wielka miłość jęj córki strzaskaną została odrazu na miejscu, wśród okropnego bólu, ale niepowrotnie; nie wiedziała, że z nięj i cień nie pozostał, nic, oprócz pogardy.

Obawiała się, że Vero, przynęcony owemi milionami, które Klima miała już w ręku, gotów zagrać nową komedję i wkraść się nanowo do jęj serca.

Dlatego księżna dla żadnych względów nie byłaby opuściła Sieniawki, choćby dla opiekowania się Lila, o której swoją drogą nie przypuszczała, na jakim przełomie stoi w tęj chwili.

Sama Lila nie wiedziała o tēm — ona wiedziała tylko, że doznała okropnego rozczarowania.

Dawnięj już mogła dojść do tęj konkluzji, ale każdą myśl niekorzystną, dotyczącą męża, oddalała, nie poddając jęj się.

Dlaczego dziś zatrzymywała się przy myślach takich—trudno odgadnąć. Wszystko pewnie złożyło się na to: cierpliwość jęj się wyczerpała, usposobieniem Karol de Groeck stawał się coraz nieznośniejszym, pod wpływem ujemnym świata zaczęła porównywać męża z innymi mężczyznami; pod wpływem niby to

nie nie znaczących, a przecieź podniecających bunt jęj przeciw mężowi, słów księcia, krytyczne oko zwracała na Karola; w końcu złe ziarno, zasiane przez księcia kiedyś, gdy jęj wspomniał o miłości innego człowieka i o możliwości rozwodu, wszystko to poczęło fermentować teraz i wywoływało w tęg napozór roztrzępanej główce wiele myśli zatruwających spokój, który kiedyś w duszy jęj panował.

Musiały już zajść wielkie zmiany w jęj usposobieniu, skoro list ojczyma, pisany do jęj matki, a zapowiadający przybycie Bertranda do Sieniawki pod pozorem starania się o Klimę lub Dorę, wywołał w niej coś nakształt żalu.

Nie przypuszczała, że to fortel ze strony księcia, wzięła list ten za dobrą monetę; zupełnie pojmowała, że nawet gdyby dawniej Bertrand miał dla niej jakie głębsze uczucie, to czas mógł dawno odmienić serce jego — nie dziwiło ją bynajmniej, że myśli się żenić, a tak często okłamujemy samych siebie, że Lila przekonana była o swych najlepszych chęciach dla projektów Bertranda.

Jeżeli on obawiał się przyjęcia, jakie go w Sieniawce spotkać mogło, to obawy jego okazały się płonne; wszystkie panie powitały go serdecznie, okazując mu wiele współczucia po stosunkowo niedawnej stracie ojca.

Klima, której matka nie wspomniała o pseudo-projektach Bertranda, w obawie, że go zrazi, zanim

się sama z myślą tą oswoi, Klima również po przyjacielsku traktowała młodego człowieka.

I dobrze mu było—nad wyraz dobrze w Sieniawce. Dobrze mu było, a z najwyższą dyplomacją ukrywał uczucie swoje, nie chcąc zrazić Lili przede wszystkim, a także nie chcąc jęj narazić na komentarze.

Głównie Dorką zdawał się być zajęty, a młoda panienka mogła paść ofiarą takiej taktyki, gdyby nie to, że ona na ofiarę nie była stworzona.

Przeciwnie w naiwności ducha Dora nie wątpiła, że Bertrand jest podbity jęj urokiem i traktowała go jak niewolnika, który z radością jarzmo znosi.

Minęło kilka dni napozór swobodnie i wesoło, a teraz, gdy wśród jasnej nocy wracają wszyscy z Olwiopola, Lila przysłuchuje się opowiadaniu Bertranda, szczęśliwa, że dąży obok niego, nie badając jednak uczuć swoich, ale poddając się im bezwiednie.

Książę de Poligny tymczasem złączył się z Dorą i z Leonem, Karol de Groeck wysunął się naprzód z księciem de Moussy, a Bertrand uznał w duchu, że po sumienném przymilaniu się Dorze, któremu się dzień cały oddawał, może teraz śmiało zostać przy Lili, nie zwracając niczyjęj uwagi.

— Pół roku temu, — kończył — tylko pół roku, a mnie się zdaje, że to wieki. Takie to dziwne robi wrażenie, gdy się powraca z krain, tysiącem lat od

nas przedzielonych pod względem cywilizacji, pojęć, obyczajów. Trudno się oswoić z tą myślą, gdy pomiesięcznej podróży wracamy do naszego świata, tak zupełnie różnego, że taka mała stosunkowo przestrzeń materyjalna, a tak olbrzymia przestrzeń moralna nas dzieli.

— Przyznaj pan, że i na Ukrainie czujesz tę olbrzymią przestrzeń moralną, jaka ją od Paryża dzieli?

— O, nie! pani, to zupełnie co innego. Czuję tu wielką różnicę bez wątpienia — i świat ten zupełnie innym od tamtego świata wydać się musi. Ale ja tutaj czuję się w mojej epoce, oddycham tē powietrzem, którego płucom moim potrzeba; może mi nie tak, jak w Paryżu, bo w Paryżu wszyscy są u siebie, ale tak jak u siebie w hotelu, który do wszystkich należy. Tutaj dobrze mi jest, ja się tu obcym nie czuję; nie mogę tego porównać z wrażeniem, jakiego w Marokko naprzykład doznawałem. Tam zdawało mi się, że jestem obcą, pokutującą duszą, która spadła z jakiejś innej planety i błąka się, nie poznając nic dokoła siebie.

— Odkądże to pan tak przylgnałeś do tych stron, że je za swoje własne uważasz? — zapytała Lila z intencją, przekonana, że sympatya wielka Bertranda do Ukrainy wiąże się z imieniem Dory.

— Odkąd, pani?... Mnie się zdaje, że od wieków. Nie pamiętam, kiedy pokochałem kraj ten,

a teraz Ukraina stała się dla mnie podwójnie drogą; ani przypuszczasz, margrabino, jak się tu często myśl moja błąkała, zanim ją poznałem.

Bertrand wymówił te słowa, nie umiejąc zapanaować nad uczuciem, które mu je dyktowało; za ledwie dokończył zdania, byłby je cofnął z ochotą, tak się przeląkł wrażenia, jakie ono na Lili sprawiło. Nie śmiał na nią spojrzeć i spuścił oczy jak winowajca.

Ona nie prosiła go o wytłómaczenie tych słów — zamyśliła się tylko głęboko.

Chwilę dążyli oboje w milczeniu.

Bertrand, jak gdyby ośmielony jej biernym zachowaniem się wobec tego wyznania, mówił dalej:

— Okropne to uczucie, tęsknota. Pani uczucia tego nie zaznałaś pewnie?

Lila podniosła oczy na niego, oczy, w których coś niby łza błyszczało.

— Myślisz pan. A mnie się zdaje, że każdy człowiek na świecie tęsknić musi.

— Każdy? Nie. Jestem przekonany, że są tacy, którym najzupełniej wystarcza codzienny tryb życia. Dla wielu zadowolenie materialnych potrzeb jest alfą i omegą życia.

— Dziękuję panu. Nie przypuszczałam, że mnie pan do takich zaliczasz.

— O! pani, to co innego. Pani dostałaś w udziale wszystko, co na świecie mieć można, pod względem materialnym i moralnym.

Lila oczy spuściła i wyrzekła cicho, tak cicho, że tylko letni wietrzyk mógł zanieść słowa jej Bertrاندowi:

— Wszystko — tak, oprócz szczęścia.

Widocznie rozmowa o szczęściu i tym podobnych chimerach ludzkich jest zawsze więcej szkodliwą, niżeli potrzebną, przedewszystkiem odrywa nas od rzeczy ziemskich i zapominamy, co się wkoło nas w rzeczywistości dzieje.

Tak też i Lila zapomniała, że jedzie konno, że konia na kamieniach krótko trzymać trzeba, bo zaledwie przebrzmiały jej słowa, kiedy wierzchówka jej potknęła się mocno i dzięki tylko przytomności umysłu Bertranda nie padła na przednie nogi; schwycił on w mgnieniu oka konia za cugle i w równowadze utrzymał.

W tej chwili właśnie Karol de Groeck z nimi się zrównał i zamiast podziękowania, usłyszał Bertrand apostrofę, zwróconą przez męża do żony:

— Jeździsz jak waryatka; z taką postrzeloną głową na konia się nie siada.

Lila wyniośle spojrzała na męża i odparła chłodno:

— Nie ciekawa jestem uwag twoich, Karolu, a pan Vansocken mniej jeszcze; odłóż je na później.

De Groeck wzruszył ramionami, zaciął konia i wyprzedził żonę, łącząc się z Witoldem Braclawskim.

XIII.

— Lileczko, — mówiła jednego dnia Klima do margrabiny de Groeck — powiedz mi koniecznie, co się z tobą dzieje? Ty jesteś teraz jakaś niepojęta dla mnie i nienaturalna. Ty tylko udajesz swobodę, ale wesołość twoja jest jakaś wymuszona. Powiedz, co tobie jest, kochanko?

Obiedwie siostry siedziały w maleńkiej łódeczce, która się kołysała u brzegu jeziora, ukryta pod baldachimem gałęzi akacyowych.

Stara, odwieczna akacya, pochylona całym pnem nad wodą, zarzuciła het w dal na jezioro końce swych gałęzi i między jej listkami a brzegiem utworzył się cienisty tunel nad wodą.

Ulubione to schronienie Lili; jeszcze dzieckiem będąc, tutaj uciekała, czy to, by w spokoju lekcyi się nauczyć, czy gdy się bury obawiała, czy też, gdy miała jakie zmartwienie.

Nie lubiła, gdy ją kto w ukryciu tém odszukał. Klima wiedziała o tém, ale tym razem postanowiła narazić się na niezadowolenie Lili, byle z nią porozmawiać sam na sam.

Od kilku tygodni już, od chwili, gdy się Sieniawka gośćmi zappełniła, Lila unikała poważniejszej rozmowy, czy to z matką, czy z siostrą; a jednak było w niej coś, co zastanawiało jej najbliższych. Zana-

to miała ona otwartą, szczerą naturę, by potrafiła grać komedię.

— Powiedz, Lili, co tobie jest?—powtórzyła Klima, obejmując w pół siostrę i tuląc się do niej.

Ale Lila widocznie zirytowaną była dnia tego, bo jej pieśczość siostry nie rozzbroiła.

— Jaka ty oryginalna jesteś, Klimo, z twemi pytaniami. Co mi jest? Alboż ja wiem? Niepodobna być zawsze w równie wesołym usposobieniu. Każdy miewa swoje humory. Gdybym ja miała ciebie za każdą zmianą temperatury pytać: „co tobie jest?”...

Klima zafrasowała się; do tej pory było rzeczą uznaną, że Lila spowiadała się z uczuć swoich, ale nikt nigdy nie pytał Klimy o to, co się w jej sercu dzieje, to też bardzo naturalna odpowiedź Lili zastała ją nieprzygotowaną.

Zorientowała się jednak prędko i odparła:

— Tak być powinno pomiędzy siostrami. Gdybyś mnie kiedy zapytała o moje zmartwienie, odpowiedziałabym ci.

— Ukrywając połowę — kończyła Lila.

— Ależ, Lileczko, nie powinnaś w ten sposób rezonować. Ja co innego; ja nie mam twojej otwartej natury, mnie trudno mówić o sobie, a ty dawniej nie byłabyś potrafiła ukryć myśli jednej.

— To trudno. Ludzie się starzeją i przestają być dziecinnymi — odparła wymijająco Lila.

— Więc nie chcesz mi powiedzieć, co cię boli? jakie jest twoje zmartwienie?

— I po cóż pytasz, Klimo? Przecież masz oczy i uszy; nie może być, abys nie odgadywała, jak dalece życie nieznośném staje się czasem? Widzisz, zasmuciłaś się. A to przecież nie nowina; więc czemu mówić o tém, jak o czémś bardzo zajmującym?

— Ja myślałam, — z pewnym wahaniem odrzekła Klima—myślałam, że ty już przywykłaś do twego krzyża. Dawniej z taką odwagą i pogodą znosiłaś wszystkie zgryzoty, imponowałaś mi nieraz.

— Przyznaj, Klimo, że nietyłe ci imponowałaś, ile myślałaś, że tak lekkomyślne, jak ja, istoty nie są zdolne nawet cierpieć.

— O, Lileczko! Jak można! Ty dobrze wiesz, że ja ciebie tak bardzo kocham i tak serdecznie współczuję...

— Jedno drugiemu nie przeszkadza. Możesz mnie kochać i możesz mnie mieć za głupiotkie bardzo stworzenie. Nie dziwię się temu; tak długo znosić takie upokorzenia, na to trzeba być albo bohaterką, świętą istotą, pełną abnegacyi, albo poprostu głupią gąską.

— Ty jesteś pierwszą w każdym razie.

— O, nie, Klimo! Nie wmawiaj tego ani w siebie, ani we mnie. Nie jestem bohaterką. Nie mam nic bohaterskiego w sobie, na abnegacyę też mnie nie stać; wszystko do czasu; jestem na to za młoda, by

się zrezygnować i wyrzec już wszelkiego szczęścia. Pytasz, co mi jest? Sił mi brak poprostu — odwagi. Nie mogę się z tą myślą pogodzić, że tak być musi.

Dla Klimy odpowiedź siostry była rewelacją. Ona tak przywykła do filozofii Lili, do jej lekkiego traktowania wszystkich zgryzot, że na chwilę nawet nie kładła zmian widocznych w jej usposobieniu na karb nieporozumień małżeńskich.

Prędzej, widząc Lilę bladą nieraz i zamysloną, przypuszczała, że brak zdrowia, albo inne jakieś nieznanne dla niej powody zmianę taką sprowadziły.

To też nastąpiła dłuższa chwila milczenia, zanim się Klima zebrała na odpowiedź. Lila z widocznym niepokojem odpowiedzi tej wyczekiwała.

— Ja myślałam, Lilo, — odparła w końcu — że ty pogodziłaś się z losem twoim.

— O, tak! to łatwiej powiedzieć, niż zdobyć się na takie pogodzenie z losami — z pewną goryczą zawołała Lila.

— Nie myśl, kochanko, aby mnie się to łatwem wydawało, bynajmniej. Ty wiesz, że wtedy nawet, kiedy ty się zrezygnowałaś, ja nieraz buntowałam się przeciw temu życiu, jakie tobie mąż twój zgotował. Ale to było szaleństwem z mój strony podnosić bunt taki, i nie przypuszczałam, że ty, z twoją słodką, anielską naturą, możesz dojść także do buntu przeciw woli Bożej.

— Miałaś mnie widocznie za lepszą, niż nią je-

stem. Ty wiiesz, że ja Karola kochałam całym sercem i póki miłości starczyło w mojem sercu, póty wszystko mu przebaczałam. Ale teraz on sam własną ręką wyrwał z korzeniem moje uczucie dla siebie, dzisiaj duchowo stał się dla mnie obcym człowiekiem. Gorzej, niż obcym, bo muszę znosić jego obecność, muszę się poddawać prawu jego nademną, więc taki „mus” jest czemś, co na neutralne uczucie nie pozwala. Mnie się zdaje, że męża można tylko albo kochać, albo nienawidzić, obojętną zostać nie można — z niezwykłym ożywieniem kończyła Lila.

— O, Lileczko! to okropne! Ty sama przed sobą egzaltujesz twoje uczucie. Ty mówisz pod wrażeniem jakiegoś niezwykłego rozdrażnienia. Jestem pewna, że tybyś nawet nie potrafiła nienawidzić, nie masz na to danych w twojem zacnym sercu. Nie unos się tak, nie poddawaj się takim myślom, pomyśl, że to do niczego nie prowadzi, tylko do zaostrzenia zgryzoty.

— Więc dlaczego każesz mi mówić? Bałam się wobec siebie wyznać to, co niechcący powiedziałam. Ale tego, co powiedziałam, nie mogę cofnąć, bo czuję, że to jest prawdą. Nie gorsz się, Klimo, i nie martw zanadto; widzisz, płaczesz teraz. I na co mnie zmuszać do wyznań? Wolalabym tysiąc razy mieć twoją stalową naturę. Ty na inny sposób, ale silniej może cierpiałaś wtedy, w Paryżu, a słowem jednym nie

poskarżyłaś się. Zazdroszczę ci tój mocy charakteru.

— O, nie mów tego kochanko! To nie moc charakteru, to pycha. Ja przez pychę milczę i przez pychę cierpię.

— Nazwij to, jak chcesz, ale przecież wtedy, gdy tak fatalnie sprawa z Verem zakończoną została, nie pycha, ale serce twoje cierpiało.

Pierwszy to raz od tój pory Lila imię Vera wobec Klimy wymówiła.

Klimy twarz pokryła się silnym rumieńcem, który i czoło i szyję jej oblał; oczy w dół spuściła, widocznie walczyła ze sobą, czy i co ma odpowiedzieć na uwagę siostry.

Godzinę temu byłaby może milczeniem pokryła tę uwagę, albo zbyła ją krótko, dając poznać, że nie chce, by Lila przedmiot ten poruszała.

W tój chwili jednak serce zanadto miała przejęte współzuciem dla siostry, a potém sama na temat wyznań wprowadziła rozmowę.

Odparła więc:

— Tak, bardzo cierpiałam wtedy, ale zapewne pychą tak samo, jak sercem. Ty nie masz pojęcia, jak u mnie wszystkie uczucia na próżności się opierają, wszystkie, z wyjątkiem dla mamy, ciebie i dla twoich dzieci.

— Przesadzasz, Klimo, zanadto siebie obwiniasz.

— O! nie zaprzeczaj, droga moja. Nie często

zdobynam się na takie wyznania, lepiej byłoby, gdybym to częściej powtarzała sobie i drugim.

— Czy wiesz, że ja spotkałam Vera w czasie zimy? Że przez trzecie osoby starał się uzyskać u mnie posłuchanie; widocznie chciał się uniewinniać.

— Doprawdy? A więc to zupełnie w porządku; nie mu nie brak, mojemu ex-ideałowi, nawet „*tupetu*”. Dowiedział się że jestem bogatą spadkobierczynią wuja — i chciał sobie małą pielgrzymkę do Canosy urządzić, jest to zupełnie według reguł. Ale dziś tak mnie to już mało obchodzi... Nie wiem, gdzie się podziało to moje uczucie. Pycha pomogła mi, bardzo do zdeptania go. Dziś pojąć nie mogę, że to ja—ja, a nie kto inny, przechodziłam przez takie silne sercowe wrażenia; wydaje mi się to nieprawdopodobnym, gdzieś w jakiejś powieści przeczytanym, a nawet szczegóły tej powieści zacierają się już we wspomnieniu.

— Znowu mi imponujesz, Klimo, że z taką zimną krwią mówisz o tem. Pojmuję, że tanto uczucie przebrzmiało, nie mogło być inaczey ale dla mnie to zagadkowe, że ty tak śmiało dążysz w życie z próżnią w sercu. Nikogo nie kochać, to tak okropnie, to tak jakby się bez słońca obywać. Tobie nie zimno? Jabym zmarzła.

— Nikogo? Ależ mam was dwie, mam dzieci twoje.

— To co innego? To zupełnie inne uczucie, ono

na starość wystarcza pewnie; ale to nie jest dostateczne, chociaż ja wiem, że taka rodzinna albo macierzyńska miłość, dużo jest głębszą i szlachetniejszą od tamtej, ale cóż to pomoże, kiedy uroku tamtej miłości nic nie zastąpi. Ty jednak bardzo masz zimną naturę, Klimo.

— Tak myślisz? Może, ja nie wiem.

— Nigdy nie tęskniłaś za tą jedną wyjątkową miłością?

— Ślicznie wyszłam na tej jednej wyjątkowej miłości — wymijająco odparła Klimo.

— Bo się omyliłaś co do człowieka; uczucie to nie przestaje być najpiękniejszym z uczuć.

— Ty, Lilo, tak jak ja, omyliłaś się, a przecież nauka poszła w las — z uśmiechem rzekła Klimo — bo w twoich słowach przeczuwam intencję swatów.

— Nie, o swatach nie myślałam w tej chwili, ale chciałabym, ażebyś się zakochała.

— A to oryginalne! Powiedz przynajmniej, dlaczego?

Odpowiedzi Lili dać nie mogła, ona sama ledwie wiedziała, dlaczego tego pragnie, przeczuwała tylko, że to uczucie, które się do jej serca zakradało, mogłoby jedynie znaleźć sankcję u osoby, któraby sama kochała i była kochaną, a co za tem idzie, szczęśliwą.

— Dlaczego? Sama nie wiem, lepiejby ci było na świecie; bo ty, choć nic nie mówisz, także szczę-

śliwą nie jesteś. Ta bałamutka, Dora, zagięła parol na twego niezmiennego dotąd wielbiciela. Leon w jej sieci się dostaje; a mnie to gniewa; chociaż nie oddawałaś mu pięknem za nadobne, ale dla mnie miło było wiedzieć, że po to serce w każdej chwili tylko rękę wyciągnąć potrzebujesz — myślałam, że wyciągniesz w końcu, ale widocznie wszystko ma swoje granice.

— Naturalnie, nie mam też żadnych pretensyj do Leona. W każdym razie wdzięczną mu pozostanę i szanuję go.

— Wdzięczną? Za co?

— Gdyby nie on, miałabym smutne bardzo pojęcie o mężczyznach. Wiem, że mnie kochał, że pomimo to nawet, kiedy milionerką zostałam, nie przyszło mu na myśl starać się o mój posag; dbał tylko o serce — to takie niezwykle; dzięki jemu, nigdy mizantropką nie będę.

— Mogłabyś mu tę wdzięczność lepiej okazywać. Wróciłaś do dawnego z nim systemu, zrażasz go i upokarzasz na każdym kroku. Jest to dla mnie niepojętém.

— Tak ci się zdaje, Lilo; trudno, abym się, jako rywalka Dory, o jego względy ubiegała. Nie chcę mu przeszkadzać w jego planach, aż nadto zasłużył na spokój i szczęście; mogłoby to na kokieterę zakrawać, gdybym mu teraz robiła jakieś demonstracje, których dawniej nie było.

— Nie chodzi o demonstracye, ale o przyjacielskie traktowanie. Reakcyja, jaką u ciebie ów paryski dramat wywołał, stanowczo korzystnie na ciebie oddziałała, teraz zaciera się to znowu. Dawna Klime odżyła.

Klime chcąc zwrócić rozmowę na inny przedmiot, rzekła:

— Tak, a dawna Lila znikła. Nie mam już mojej wesołej siostrycki, której uśmiech zawsze mnie z życiem godził.

— Takie już widać przeznaczenie kobiet — odparła Lila — życie gasi im uśmiech na twarzy. Ty nie wiesz, Klime, ty nie wiesz — mówiła dalej, ożywając się coraz bardziej — jakie ja codziennie upokorzenia znoszę. Dzisiaj—a ty pytasz, czemu mam oczy czerwone—dzisiaj zrobił mi Karol scenę, że tu nie ma grubej zwierzyny. Doprawdy! Czy ty pojmujesz? — i z po za łez śmiać się Lila zaczęła. — To moja wina, że tu nie ma polowania na niedźwiedzie! Co ty na to mówisz?

I Klime powód do sceny małżeńskiej wydał się komiczny, bo wtórowała siostrze śmiechem.

— Tak to bardzo zabawne, nieprawdaż? Ale mniej zabawne, wierz mi, kiedy basza wejdzie do mego buduaru, rzuci się na fotel bez ceremonii, aż cały mebel zatrzęszczy — wyciągnie nogi na sam środek pokoju, ziewnie głośno, zaklnie — „*sapristi*” — i dalejże skargi po co on tu przyjechał, że go nudy

o śmierć przyprawia; gdybyż choć przyzwoite polowanie. Widzisz, Klimo, tak codzien w kółko.

Byłyby siostry długo jeszcze rozmawiały, gdyby w tej chwili ktoś się do brzegu jeziora nie zbliżył, gałęzi ręką nie rozchyłał, a między gałęzmi ukazała się roz pogodzona, pełna ożywienia twarz Bertranda.

— Odgadłem, że tu panie znajdę! — zawołał.

— A pan z kąd wie o tej przystani? — pytała Klima.

— Całe godziny spędzam na łodzi w Sieniawce, jakżebym nie miał znać wszystkich zatok, przylądków i portów.

Lila, jak winowajczyni, oczy spuściła. Wyrzucała sobie w tej chwili, że obcy człowiek wtajemniczony został przez nią w jej upodobania, w szczegóły jej życia, a choć wmawiała w siebie, że wolno jej przyjąć serdeczne, przyjacielskie uczucie Bertranda, że wolno jej nawzajem mieć dla niego wiele przyjaźni i sympatyj, to przecież głos jakiś uparcie powtarzał w kółko:

— To nie przyjaźń, nie okłamuj siebie; ty wiesz, dobrze, że to nie jest przyjaźń.

Parne było powietrze dnia tego. Już od rana słońce paliło z niezwykłą siłą, cała natura zdawała się być znużoną; ten cichy szelest, który zdaje się drzewom i kwiatom rozmowę zastępować, ustał zupełnie. Wszystkie rośliny jak gdyby omdlały z nad-

miaru gorąca, nie poruszane żadnym powiewem wiatru.

Denerwującem było powietrze, zapach ziół rozlicznych uderzająco rozchodził się w przestrzeni; trudno było odetchnąć, trudno myśli zebrać.

— Podziwiam panie — mówił Bertrand — że wybrałyście się na spacer. Ja zostawiłem towarzystwo całe, odbywające siestę. Posądzam mocno większość, że drzemie w tej chwili, choć nikt nigdy do tego grzechu przyznać się nie chce. Tylko pan Leon i panna Dora wytrwale w szachy grają, na taki upał admiruję ich wytrwałość, jabym dziś nie umiał rozróżnić konika od króla.

— W takim razie czemuż się pan na słońce narażasz? Trzeba było także sieście się oddać.

— Spostrzegłem, że pań nie ma; wszyscy tam są śpiący w pałacu, szukałem więc miłszego towarzystwa, aby także nie zasnąć.

Lila szła zwolna naprzód, za nią Bertrand z Klimą. Szukali dróg najbardziej zacienionych, a gorąco robiło się coraz nieznośniejsze.

— Niech panie spojrzą, jak tu ślicznie; tyle trawy, tyle cienia. Usiądźmy trochę, panie odpoczną; nie potrzebujemy śpieszyć się z powrotem.

Propozycja Bertranda została przyjętą. Oparte o pień drzew panie, siedziały zmęczone widocznie, nie mając ochoty do rozmowy, zdenerwowane brakiem powietrza.

Bertrand obok Lili zapomniał, że ma Klimę za świadka, patrzył na nią i od czasu do czasu kilka słów rzucił. Palił leniwie papierosa, od którego obłoczek dymu wzbijał się w górę; Lila machinalnie bładziła okiem za tym obłoczkiem, a myśli jej w zawieszaniu przestały pracować.

Klima roztargnioną była, nie widziała ni Bertranda, ni siostry; przyglądała się partyi szachów i potarzała sobie w duchu:

— Dzięki mojej pysze, tylko dla tego dbam o Leona, że on przestał dbać o mnie. Przecież go nie kocham — o! nie; raz w życiu, to dosyć, to zawiele. Nie kocham go, ale mnie gniewa, że on mi serce odebrał. Zawsze pycha! będę z nią walczyć całe życie — a taka już jestem zmęczona.

Tymczasem Lila zdjęła słomiany duży kapelusz i położyła go obok siebie; widocznie ciężył jej. Złote jej włosy, zakręcone w drobne loczki, zaświeciły, dotknięte promieniami słońca, które się tu i owdzie między gałęzmi przedrzeć zdołały.

Kapelusz jej Bertrand wziął w swoją opiekę powoli wyjmował z niego świeże kwiaty, które tam Lila wpięła.

Wyjmował jeden za drugim gwoździki, rezedę, a Lila spoglądała na niego machinalnie, bezmyślnie, znużona łzami, które zrana wylała, rozmową, którą miała z siostrą, zmęczona wewnętrzną walką i niepokojem.

Bertrand wsunął jeden ponsowy gwoździk do butonierki, a od czasu do czasu podnosił oczy na Lilę, jakby chciał z twarzy jej wyczytać, czy się nie gniewa. Ale tylko wielkie zmęczenie spostrzegał.

Następnie cały bukiecik wsunął do bocznej kieszonki, a potem zbierał wkoło siebie dzwoneczki, drobne liście paproci i krwawnika i zdobił nim kapelusze Lili, zastępując wyjęte kwiaty.

Milczenie trwało ciągle, przerwał je Bertrand, mówiąc półgłosem:

— Nie ma już bzów, a ja najwięcej bez lubię.

Klimę tych słów kilka wyrwało z zadumy.

— Bez? — rzekła roztargniona — dawno już minął; ten kwiat tak prędko przekwita.

— Wiosenny kwiat, nie zna starości — kończył Bertrand.

— Nie znosi burz i zbytich upałów — odparła Lila — niewytrzymały, ginie prędko, jak wszystko, co słabe.

Mówiąc to, Lila wysunęła rękę, by podnieść parasolkę, leżącą opodal pod krzewem jałowcu; ale raptem krzyknęła, zerwała się z miejsca i schwyciła za ramię Bertranda, który, przerażony jej krzykiem, wstał w oka mgnieniu i spoglądał w stronę, którą mu Lila wskazywała.

Niewinny, choć duży wąż, równie jak i Lila przestraszony, sunął, o ile mógł śpiesznie, pomiędzy

e i zniknął w krzewach. W parku często się zdarzało z wężem spotkać, gniazda całe znajdowały się w zaroślach, a w czasie gorąca imponujące nieraz okazy snuły się po drogach.

Ale Lila nigdy przywyknąć nie mogła do mieszkańców parku, ze strachu traciła przytomność umysłu; widok węża nabawiał ją wstrętem i trwogą niewypowiedzianą.

Gdy Bertrand spostrzegł powód przerażenia Lili, sam uspokojony zupełnie, starał się ją uspokoić; ona trzymała go nerwowo za ramię i patrzyła w ten sam punkt, na którym węża spostrzegła.

Jemu tak się jej żal zrobiło, jej blada twarzyczka takie w nim współczucie obudziła, że ujął ręce jej obiedwie i pochylony nad nią z serdecznem, pełnem troskliwości wejrzeniem, mówił:

— Biedne dziecko! biedne dziecko! Takie przestraszone. Ależ to niewinny wąż, nieszkodliwy, proszę się nie bać. Drży cała — biedactwo!

A zapominając o Klimie, rękę Lili do ust podniósł i ucałował ją kilkakrotnie.

Klima, która w pierwszej chwili śmiała się z przestraszenia Lili, teraz patrzyła na tę scenę zdziwiona; coraz większe zdumienie malowało się w jej oczach, jak gdyby sobie niedobrze zdawała sprawę z tego, co się dzieje.

Nareszcie myśl jakaś przebiegła jej przez głowę

myśl, która wywołała gorący rumieniec na twarz jęj i z pewną niecierpliwością zawołała:

— Ależ, Lilo, nie bądź dzieckiem, zawsze takie komedye wyprawiasz na widok węża, jakby to groziło najstraszniejszém niebezpieczeństwem.

Lila teraz dopiero odzyskała przytomność umysłu, a wyrывая ręce z rąk Bertranda, zmieszana bardzo, odparła:

— Ja wiem, że to dziecinne, że to sensu nie ma, ale ja nigdy nad sobą panować nie umiem.

Wracali teraz spieszonym krokiem w kierunku pałacu; Bertrand wyrzucał sobie w duchu wzruszenie które widocznie zwróciło uwagę Klimy i niezadowolenie jęj wywołało.

Lila pod wpływem jakiejś niezwykłej apatyj, nie robiła w tęg chwili żadnych wniosków, nie myślała prawie o tęg, co zaszło.

Za to w głowie i sercu Klimy nowy chaos zapanaował.

Przejrzała... Teraz wiedziała już, po co Bertrand do Sieniawki przyjechał — teraz odgadła, czemu Lila, więćej niż dawnięj, na los się buntuje, a chwilę temu nic nieznaczące słowa Bertranda zrozumiałemi dla nięj się stały.

Oburzoną była na niego, przerażona myślą niebezpieczeństwa, jakie siostrze groziło; byłaby chciała drzwi Bertrandowi pokazać i z Sieniawki go wypę-

dzie; z drugiey strony skargi Lili bolały ją i litość w niej budziły.

W tej chwili zapomniała o sobie, szukała tylko punktu wyjścia dla siostry; antypatya jej dla szwagra wzrosła jeszcze; nie mogła mu darować tych cierpień, które Lila z jego powodu znosi.

Za powrotem do domu wszyscy troje weszli do salonu.

W narożniku, pomiędzy dwoma parawanikami japońskimi, obok małego stolika, siedzieli Leon i Dora, pod pozorem szachów ożywioną prowadząc rozmowę.

Bertrand zapytał wesoło:

— Jeszcze partya nieskończona? Czy może już tak całe życie trwać będzie?

Pytanie to uderzyło zarówno Leona, jak Dorę. Ta ostatnia nie przypuszczała, by Bertrand tak swobodnie mógł mówić o całożyciowej partyi jej z innym człowiekiem.

Margrabia de Groeck przyglądał się szachistom, zicwając zeicha. Teraz, gdy trójka, powracająca z parku, ukazała się, rzekł zdziwiony:

— Czegożście szukali po świecie na taką kanikulę? Nicbym się nie dziwił, gdybyście „*coup de soleil*” złapali.

— Dotychczas głowy mamy w porządku — odparł Bertrand — ale margrabina straszny miała wypadek — dodał, śmiejąc się serdecznie — wąż boa

czyhał na jej życie; cudem tylko uratowane zostało. Strach był nie do opisania.

— Śmieszna jesteś, Lilo, z tą afektacją dziecinnych bojaźni, to doprawdy sensu nie ma — odparł Karol, widocznie w złym humorze.

Cisza chwilowa nastąpiła; wszystkim się przykro zrobiło na tę uwagę cierpką i niedelikatną. Bertrand poczerwieniał, rękę kurczowo zacisnął, jakby hamując wybuch, a głowę schylił nad jakąś ilustracją, której zdawał się przyglądać.

Lila blada jeszcze pod wpływem różnych odczutych wzruszeń, popatrzyła na męża lekceważąco i odparła, jak gdyby po namyśle:

— Cóż w tym dziwnego, że mam nerwy zanadto rozstrojone i że się dziecinnie wszystkiego obawiam; ty przecież łagodząco na nerwy nie działasz.

— Nie jestem specjalistą od nerwowych chorób — rzekł Karol, wychodząc z salonu.

Trzymał się tej zasady, że gdy nie wypadało zrobić sceny głośniejszej żonie wobec świadków, najlepiej było ulotnić się, bo każde przytłumione uniesienie szkodziło zdrowiu jego.

Chwilę później całe towarzystwo się rozeszło, aby zmienić toaletę do obiadu, została tylko Dora i Klima; ta ostatnia odprowadzała kuzynkę do jej pokoju, chcąc podwojoną gościnnością wynagrodzić kilkogodzinną nieobecność dnia tego.

— Przepraszam cię — mówiła — że tak cię sa-

mój sobie zostawiłam, ale ja wiem, że ty się nigdy nie nudzisz, a chciałam porozmawiać trochę z Lili, ona...

Ale tu Klima urwała, nie chcąc zwracać uwagi na siostrę, mimowolnie bowiem wpadła na temat, który w téj chwili najsilniej myśl jej zaprzętał.

Lecz Dora ciekawa z natury, nie miała ochoty przerwać rozmowy na tak interesującym przedmiocie, podchwyciła więc zdanie niedokończone, mówiąc:

— A tak, Lila mnie też niepokoi teraz, taka blada, nerwowa, czy nie chora biedna! Mnie jej tak żal! Ty się nie rozgniewasz? Klimo, nie weźmiesz mi za złe, nieprawdaż, że o tem mówię, ale postępowanie jej męża jest oburzające. Jabym nie zniosła takiego sposobu traktowania. On nie umie się nie tylko już grzecznie, ale przyzwoicie względem niej zachować. Biedna Lileczka!

Klima ujęta serdecznym tonem Dory, odparła:

— Tak, jest to wielkie nieszczęście i ja obawiam się, czy takie zadrażnione stosunki pomiędzy nimi nie podkopują zdrowia Lili.

— Powiedz mi, co jest powodem takiego postępowania pana Karola; nigdy nie zauważyłam, aby Lila drażniła go w czémkolwiek, ona taka słodka.

— O! to jest rodzaj człowieka, którego żadna słodycz ująćby nie potrafiła. Ma dziką, niepohamowaną naturę. Lila dawniej psuła go zbytkiem dobroci i uległości, on ją miał za niewolnicę i już się

nad nią znęcał; teraz znieść nie może postawy obronnej, jaką Lila przybrała i pastwi się nad nią prosto.

— To straszne! — z prawdziwem przejęciem zawołała Dora. — O! gdy ja wyjdę za męża, tak sobie męża wymustruję, że nie będzie śmiał nigdy despotycznie ze mną postępować. Ja będę panią, a on pokornym sługą być musi.

— Ależ to znowu w drugą ostateczność wpadasz — ze smutnym uśmiechem zauważyła Klima.

Ten przedmiot rozmowy nie był dla niej obojętniejszym, ani więcej pocieszającym, niż pierwszy; pomyślała o Leonie, a Dora ze swoją stanowczością w minie i w głosie, wydała jej się zupełnie stworzoną do roli despotki, tyranki i żał jej się Leona zrobiło.

— On wart lepszej doli — pomyślała, a kończąc zaczęte zdanie, mówiła jeszcze: — Dlaczego ma być mowa o pokornej służbie i o panowaniu w małżeństwie, czy nie lepiej byłoby żyć na stopie równości przyjacielskiej? Mnieby to upokarzało, gdyby mąż mój był dla mnie tylko uległym, powolnym sługą; z dwojga złego, już jabym tę rolę wołała wziąć na świecie, bo ona mniej ubliża kobiecie, niż mężczyźnie.

— Dziękuję ci! Ślicznie to wygląda w poezyi „uległa żona”, ale w praktyce; spojrzij na Lilę.

— Niestety! ona przestała być ową uległą żoną,

a nie zmieniło to losu jej na korzyść, przeciwnie, jej teraz gorzej dużo, odkąd się rezygnacyi i uległości pozbyła.

— Chwilowo, bo to jest przesilenie złego, ale gdyby była od tego zaczęła, a poczekaj zresztą, gdy się wybije z pod przemocy, gdy się „basza” przyzwyczai do zmiany systematu, wszystko będzie lepiej.

— Bógby dał! Dzięki niebu, Karol nie stanowi normy; takich jak on, jest niewielu, bo ogół mężczyzn choćby tylko pozory przyzwoite zachować się stara.

— Tylko pozory? Nie, ja wierzę, że jest wielu przyzwoitych ludzi w gruncie rzeczy. Taki Leon Braclawski, z niego będzie idealny mąż. Stworzony na pantofla; na pasku żona prowadzić go będzie.

— Tak myślisz — zapytała niedowierzająco Klima. — Mam nadzieję, że tak nie będzie; mam dużo lepsze pojęcie o panu Leonie; on ma wiele woli i hartu duszy, tacy ludzie na pasku wodzić się nie dają.

— Jak komu — odparła Dora z wielką pewnością siebie. — Leon zakochany, będzie łagodny, jak baranek.

— Czyś go już wypróbowała pod tym względem? — pytała, napozór swobodnie, Klima.

— Próba trwa jeszcze, ale wypada pomyślnie. Bardzo poczciwy chłopiec.

— Jaby'm prędzej powiedziała: „bardzo dzielny człowiek,” to stosowniejsze dla niego określenie.

Dora spojrzała uważnie na Klime, ale z jej czystego, spokojnego profilu nic wyczytać nie mogła, odparła więc:

— Jedno określenie drugiemu nie przeszkadza.

Klima zapytała nagle, zupełnie obojętnym głosem:

— Czy jesteś już zdecydowaną, Dorko?

— Zdecydowaną? na co? — pytała panienka, udając niedomyślną.

— Wyjść za Leona.

— Dlaczego za Leona koniecznie?

— Tak wносиłam z twego postępowania względem niego; on mógłby liczyć na twoją wzajemność, gdyby się na twojem postępowaniu opierał.

— Doprawdy?—śmiejąc się wesoło, pytała Dora. Zaraz na wzajemność; mam nadzieję, że on tak pewnym siebie nie jest, gdybym miała każdemu wzajemnością odplacać, toby mi uczucia w sercu nie starczyło dla wszystkich.

— Każdemu? Czy Leona do „wszystkich” dotąd zaliczasz?

— Do wszystkich nie, ale nie widzę dlaczego on ma mieć większe prawa lub przywileje od takich...

— Dokończ, Dorko, od kogo?

— Od takiego księcia de Moussy albo Vansockena.

— Jakto? Ty nie widzisz różnicy pomiędzy księciem de Moussy a panem Leonem? Nie uznajesz wyższości w twoim kuzynie?

— Wyższości? *en voilà un grand mot*. To wszystko zależy, jak się kto na wyższość zapatruje. Może Leon jest poważniejszy, rozumniejszy etc., ale to dla mnie nie potrzebne, nie wzbijam się sama w żadne abstrakcyjne wyżyny, jestem sobie zwyczajną śmiertelniczką; swoim rozumem mógłby mi chcieć kiedyś imponować, a swoją powagą mógłby mnie później znudzić.

— Więc ty go nie kochasz?

— Przynajmniej nic o tém nie wiem; serce moje bardzo się spokojnie zachowuje, trzymam je w ręku — odparła, śmiejąc się Dora.

— Więc nie myślisz wyjść za niego? W takim razie dlaczegoż go bałamucisz?

— Jaką ty jesteś adwokatką mego kuzyna! Nieubłaganą w logice. Dlaczego? dlaczego? Bałamucę go, bo mnie to bawi. A co do wyjścia za męża, jeżeli już koniecznie wypada teraz się na coś stanowczego zdecydować...

— No, przecież gwałtu nie ma.

— Mama mówi, że jest; że gdy tak zacznę, jak ty, przebierać, to gotowam osiąść na koszu; że takich świetnych kilka partyi naraz nie trafi się drugi raz w życiu.

— Kilka, to jest?...

— Książę, bankier i bogaty szlachcic...

— Aa!

— Każdy z nich ma wielkie „fory” za sobą:

pierwszy tytuł i majątek, drugi ogromny majątek, przy którym i o tytuł łatwo, choć nie lubię koron nowęj fabrykacyi.

— A trzeci? Bo jeżeli tak się na tę sprawę zapatrujesz, to trzeci ma najmnięj szans.

— Ma także — jest Polakiem, a papa i mama chcieliby mnie w kraju zatrzymać. Nosi to samo nazwisko; srebra, brylanty i posag mój z familii-by nie wyszły, bo mama mnie chce oddać wszystkie swoje klejnoty. Choćby dlatego Leon ma szansę; inaczej papa obstawałby za tém, aby Witolda żonie...

Tu się Dorka spostrzegła, że uniesiona interesującym tematem, zanadto się zagalopowała.

— Naturalnie — dodała, mitygując się — toby także zależało od kobiety, któraby żoną Witolda została.

Klima zarumieniła się zlekka i odparła:

— A więc te wszystkie względy krępować będą wybór twój. Gdyby biedny Leon wiedział o tém!

— Ty ślicznie umiesz „perorować,” Klimo, ale przykładu mi nie dajesz — i pani strasznie bałamucić lubi — mówiła Dorka, grożąc Klimie różowym paluszkim. — Ten sam Leon podobno kiedyś męki znosił z pani powodu.

— Męki? Myślę, że tak źle nie było. Ja sobie względem niego nie mam nic do wyrzucenia, nigdy go w błąd nie wprowadzałam.

— Do mnie pite! Cóż począć? Może też i de-

czyja moja wypadnie pomyślnie dla niego; ale nie byłabym przypuszczała, że tyle masz przyjaźni dla mego konkurenta, sądząc ze sposobu w jaki go traktujesz.

— Czyż doprawdy tak bardzo jestem niegodziwą dla niego? Przykro mi, jeżeli tak jest, ale od pewnego czasu rozdrażniona jestem trochę; nie wiem, co mi jest; zaraziłam się może od Lili.

— Dla innych potrafisz być inną; są tacy, którzy serce mają pełne nadziei, a sumiennie odpowiedz mi, piękna karnodziejko, czy nie mają i pewnych podstaw do tego?

Klima zmieszala się widocznie.

— Zdaje mi się, że nie — odparła. — Jeżeli jestem swobodniejszą z którym z tych panów, to wyraźnie zaznaczam, że *tylko* na gruncie przyjaźni; żadnych innych nadziei żadnemu z nich nie robiłam.

— Ani memu bratu? Przepraszam cię, Klimo, że tak wprost zapytuję o to, ale on mnie prosił, by cię wysondować i zbadać twoje usposobienie dla niego. Ja wolę otwarcie wprost cię zapytać, czy ma on jakie szanse u ciebie?...

— O Dorko! Bardzo mi przykro, ale o tém mowy być nie może: Widzisz, gdybym mogła tak, jak ty, na małżeństwo się zapatrywać, to twój brat miałby pewnie wszelkie szanse—do nadziei; ale wierz mi, upewnij go, że żałować nie powinien; doznałby w każdym razie wielkiego rozczarowania co do mnie.

— Jak mi przykro! Mama się tak zmartwi i on także. Co to będzie? co to będzie? — mówiła Dora, zawieszając swoje toaletowe zajęcie, bo rozmowa toczyła się w pokoju Dorki, w czasie, gdy ona się do obiadu ubierała.

Odpowiedź Klimy bardzo ją zdziwiła i zmartwiła. Ani jęj w głowie powstało, by Klima mogła bratu jęj odmówić. W ogóle ona nigdy nie wątpiła, że jęj życzenia się spełnią; przyzwyczajoną była do powodzenia na każdym kroku.

W tęg chwili spoglądała niedowierzająco na Klimę, stała przed nią z rękoma załamane, okropnie zafrasowana, z uczuciem, że się stało coś bardzo złego, co nietylko na losy brata, ale i na jęj los wpłynąć może, a z egoizmem, właściwym zepsutemu dziecku, myśl jęj zatrzymała się najpierw na własnym interesie w tęg całej sprawie.

Tak oniemiała z podziwu i rozczarowania, patrzyła chwilę na Klimę, aż się ta ostatnia serdecznie roześmiała na widok jęj skonfundowanej miny.

— Dorko! — zawołała — czemuż się tak przejmujesz moją odpowiedzią? Przecież brat twój młody bardzo jeszcze, zamłody dla mnie. Nie ma nic straconego. Ja ci zaręczam, że w jego uczuciu dla mnie nie ma nic niebezpiecznego; wyleczy się prędko, pocieszy. Niepotrzebnie tak tragiczną minę przybierasz.

— Ale bo widzisz, co ja pocznę? Jeżeli mu po-

wiem, to on zechce natychmiast wyjechać i mama także, bo mama będzie na ciebie okropnie obrażona, musisz się na to przygotować. Mama myśli, że Witold jest pierwszą partją w kraju; okropnie zarużmiała co do niego. Gdy się dowiedzą, jutro ich tu nie będzie.

— Toby mi było bardzo, bardzo przykro; ależ od czego wpływy twoje? Ty wszystko na nich wómódz potrafisz. Matkę swoją przebłagasz! Ach, nie mogłabym się pocieszyć po stracie jój przyjaźni.

— O! nie, Klimo, to iluzye; ja wiem, co mogę, ale tak daleko wpływ mój nie sięga. Wyjada, wyjada natychmiast, a ja...

Tu się Dorka zawahała, jak gdyby się namyślała, czy dokończyć zdanie; widocznie Klima wzbudzała w niej zaufanie, bo mówiła dalej:

— Widzisz, Klimeczko, ja ci szczerze powiem, ja nie umiem grać komedyi. Otóż, jeżeli mama zechce natychmiast wyjechać, to ja gotowa jestem nie zakończyć wcale sprawy.

— Jakięj sprawy? — pytała Klima zdziwiona, nie rozumiejąc zupełnie, o co chodzi.

— No, naturalnie! jakaś ty naiwna! — z pewnem zniecierpliwieniem w głosie odparła Dorka żywo. — Wszystko w zawieszeniu zostanie. Nikt mi się nie zdąży oświadczyć, bo nikt się nie spodziewa, że mamy zamiar uciekać, jak złodzeje, to sensu nie ma. Cóż w tém złego, że ty nie chcesz. Ja ci tego wcale za złe nie biorę i nie rozumiem takich dzikich pre-

tenysi, obraz, gniewów, kiedy panna odmówi. Nie wolno jej się oświadczać, niechże jej przynajmniej wolno będzie odmawiać. Przecież tu żadnego wstydu nie ma. Ale trudno! Nie każdy ma dość sensu w głowie, by tak się na rzeczy zapatrywać. Odmowa twoja — oho! straszna obraza majestatu, *crime de lèse-majesté* macierzyńskiej i męskiej zarozumiałości. Mama gotowa zapomnieć, że mnie chce za mąż wydać i że mam trzech przyzwoitych konkurentów. Co tu począć?

Wszystko to było powiedziane z taką naiwnością i z takim przejęciem równocześnie, że Klima nie wiedziała, jak się wobec tego zachować, pocieszyć, radzić, czy przepraszać.

Zdecydowała się na radę:

— Dlaczegoż masz mówić, Dorko? Jeżeli się nie zapytają, to może zostaniecie przynajmniej kilka dni jeszcze, wiedząc o tem, co cię czeka, może tak potrafisz pokierować, że dziś lub jutro na coś stanowczego się zdecydujesz — mówiła dalej Klima z uśmiechem.

— Masz słusność, Klimo, nie powiem; któżby mi kazał? *Pas si bête; chacun pour soi*, nieprawdaż? Nawet gdyby mnie Witold pytał, to niepowiem, niech on sam z tobą rozmawia.

Egoizm panienki był taki jakiś dobroduszny, dziecinny, że się nawet gniewać na nią nie było można; ani się zastanowiła, że rozmowa brata z Klimą byłaby także bardzo niemiłą dla tej ostatniej.

Panna Sieniawska wyprowadziła ją z tego błędu, mówiąc:

— O nie, Dorko, nie narażaj ani mnie, ani jego na takie niepotrzebne wyznania. Powiedz mu, że chcesz pośredniczyć; zostaw w zawieszeniu, skoro ci o to chodzi, ale nie namawiaj, by się wprost do mnie udał.

— Naturalnie, piwa nawarzyłaś, teraz nie masz ochoty go wypić — wesoło, bo już co do siebie uspokojona, odparła Dorka. — Ale ja nie rozumiem, czemu cię to tyle kosztuje. Dać kosza, to także przyjemność w swoim rodzaju. Trochę upokorzyć zarozumiałość męską, mieć tę satysfakcję, że jest ktoś, kto w nocy nie sypia, a we dnie nie jada z mego powodu, trzymać los jednej męskiej egzystencji w swoim ręku! Jednym słowem, ja... ja bym nic nie miała przeciw temu, żeby mi się jutro wszyscy trzej oświadczyli; dwaj okryci żałobą, zniknęliby z przed oblicza wyroczni, z rozdartym sercem, trzeci jednym moim słowem wzbili się w zenity, najszcześniejszy ze śmiertelnych.

Żartobliwym, wesołym tonem robiła Dorka swe zwierzenia, na chwilę nie wątpiąc, że trzy serca ma w swojej mocy.

Odezwał się pierwszy dzwonek, dający znać, że za kwadrans obiad podany zostanie. Klima pospiesznie Dorkę pocałowała, i wybiegła do swego pokoju, by prędko suknię zmienić.

Dnia tego wieczorem całe towarzystwo wybrało się do księdza Wiktora. Ksiądz znosił najazdy takie z rezygnacją, oddając łądz, ogród i dom cały na pastwę najeźdzców. Dla tych przecywilizowanych natur, które wszystkiego już w życiu użyły, albo nadużyły, probostwo było czemś wysoce oryginalnym, całkiem różnym w swój prostocie od zwykłych scen i trybu życia, w jakim się codziennie obracali.

Lekki wietrzyk poruszał liśćmi odwiecznych lip i grusz starych.

Po dniu upalnym cała natura wieczorem, zamiast się do snu układać, zdawała się budzić dopiero, powracać do życia z omdlenia.

Jedna część otoczyła księdza Wiktora i ogólną prowadzono rozmowę o potrzebach kraju i o sprawach miejscowych. Ksiądz Wiktor, gdy się ożywił, umiał mówić i mówił ślicznie; słuchano go z wielkiem zainteresowaniem i, o dziwo, nawet de Groeck, ani ks. Poligny nie ziewali, chociaż przedmiot był poważny.

Między słuchaczami księdza barkowało kilku osób.

Ksiązę de Moussy szedł obok Dorki, między dwoma szpalerami róż, mocno zamyślony, podczas kiedy usta Dorki wcale się nie zamykały. Dumał głęboko nad tem, co począć.

Przyjechał do Sieniawki po Klimę, tymczasem, tydzień temu, Klima wybiła mu z głowy wszystkie

nadzieje, choć się księciu zdawało, że nie ma takiej niewiasty na świecie, któraby jego tytuł i jego miliony odrzucić mogła.

Nadskakiwał Dorce, aby wywołać zazdrość w Klimie, nie wątpiąc, że tym sposobem najlepiej rozbudzi drzemiące uczucia w niezdojbytej pannie.

Wyrachowanie takie na nic się nie przydało; spokojnie, po przyjacielsku, ale stanowczo odebrała mu Klima wszystkie nadzieje.

Zdawało mu się, że nic zniesie ciosu tego przez całe trzy godziny. Zamknięty w swoim pokoju, rozpaczliwym myślom się oddawał; postanowił wyjechać natychmiast, ale czwarta godzina, która mu trochę ulgi przyniosła, przekonała go, że lepiej pozostać na miejscu, że to jedyny sposób, aby się nikt niczego nie domyślił, aż nakoniec zdecydował, że parawanik, Dorka, mogłaby z roli komparsa stać się bohaterką jego sercowej historii.

A teraz, dążąc obok niej, pytał siebie, czy wybiła godzina w przeznaczeniu jego, czy też odłożyć oświadczenie się na później?

Dorka zawyrokowała w duchu, że ksiązę nie ma co odkładać i przyparła go do muru zapytaniem:

— Więc ksiązę za tydzień wyjeżdżasz? Czy mu nie żal będzie opuścić Sieniawkę?

— Opuścić kraj ten cały, tak bardzo gościnny, tak niezmiernie sympatyczny, naturalnie, że żal mi

będzie okropnie. Nie pojmuję, jak potrafię żyć zdala od tego kółka, do którego serce me przyłgnęło.

— O! jeżeli księciu całego kółka do szczęścia potrzeba, to się serce prędko pocieszy, bo zdaje mi się, że dużo łatwiej odwyka ono od jakiejś zebranjej całości, od ogółu, czy to pojęć, czy osób, niż od jakiejś szczególnjej, pojedynczej myśli, czy osoby.

— Jak pani filozofujesz mądrze i wytrawnie! Zkąd taka znajomość serca ludzkiego w pani wieku?

— Teraz już nie ma osobistego wieku, jest tylko ogólny koniec stulecia, gdzie ci, którzy mają coś wiedzieć, wiedzą intuicyą w najmłodszych latach. Ja jestem dużo starsza od mamy. Czego się nienauczyłam, to odgaduję.

— Jeżeli tak jest, czy odganiesz pani, o czem myślę w tój chwili?

— Może, kto wie? Poddaję się łatwo sugestyi.

— A więc?

— O! jaki ksiązę dyplomata! Czemuś pan dyplomatycznej karyery nie obrał, jużbyś dziś był ambasadorem.

Bardzo to pochlebilo księciu. Do tój pory nikt o jego zdolnościach nie wyraził tak wysokiego pojęcia, a Dorka, wiedziona zawsze instynktem przemądrych dzieci wieku, przeczuła, że pochlebstwo to wędka, na którą się każdy, nawet najmędrszy mężczyzną, wziąć daje.

W tój chwili byłby ksiązę przysiągł, że się w Dorce kocha na zabój, że Klima, to była wielka pomyłka.

Stosownie do swych głębokich uczuć rzekł teraz:

— W dyplomacyi, pani, tak, jak i we wszystkim, mistrzem moim być możesz. Jeżeli mam zostać ambasadorem, rady tak wytrawnęj ambasadrowej byłyby dla mnie nieocenionym skarbem.

Ale dla Dorki wyznanie to nie było dość wyraźnem jeszcze; ona chciała wiedzieć, czego się ma trzymać.

Odparła więc naiwnie:

— Kobiety do tój pory nie otrzymują, niestety, tak wysokich posad; gdyby się nawet czasy zmieniły, to może miałabym w tём swój interes, by księciu dobrych rad nie udzielać.

— A gdyby interesa nasze wspólne były? Pani, panno Doro, czy chciałabyś dzielić los mój, czy chciałabyś zostać żoną moją, przyjacielem, doradcą, skarbem?

Dorka skromnie oczy spuściła, zdziwiona, że się nawet na rumieniec zdobyć nie może, taki w nięj spokój panował.

Po namyśle zdecydowała się nie dać dziś jeszcze stanowczęj odpowiedzi, odparła więc wymijająco:

— W tak ważnej rzeczy trudno odrazu decydować, coby się chciało. Nie wiem. Może. Niech mi

się ksiązę namyśleć pozwoli. Jutro, pojutrze odpowiem.

De Moussy nie był kontent ze zwłoki, bo odmowa Klimy nieufnością do kobiet go natchnęła; jednakże, nie mając wyboru, ukłonił się tylko głęboko na znak poddaństwa, a Dorka przyłączyła się prędko do Lili, która szła o kilka kroków za nią obok Bertranda.

Bertrand od paru dni pozbył się dawniej ostrożności i więcej, niż potrzeba było dla spokoju Lili, nią się zajmował.

Dorka nie myślała się tём niepokoić, tak często miała go także u swego boku. Leon i ksiązę de Moussy tak ją równocześnie absorbowali, że upojona powodzeniem swoim, nie myślała zwracać uwagi co się po za nią działo.

Tymczasem Klima marzyła tylko o tём, by ksiądz Wiktor do harmonium usiadł. Magnes-muzyka pociągał ją najżywiej do Bystrzanki. Miękkie, pieśczośliwe tony harmonium były dla niej wypoczynkiem, lekarstwem.

Nieraz mówiła księdzu:

— Gdybym muzyki słuchać mogła codziennie godzin kilka, to doszłabym może w końcu do doskonałości.

Do prośb Klimy przyłączyła się reszta osób.

Ksiądz trzymał już ręce na klawiszach, a Klima dyktowała mu program:

— Najpiérw proszę o „Palestrinę”, potём o „An-

dante” Mozarta, potem o „Stabat Mater” Gounoda i wiele innych rzeczy, a na sam koniec o „Fugę” Bacha.

— Despotką jesteś — rzekł ksiądz z poddaniem; ale zastosował się do rozkazu kuzynki.

On dobrze wiedział, czém jęć duszę leczyć.

Gdy tylko pierwsze tony rozeszły się w przestrzeni, Klimia wysunęła się niepostrzeżenie do ogrodu. Zeszła o kilka kroków na dół i usiadła na ławeczce pod lipą. Tam najpiękniej przez otwarte okno splywała muzyka i tam najpiękniejszy widok się roztaczał na Roś, różową w téj chwili, bo choć już słońca widać nie było, ale iluminacya na zachodzie nie zagasła jeszcze i ostatnie jęć blaski ziemię oświecały.

Klimie smutno było dnia tego. Smutno bardzo. Smutek ten łagodniał coraz bardziej pod wpływem muzyki, rozczulenie wielkie ją opanowało; litość dla Lili, nawet dla Bertranda, szczególnie litość niezwykła, łzami napelniająca oczy — dla Leona. Pragnienie nieokreślone, a jednak wielkie, by człowieka tego ocalić, by go wydobyć z sidła naiwnej, ale niebezpiecznej kokietki, ogarnęło ją.

— Dzięki mojej pomyłce i pysze on się zmarnuje, — myślała z bólem w sercu — teraz jemu się zdaje, że Dorę kocha, ale on jęć długo kochać nie będzie. Trudno! Co począć? Nie odmienię tego.

To kara Boża, bo ja sobie dłużej iluzji robić nie mogę; wiem już, że cierpię nad tēm.

I strach ją ogarniał na myśl o długim życiu, które ją czeka jeszcze.

— Próżnia taka, pustka! Jak te stopy nasze, tak samo bezbrzeżnie smutne będzie życie moje.

Powoli jednak, zawsze pod wpływem zmieniającej się harmonii i akordów, w tej chwili pełnych siły i energii, odwaga w nią wstępowała.

Podniosła głowę z innym wyrazem w oczach, jak gdyby gotowa do walki i myślała dalej:

— Może smutne będzie życie moje, ale przecież jakikolwiek plon dać musi. Dla matki żyć teraz będę, jęj jestem potrzebną i Lili, i dzieciom Lili. Potrzebną i użyteczną być mogę; głowę, serce i majątek dał mi Bóg, to przecież skarby nie każdemu dane, wdzięczną za nie być muszę. Choćby życie moje przedłużyło się do matuzalowych granic, jeszcze go nie starczy na otarcie tyłu łez, na złagodzenie tyłu trosk, na zaspokojenie nędznych i głodnych.

Pewną była, że jęj sił nie zbraknie do spełnienia obowiązku; czuła w tej chwili, że ma czēm życie dopełnić po brzegi i zbroiła się w odwagę potrzebną, by dla siebie nic nie żądać, żyć tylko dla drugich.

Ale serce znękanе odzywało się uporczywie z jednym zdaniem:

— Nie dopuść tego małżeństwa; nie pozwól Leonowi popełnić tak wielkiej pomyłki.

Pycha swoją drogą głośniej sercu odezwać się nie dała.

— Przecież nie wyznam mu, że go kocham, — wołała głosem wielkim — na to, aby mnie drugi raz odrzucił, skoro tamtą kocha. Tego nie zrobię, tego nikt odemnie żądać nie może.

Leon w tejże samej chwili stał oparty o drzewo, patrząc w stronę Klimy; on zawsze wiedział, gdzie jej szukać, ale jej swego towarzystwa narzucać nie śmiał.

Codziennym był znowu gościem w Sieniawce. Wyraźnie starał się o względy Dory — miał stanowczy zamiar z nią się żenić, a gdy mu głos jakiś szeptał w duszy: „Po co? w jakim celu?” — starał się zagłuszyć głos ten.

Wmawiał w siebie, że to jest jedyny sposób, by o tamtej zapomnieć; przekonywał się różnemi argumentami, że rzadko kiedy uda się człowiekowi ożenić z wymarzoną kobietą, z pierwszym ideałem; że ideał taki pozostaje sielanką młodości, a rzeczywistość obejdzie się bez idylli i że małżeństwa, na rozsądku oparte, największe mają dane do szczęścia i spokoju.

Gdy wracał późną nocą do Olwiopola, nie śmiał bawić się marzeniami o spokoju. Póty tylko uważał spokój za możliwy, póki na Klimę nie patrzył, głosu jej nie posłyszał. Gdy tylko kilka życzliwych słów mu rzuciła, albo serdeczniej spojrzała na niego, już

wszelkie postanowienia w celu odzyskania rozsądku topniały, jak lód na wiosnę, a uczucia wzbierały tém silniejszą falą, im dłużej rozsądek je powstrzymał, tak, jak bystra rzeka, gdy ją wiosenne słońce z lodów oswobodzi.

Dzisiaj przyjechał wcześniej, niż zwykle, do Sieniawki, musiał się porozumieć z Klimą co do ważnej sprawy — budowy cukrowni na jej gruntach, która mogła wielkie korzyści jej przynieść.

Zastanawiał się, jaki obrót weźmie ta rozprawa, czy ją Klima zakończy chłodnem podziękowaniem, nie sprowadzając rozmowy na grunt poufalszy, więc jej przyjacielski.

Zdziwienie jego było wielkie, gdy ona serdecznie rękę do niego wyciągnęła, dziękując z niezwykłym wyłaniem za jego trudy i starania o jej dobro.

Zupełnie jego decyzji oddała rozsądzenie sprawy cukrowniczj i może byłby się Leon odważył pomówić z nią o swych osobistych sprawach, gdyby ktoś rozmowy ich nie przerwał.

W godzinę później, gdy wszyscy razem do Bystrzanki dążyli, Leon zastanawiał się nad tą zmianą w Klimie, ale sąd jego nie wypadł na jej korzyść.

— Kokietka, — myślał w duchu — takie raptowne zmiany tylko wyrafinowana kokieterya jej dyktuje. Gdy jej się z ręki wymykam, chciałaby mnie napowrót pod swą władzę zagarnąć, aby się ze mną dalej, jak kot myszą, bawić. Ale już się na to nie złapię.

W téj chwili jednak, gdy tak wsłuchując się w dźwięki „harmonium”, zapatrzony był w stronę, gdzie Klima ze swemi myślami siedziała, miał niezwalczoną pokusę, by się do niej zbliżyć.

Sam nie zdawał sobie sprawy, dlaczego jéj rady chciał zasięgnąć w kwestyi matrymonialnej. Coś go parło, by się jéj zwierzyć z projektów swoich co do Dorki.

Ani się domyślał, że na dnie jego duszy przyczajona siedziała jeszcze nadzieja, wieczna nadzieja, która na swoją rękę plany układała, całkiem różne od tych, jakie po mózgu jego się snuły.

— A nuż ona opierać się będzie projektowi temu? Może nie pozwoli na moje małżeństwo?

Machinalnie prawie opuścił sweje stanowisko i zbliżył się do Klimy; przechodząc koło niej, rzekł nie zatrzymując się prawie:

— Nie przeszkadzam pani, idę słuchać muzyki do łodzi.

— Jak pan wolisz—odparła Klima — ale ja... ja chciałam panu powiedzieć, jak bardzo się obawiam, że panu interesa mielsztynowskie zanadto sprawiają kłopotu; wybierałeś się pan na Litwę, a moja cukrownia, plantacye etc. zatrzymują cię.

— Czy mnie pani masz za takiego materyalistę? — pytał żartobliwie Leon, siadając obok Klimy. — Czemuż przypuszczać, że tylko interesa mnie tu zatrzymują?

Klima z tonu jego dobrze zrozumiała, że nie ją, ale Dorę ma na myśli. Nigdy żadnej wzmianki nie zrobił o swém uczuciu dla niej, odkąd dziedziczką Mielsztynówki została.

Odpowiedź jego w tój chwili nie rozdrażniła jęj; przygotowaną była na nią, wierzyła w przywiązanie jego do Dorki i starała się z myślą tą pogodzić. Zresztą muzyka, spływająca falami melodyi, byłaby złagodziła w tój chwili każdy bunt, każdą irytację.

— Tęm lepiej — odparła—jeżeli jest jeszcze inny magnes, który tu pana zatrzymuje; przynajmniej ja sobie wyrzutów robić nie będę.

— Więc pani pochwalasz moją wrażliwość na ten magnes?

— Niezupełnie rozumiem.

— Pozwolisz mi pani mówić otwarcie? Nie znu-
dzą panią moje osobiste sprawy?

W tój chwili ksiądz grać przestał; cicho było, cicho dokoła, jak gdyby cała natura wsłuchiwała się jeszcze w tony, drgające echem w powietrzu.

Klima, odpowiadając na pytanie Leona, rzekła:

— Bardzo panu wdzięczną będę za zaufanie. Z Lilą jesteś jak brat z siostrą, panie Leonie, mnie więcej niż braterskie usługi oddajesz, czemuż, nie mając sióstr, nie chcesz mnie pan adoptować i zwierzyć mi się ze wszystkiego?

— O, panno Klimo — starając się wesoły ton nadać głosowi, mówił Leon — takie jest w tój chwili

zdanie pani, ale ja już na jej przyjacielskie uczucia nie powinienem liczyć. Bardzo się często zmieniają, bez wymówki.

— Masz pan słuszość, robiąc mi ten zarzut i wszelkie prawo do tego. Nie każdy znieść potrafi mój humor zmienny. Ja sama często siebie znieść nie mogę i ciężarem sobie jestem.

— O! tak źle nie jest. Obmawiasz pani siebie. Umiesz panować nad sobą; w stosunkach z całym otoczeniem nie widziałem równiejszego, niż twoje, usposobienia. Ja tylko jeden jestem kozłem ofiarnym i dlatego buntuję się czasem.

Po krótkiej pauzie znowu harmonium się odezwało. Delikatne, smutne dźwięki zabrzmiały w przestrzeni.

To „Fuga” Bacha płynie słodko z pod palców mistrza, a Klima milczy chwilę, wsłuchana sercem i umysłem. Oczy jej nabierają dziwnie łagodnego wyrazu; po całej fizyognomii, jak za uderzeniem różeczki czarodziejskiej, rozlewa się urok słodczy i serdecznym głosem, w którym uczucie drga, odpowiada:

— A jednak, wierz mi pan, że nikt ci lepiej w głębi serca nie życzy i nikt cię wyżej nie stawia odemnie.

— Dziękuję za życzliwość, na którą trochę zasługuję i za szacunek, na który staram się do pewnego stopnia zasłużyć — odparł z ironią Leon. — Na

mocy pierwszego uczucia, czy zechcesz pani udzielić mi dobrej rady?

— Z całej duszy — odparła Klima, choć się w niej serce ścisnęło.

— Powiedziano jest, że źle człowiekowi żyć samemu — mówił swobodnie napozór Leon. — A ja tak dawno... całe życie... sam jeden jestem — dodał nieco smutniej. — Pani znasz dobrze Dorkę; jak myślisz, czy mam szansę, starając się o jej rękę? Chciałbym się upewnić.

Klima w wielkim znalazła się kłopotcie: rozmowa z Dorką tego samego dnia zaryła się jej w pamięci. I coraz smutniej było jej na myśl, że Leon oddał swe serce tej lekkomyślniej kuzynce, idącej za głosem próżności i światowych względów.

— Czy pan masz szansę? — odparła, wahając się — może... zdaje mi się. Pan powinienes najlepiej wiedzieć.

— Niestety! nie jestem znawcą serc kobiecych, nie znam się na różnych cieniowaniach gry ich i strategii kobiecój nie rozumiem.

— Jak się pan dziwnie wyrażasz. Mnie się zdaje, że gdy kobieta szczerze jest przywiązana do kogoś, to nie myśli o cieniowaniu gry, bo o grze nie ma mowy.

— Otóż właśnie chciałbym wiedzieć, czy Dorka jest do mnie szczerze przywiązana; bo pojmujesz pa-

ni, że gdy się nigdy nie miało jednego serca dla siebie, to pragnie się gorąco zdobyć takie serce w żonie.

— Naturalnie.

Cisza zapanowała na chwilę. Tylko muzyka dźwięczała.

— Więc pani nie jesteś wtajemniczoną w uczucia Dorki?

W tój chwili sumienie i serce Klimy wołało:

— Nie pozwól, nie pozwól na to małżeństwo; jemu tylko o serce chodzi, a Dorka go nie kocha!

Głośno zaś odparła:

— Jeżeli ją pan kochasz, to wielką miłością zdobywa się zawsze wzajemne uczucie.

— Nie zawsze.

— Zkąd pan o tém wiedzieć możesz, kiedy sam przyznajesz, że nie znasz się na kobiecych sercach? Kochasz pan Dorkę, o tém nie wątpię, bo wiem, że inaczej nie myślałbyś się z nią żenić; dla niej będzie to wielkiem szczęściem, potrafiś ją pan pokierować.

— Więc pani uznajesz, że ona potrzebuje kierownictwa?

— Taka młoda jeszcze.

— Zatem otwarcie radzisz mi pani spróbować szczęścia?

— Jeżeli to ma być szczęściem pana, to naturalnie, ale... ale...

— Ale co? Nie dokończysz pani?

— Ale ja się boję, że...

— Że co?

— O, panie Leonie, na cóż mam mówić; to zapewne niepotrzebne z méj strony obawy.

— Pierwszy raz chciałaś pani być dobrą dla mnie i wahasz się?

— Obawiam się, czy pan będziesz szczęśliwy, czy ona jest godną pana. Nie powinnam tego mówić... panu będzie przykro, skoro ją pan kochasz...

— Przykro? mnie ma być przykro, gdy pani tak do mnie mówisz? gdy raz w życiu okazujesz prawdziwe zainteresowanie się losem moim? Nie, pani, ja tylko z głębi duszy dziękuję.

— Choć pana nie rozumiem w téj chwili, ale dawno już zrozumiałam jedno, że pan jesteś bardzo, bardzo dobry i chciałabym, żebyś pan był szczęśliwy.

— O szczęściu dla mnie mowy nie ma, ja tylko chciałbym sobie życie znośném uczynić, pani przecież wiesz dobrze...

— Teraz pan nie kończysz?

— Nie chcę kończyć, bo mi w téj chwili jaśniej w duszy, a jedno słowo zimne z ust pani i znowu ciemności zapanują.

Klima zrozumiała w téj chwili, że to serce, które nauczyła się cenić, tak do niej przyrosło, że nawet śmierć oderwać go nie potrafi.

Przez chwilę była trochę odurzona swoim odkryciem, bała się przerwać milczenia. Zmusiła się jednak do odpowiedzi, coś ją zniewoliło, by mówić;

pycha w tej chwili, wobec harmonii natury i potoków melodyj, zamilkła.

— Dokończ pan — powtórzyła półgłosem.

— Pani wiesz dobrze, dlaczego dla mnie o szczęściu mowy być nie może. Dawno temu, w Paryżu jeszcze, zrozumiałem, że dla mnie wszystko skończone, że mogę już tylko wegetować.

— I mnie się trochę później tak samo zdawało. A jednak odżyłam; czy i pan za moim przykładem nie zmartwychpowstanie?

I podniosła na niego te piękne, głębokie, wymowne oczy, a światło księżyca, padające z góry, przyniosło mu jej spojrzenie, takie spojrzenie, jakiego on od niej nigdy jeszcze nie otrzymał.

— Gdybym... gdybym ja się nie bał własnych złudzeń — odparł Leon, nie śmiejąc dowierzać słowom jej, pełen nieufności, nawet gdy tak patrzyła na niego.

Klima podała mu rękę, mówiąc:

— Czy już tak bardzo zgrzeszyłam wobec pana, że żadnej u niego wiary nie mam?

On schwycił podaną sobie dłoń, a trzymając ją w swym ręku, mówił, patrząc wprost w oczy Klimy:

— Nie śmiem sobie samemu dowierzać; pani nie wiesz, ile już wycierpiałem, pojęcia o tem mieć nie możesz. Nie trzeba mnie łudzić więcej.

— Nie łudzę pana — odparła zcicha Klima, ręki mu swej nie cofając.

— Bo jeżeli przez wdzięczność, albo przez pamięć na obietnicę, daną wujowi, chcesz się pani poświęcić, to ja nigdy nie przyjmę twój ofiary.

— Nie chcę się poświęcać, chcę być szczęśliwą i chcę, abyś pan był szczęśliwy.

Leon na słowa zdobyć się nie mógł; przycisnął tylko do ust rękę ukochanej i szedł obok niej w milczeniu.

Ona mu rękę pod ramię wsunęła i patrzyła w twarz jego z rozrzewnieniem; twarz ta dziwnie wypiękniała w tej chwili pod wrażeniem nieopisanego szczęścia.

Odwrócił od niej głowę, jakby zakłopotany jej badawczym wzrokiem.

— Popatrz pan na mnie — rzekła — czemuś się tak głęboko zadumał?

On zwrócił ku niej oczy, po twarzy jego dwie wielkie łzy, pierwsze, jakie w życiu wylał, łzy szczęścia, spływały.

— Bóg jest nieskończenie dobry! — rzekł z cicha.

Klima w tej chwili poznała i oceniła serce, które chciała odtrącić, w całej jego piękności i wyższości.

Godzinę później, gdy się rozjeżdżano, Klima gorącemi słowy dziękowała księdzu za muzykę. Z matką, Lilą i księdzem podzieliła się, korzystając z pierwszej chwili swobodnej, szczęściem swoim.

— Gdyby nie „Fuga” Bacha — mówiła do proboszcza — może by pycha jeszcze raz była we mnie

zdławiła głos serca. Tyś mną kierował, księżę Wiktory, tyś mnie do portu prowadził muzyką twoją!

Troje szczęśliwych powracało dnia tego z probostwa do Sieniawki Leon, Klima i księżna. Tylko nie Lila, choć dla niej także wielką niespodzianką i pociechą była decyzja siostry. Nie Lila — niepokój i bunt zamieszkiwał w jej sercu.

XIV.

Księżna de Poligny odmłodziła pod wpływem szczęścia; marzenia jej się spełniły, a Leon otaczał ją takimi hołdami, składał jej tak wielkie dowody przywiązania, że Klima, żartując, robiła mu sceny zazdrości.

— Wobec mamy, ja jestem na drugim planie — mówiła.

Ale ta cześć, oddawana matce przez jej narzeczonego, rozczulała ją i coraz silniej do niego przywiązywała.

Nazajutrz, po stanowczej rozmowie w Bystrzance, całe towarzystwo wiedziało już o decyzji Klimy.

Ona sama postanowiła Dorkę o tém uprzedzić, a delikatna była to sprawa, ale Klima zręcznie się z nią wywiązała, zadając znienacka pytanie panience:

— Powiedz mi, Dorko, która kobieta byłaby nie-

szczęśliwszą, gdyby jej się przyszło wyrzec kogoś—ta, która kocha, czy ta, której ten ktoś byłby obojętnym?

Dorka spojrzała na kuzynkę zdziwionemi oczyma, myślała, że Klima majaczy potrochu.

— Żartujesz pewnie! — zawołała, śmiejąc się — to jasne, że tylko tej, która kocha, byłoby się trudno wyrzec ukochanego.

— Więc tobie nie zrobiłoby przykrości, gdyby się Leon z inną ożenił? Bo mnie, przyznam ci się, okropnieby to unieszczęśliwiło!

Dora, coraz więcej zdziwiona, pytała:

— Czy ty go kochasz?

— Bardzo!

— No, i czemuś mi tego wcześniej nie powiedziała, nie byłabym ci go bałamucila! Co teraz będzie? Doprawdy, ja sama nie wiem.

— Czy pozwalasz mi rozplątać tę gmatwaninę, bo mnie bardzo na tem zależy?

— Czemuś mnie wczoraj nie uprzedziła? Nieznośna jesteś, byłabym odrazu księcia de Moussy przyjęła; on się gotów teraz rozmyślcć.

— Cóż znowu! On w tobie taki zakochany, zwierzył mi się dziś rano.

— No, to dobrze, ale jeżeli Leon także?

— A jeżeli Leon nie, to pozwolisz mi zdobyć jego uczucie? — pytała, śmiejąc się wesoło, Klima.

Dorka wahała się widocznie; twarzyczka jej przybrała wyraz niezadowolenia.

— Dwóch mężów przecież mieć nie możesz — perswadowała jej Klima, zawsze żartobliwym tonem — a wolisz tego, który cię więcej kocha, nieprawdaż?

— Naturalnie, ale ja nie wiem, który mnie więcej kocha?

— Pewnie de Moussy, bo Leon powiedział mi wczoraj, że od dziesięciu lat kocha zawsze stałe jedną tylko kobietę; dziesięć lat temu ty miałaś dopiero lat ośm, więc...

— Czy tylko jesteś pewną, Klimo? Bo widzisz, mnie wszystko jedno, ale nie chciałabym go zawieść; skoro robiłam mu nadzieję, to byłoby trochę nieładnie.

— Jestem pewną, bo... Dorko, nie będziesz się gniewała? Od wczoraj jestem narzeczoną Leona.

Dorka stała chwilę oniemiała. W końcu roześmiała się głośno, chociaż śmiech ten brzmiał nieco fałszywie. Co czuła w tej chwili, nie wiadomo, ale objęła czule Klimę za szyję.

— Zdrajczyni! — wołała — zdrajcami jesteście oboje! Kiedy tak, to dobrze, to na złość Leonowi, pójdę za księcia, dziś mu to powiem!

Dwie pary narzeczonych napełniały dom weselem.

Lila, zarażona tą wesołością, zapomniała o własnych zgryzotach, a raczej nie zapomniała, tylko zdecydowała w duchu, że i ona będzie szczęśliwą.

— Mamę i Klimę prześlągam, zgodzą się na mój rozwód i Karol się zgodzi, tylko myśl o Lulu mogła-

by mnie dręczyć. Ale i o to nie ma kłopotu, Karol odstąpi mi go chętnie. Księża Wiktora muszę mieć za sobą. To będzie najtrudniejsze, ale gdy mu wszystko opowiem...

I Lila chwilowo oddała się znowu wesołości, a srebrny śmiech jej dzwonił w przestrzeni i pieścił ucho.

Zaręczyny Klimy miały się odbyć za dwa tygodnie; do tej pory goście zagraniczni wyjazd swój z Sieniawki odłożyli. Wielu bardzo osób spodziewano się na dzień ten; księżna de Poligny uroczyście chciała go obchodzić.

Lilę już miesiąc wcześniej uprzedził mąż jej, że w połowie sierpnia powróci z nim do Francji, do rezydencji ich w Bretanii, Guerlaon zwaną.

Lila, nauczona doświadczeniem, nie opierała się wyraźnie temu projektowi; pozornie zgodziła się na wyjazd, ale w duchu postanowiła całe lato przepędzić w Sieniawce, zdecydowana oprzeć się męża woli.

Jak wszystkie osoby słabego charakteru, rzadko kiedy umiała chcieć, za to, gdy raz coś postanowiła, to uporą jej nie na świecie nie było w stanie przełamać.

De Groeck zaprosił kilku panów do Guerlaon na polowanie i na tydzień przed zaręczynami Klimy, nie myśląc się niemi krępować, wszedł do pokoju Lili, by jej przypomnieć, że chwila wyjazdu nadeszła i że za dwa dni ma być gotową do drogi.

— Zapomniałeś pewnie — odparła Lila z pewną zaciętością w głosie — że dwudziestego piątego sierpnia odbędą się zaręczyny mojej siostry?

— Nie myślałem o tém wcale. Co mnie do zaręczyn? Dosyć już, że na ślub będziesz się tu musiała wlec znowu z całym taborem. Jużście się wyściskały i wybeczały na dowód wielkiej miłości siostrzanęj, wtedy, w dzień oświadczyn. Dosyć tych demonstracyj, już mnie to mdlić zaczyna.

— Ale mnie nie. Jeżeli ciebie to nudzi, to jedź; ja nie pojedę.

— Doprawdy? Mnie się zdaje, że ci się zupełnie w głowie przewróciło. Zastanów się i nie rób skandalu, proszę. Dlatego, że tu co lato wędrówki odbywasz, to nie dowód, abys na moje żądanie do mego domu wrócić nie miała. Zaprosiłem kilka osób i nie myślę dla idiotycznych czułości rodzinnych odpraszać nikogo. Pojutrze wyjeżdżam, i ty, i dzieci ze mną.

— Wybij to sobie z głowy, Karolu, ja nie pojedę.

De Groeck złowrogi miał wyraz w tej chwili; żyły mu nabrzmiały, twarz posiniała, oczy straszne były, gdy patrzył prawie nieprzytomny z pasyi.

— Co? co mówisz? — pytał ochryplym głosem.

— Nie pojedę — powtórzyła Lila bardzo blada, ale zacięta w oporze.

— Ja cię zmuszę, zmuszę, zmuszę! — krzyczał de Groeck zdławionym głosem. — Kto cię buntuje

przeciwko mnie? Ty mnie nie znasz, ty nie wiesz, że ja ciebie zmusić potrafię. Pojedziesz! Natychmiast do drogi się przygotujesz! Ja ciebie zmuszę, rozumiesz?

Stał pochylony nad nią, ręce jej gniotąc w żelaznym uścisku.

— Pojedziesz?

— Nie — odparła Lila drżąca, z oczyma nieprzytomnymi ze strachu.

Kropki krwi w twarzy jej nie było. Stała przy oknie otwartem. On, oszalały z gniewu, nie zważał na to, że ktoś nadejść może, że ktoś usłyszy; ręce jej druzgotał prawie w swych żylastych dłoniach.

— Pojedziesz?! — wycedził przez zaciśnięte zęby raz jeszcze.

— Nie — szeptem odparła Lila.

On opuścił jej ręce i popchnął ją od siebie tak silnie, że Lila zatoczyła się i z krzykiem bólu i trwogi padła przy toalecie. Padając, uderzyła głową o kandelabr z brązu, raniąc sobie czoło. Kilka kropli krwi sączyło się zwolna po jej twarzy.

Karol spojrział raz jeszcze na swoją ofiarę i uważając widocznie, że dość ją umęczył tym razem, opuścił buduar, drzwi zatrzaskując, sapiąc i dysząc, jak dziki zwierz.

Lila padając, oparła się plecami o ścianę toalety i w tej pozycji pozostała chwilę, oszołomiona, zła-

mana, oczy rękoma przysłaniając. Krew z czoła sączyła się ciemnym pasemkiem po jej rękę.

Drzwi parapetowe buduaru na oścież otwarte były do parku.

W tej chwili Bertrand, wracający z wyprawy łodzią, wsunął głowę do pokoju, nie śmiąc wejść bez upoważnienia.

— Margrabino! — wołał—czy przyjmujesz?

Lila głowę podniosła, blada jeszcze i nawpół przytomna.

On ją teraz dopiero spostrzegł i nie czekając odpowiedzi, przerażony, przejęty zgrozą zbliżył się do niej spiesźnie.

— Na miłość Boską, co się stało? Boże mój, Boże! Co to jest? co się stało?

I podał rękę Lili, by ją podnieść, ale ona bezsilna, oparła się całym ciężarem o ramię jego i on sam nie wiedział, kiedy ją objął ramieniem tępym i gdy namiętnie, gorąco, z uczuciem nieograniczonej miłości i żalu, do serca ją przytulił.

— Co to jest, powiedz, to straszne, to okropne, powiedz, co się stało?

Ale ona mówić nie mogła jeszcze, głosu jej brakło, tylko opierając złotą główkę o ramię młodego człowieka, zanosila się od płaczu, łkając zcicha, jak dziecko, którego utulić nie można.

— Moja, moja ukochana, moja biedna, nieszczęśliwa, pani najdroższa! — mówił Bertrand, całując

jéj włosy i krew z czoła jéj i twarzy chustką ocierając.

Ona nie wrywała mu się, przeciwnie, tuliła się do niego, jak gdyby się garnęła pod jego opiekę. A pierwsze jéj słowa były:

— Broń mnie, ratuj mnie! On mnie zabije! Nic mu nie mów; on mnie zabije i ciebie także!

Krew ścięła się w żyłach Bertranda. Pomny teraz, że ona omdlewa ze zmęczenia, zaniósł ją prawie na szeslong, tam ją złożył i szukał wody, aby zranione czoło ukochanej obmyć i opatrzyć; klęknął w téj chwili przy szeslongu, trzymając kompres na ranie, gdy w progu, w tychże samych drzwiach otwartych, przez które on się wsunął przed chwilą, stanęła księżna de Poligny, skamieniała ze zdumienia i wstydu.

Bertrand podniósł się i stał, patrząc na nią śmiało i nie spuszczać wzroku; po krótkiej chwili wahania wskazał na Lilę, mówiąc:

— Patrz, księżno, jak się obchodzą z córką twoją. Ale księżna głos odzyskała i z wyniosłą, królewską miną odparła:

— Kto pana upoważnił do opieki nad Lilą? — a pokazując drzwi Bertrandowi, dodała: — Może nas pan same zostawisz?

Ale Lila w téj chwili schwyła rękę Bertranda, który stał obok niej i, zatrzymując go, rzekła zmienionym, złamanym głosem:

— Mamo, proszę się nie znęcać nademną, już dosyć...

I tu płacz nie dał jęj dokończyć zdania, głos zdławiony uwiązał jęj w gardle.

Serce matki nie mogło znieść tego widoku; rana z której kompres się usunął, znowu jątrzyć się zaczęła i kropla za kroplą krwi purpurowej staczała się na dłoń Lili; księżna tuliła już córkę do siebie, zapominając o Bertrandzie; odgadywała, że zięć jęj był sprawcą mąk Lili.

Lila zcicha, głosem, który łkanie przerywało, mówiła:

— Popchnął mnie... ręce mi druzgotał... tak mnie bołą — i drobne posiniałe paluszki próbowała rozprostować.

Bertranda i matki jęj serce wzbierało bólem nieopisanym.

Kilka minut upłynęło, a księżna, zdobywając się znowu na zimną krew, tak jednak, aby Lili nie drażnić, rzekła dość łagodnie do Bertranda:

— Pan tu zostać nie możesz. Musicie uznać że to zupełnie niestosowne.

Bertrand, wracając także powoli do siebie, uznał słuszność uwagi księżnej, a wysuwając delikatnie rękę swą z ręki Lili, rzekł, patrząc na nią z całym uczuciem, jakie z serca do oczu napłynęło:

— Matka pani ma słuszność; trochę odwagi, błagam panią!

I całując drobną rączkę ukochanej, dodał:

— Taki będę niespokojny! Czy do widzenia dzisiaj?

— Do widzenia! — odparła Lila z uległością.

Dziwne i przykre bardzo było położenie księżnej wobec tej krótkiej sceny. Widząc dziecko swoje złamane, zbolale, sponiewierane, nie miała serca surowo się z nią obejść, swoją obecnością jednak i neutralnym zachowaniem się w czasie ostatniej krótkiej wymiany słów dawała na pozór sankcję temu, co zaszło między Lilą a Bertrandem.

Gdy ten ostatni wyszedł, chwilowa cisza zapanaowała między matką a córką. Księżna zbierała myśli — z trwogą wielką zastanawiała się, czy gwałtowna scena, jaka zaszła między Lilą a jej mężem, nie była spowodowana zachowaniem się Lili lekko-myślnym, czy nie zazdrość była jej powodem i czy Lila nie zasłużyła na to, co ją spotkało:

Księżna, po krótkim namyśle, zapytała w końcu:

— Powiedz mi Lilo, co zaszło między wami? Musiałaś dać jakiś powód Karolowi do takiego wybuchu?

Lila z wyrzutem spojrzała na matkę.

— Tylko on jeden mnie kocha — odparła z goryczą.— Nawet mama słuszność Karolowi przyznaje!

Księżnę do głębi słowa te zraniły.

— Lili, nie masz prawa tak mówić, ty wiesz, że słuszności Karolowi nie przyznaję, ale jako matka, muszę surowo zganić twoje postępowanie. Jesteś

żoną, mąż ma prawo wymagać wierności od ciebie, ma prawo nawet unieść się, jeżeli spostrzeże, że złamałaś obietnicę, daną przy ślubie; od tej ślubnej przysięgi nie zwalnia, tylko śmierć.

— Ja wiary nie złamałam, mamó; on mi tego zarzucić nie może — przybitym głosem odparła Lila.

— Ale może pozory były przeciwko tobie, jeżeli mąż twój wyrzucał ci poufałość z Vansockenem?

— O! jak go mama nie zna — z gorzkim uśmiechem zawołała Lila. — Cóżby jego obeszła moja poufałość z kimkolwiek! On o mnie nie więcej dba, jak o zbyteczny mebel; żąda tylko absolutnej uległości z mej strony, gdy chodzi o jego fantazyę.

— Więc nie Vansocken był powodem sceny między wami? — pytała księżna trwożliwie.

— Nie, mamó; ty i Klima byłyście powodem. Chciał mnie przed zaręczynami Klimy ztąd zabrać, ale choćby mnie zabił, to ja się ztąd nie ruszę. Nigdy już! Nigdy! ani teraz, ani później, nie pojedę do niego — mówiła gorączkowo Lili, unosząc się coraz bardziej. — Nie będzie się pastwił nademną, nie będę jego żoną, wezmę rozwód; choćbyś ty się, mamó, opierała temu, to rozwieść się muszę! Ja go nienawidzę, ja kocham Bertranda; tego już nie odmieni, to jest wynik jego brutalności. O mamó! on na mnie tyle razy rękę podniósł i ja to znosiłam; ja się go boję, ja go się tak boję!

— Kochanko — mówiła z żalem księżna — ty

nie masz prawa kochać innego, to grzech wielki, tobie tego nie wolno. Mnie serce pęka z udręczenia, ale na to pozwolić nie mogę. Czemu, czemu — dodała z wyrzutem — odebrałaś mi zaufanie twoje? Czemu dawno już nie wyznałaś mi, jakie ci grozi niebezpieczeństwo?

— To nie jest niebezpieczeństwo, mamó. To moja jedyna pociecha. Bądź spokojna, nic nie mam sobie do wyrzucenia. Dziś dopiero on się przekonał, że go kocham. Do tej pory nic między nami nie zaszło.

Księżnej widocznie kamień spadł z serca. Odechnęła swobodnie i rzekła:

— Smutne to wszystko bardzo, ale jeszcze nic straconego nie ma. Ty zanadto dobra jesteś i prawa, aby nie pojąć, że obowiązek przed osobistymi uczuciami kłaść trzeba. Z mężem się pogodzisz...

— O! nigdy, mamó! Litości nie masz nademną. Czy chcesz, aby mnie ten opętaniec zabił? Ja do niego nie wrócę. Ja go się boję, nic zmusicie mnie do tego. Nie znęcajcie się nademną, błagam was, bo się utopię — mówiła Lila w najwyższem rozdrażnieniu.

— Ale dzieci twoje, Lilo, czy one niczem są dla ciebie?

— Nie, mamó, ja je kocham więcej, niż ty mnie kochasz; jabym nie pozwoliła nikomu pastwić się nad niemi.

— A tymczasem chcesz rozwodu; więc bez wyrzutu sumienia oddasz Lulu w ręce twego męża?

— On przy tém obstawać nie będzie; ja go znam. On mi Lulu zostawi.

I długo jeszcze rozmawiały. Księżna w końcu zostawiła Lilę samą. Młoda kobieta potrzebowała spoczynku; zasnęła z bólem głowy, znękana ostatnimi przejściami, ale uspokojona w duchu, bo matka zgodziła się na jej rozwód.

Po krótkim spoczynku, wstała Lili zmęczona, zdenerwowana, ale myśl, że się o nią Bertrand niepokoi, zdecydowała ją złączyć się z towarzystwem.

Na pytanie o powód rany na głowie, miała z matką ułożoną gotową odpowiedź:

— Potknęłam się i uderzyłam głową o kandelabr.

Odpowiedź ta nie wystarczyła jednak księciu de Poligny, który zdziwiony długą nieobecnością Lili, przyszedł zapytać, co się z nią dzieje.

Gdy tylko na nią spojrział, wiedział już, czego się ma trzymać. Widział nieraz Lilę po scenie małżeńskiej, tym razem jednak czoło jej zranione wywołało w nim nieklamane współczucie.

Lila opowiedziała mu wszystkie szczegóły ostatniego zajścia, pomijając milczeniem to, co Bertrand dotyczyło.

Księżę oniemiał z oburzenia. Mruknął tylko pod nosem wymowne:

— *Va, canaille!*

I nie wdając się nawet w pocieszenie Lili, poszedł do pokoju margrabiego.

De Groeck chodził po pokoju, sapiąc jeszcze. Nie zatrzymał się, by powitać księcia, nie miał ochoty spojrzeć na niego.

— Przychodzę ci powinszować bohaterskiego czynu — rzekł księżę ironicznie. — Jest to dowodem wysokości odwagi znęcać się nad kobietą, nad własną żoną.

Margrabia przystanął:

— Może mnie księżę zechce w spokoju zostawić i nie mieszać się do spraw moich — odparł z hamowaną pasją.

— Nie mam tego zamiaru w tej chwili — rzekł zimno księżę — jeżeli masz szalęć i wściekać się, lepiej, abys się wypienił w mojej obecności. To stosowniejsze.

De Groeck wykrztusił krótkie:

— Dyabli mnie biorą!

I obrócił się tyłem do księcia, mając zamiar pokój opuścić i drzwi za sobą zatrzaskać.

Ale de Poligny nie myślał tak prędko przerwać ciekawego interview. Podążył za margrabią.

Ten ostatni widząc, że mu nie umknie, wołał roz-

mowę zakończyć między czterema ścianami, niż narażać się na możliwe spotkanie obcych.

Stanęli naprzeciw siebie. De Groeck hamował pasyę, bo miał szaloną pokusę zdławić „beau-papę” na miejscu. Ale księżę spoglądał na niego zimno i pogardliwie, a wzrok ten dziwnie działał na furyata.

Powoli oczy spuścił, zaciśnięte kurczowo pięści opadły bezsilnie i począł znowu chodzić wzdłuż i wszerz pokoju, pewien już, że nieuniknie rozprawy.

— Gdyby mój pies miał takie usposobienie — mówił spokojnie księżę — tobym mu w łeb palnął.

Margrabia nie był w stanie odpowiedzieć nawet, głos zdławiony z gardła wydobyć się nie mógł.

— A gdybym był tobą — kończył powoli księżę — tobym się powiesił z rozpaczony nad sobą samym.

Margrabia aż posiniał z wściekłości i zdobył się na wyjąkanie:

— Nie jestem ciekawy, co byś księżę zrobił... — ale nie mógł więcej wykrztusić.

— Tymczasem, póki cię nie zamkną w domu zdrowia, niebezpiecznie jest zostawiać ci bezbronne istoty — kobiety i dzieci.

— Niech was wszystkich razem i baby, i bębny, i księcia w dodatku, wszyscy dyabli wezmą! Co mnie do tego? — wrzasnął w końcu de Groeck, gdy zdołał nad głosem zapanować. — Nikogo mi nie od-

bierzecie. Wiem, że księżę chce rozwodu, bo mu pieniędzy dać nie chcę. Znamy się. Ale pieniędzy nie dam, nie dam, choćby księżę zebrał, choćby go na galerach zamknęli za długi karciane! Nie dam! Ale żonę sobie bierzcie i bębny bierzcie. Co mi po tém? Już mam dosyć całego bataklanu. Oszalałbym w końcu. Rozwódźcie się sobie. Cóż u licha! To ma być pogrózką dla mnie? Ależ ja tego pragnę! A pieniędzy nie dam. Bunt tój gęsi, to księcia sprawka. Intrygi. Znam! Buntujcie się sobie, nie dam pieniędzy. Jadę do dyabła! Dosyć tój sie-lanki!

Księżę, w czasie tego huraganu, najspokojniej zapalił cygaro i z wyciągniętymi nogami, rozpostarty w głębokim fotelu, puszczał kółka dymu, zapatrzony w sufit.

— Skończyłeś? — pytał, gdy się de Groeck zatrzymał, by powietrza zaczerpnąć.

— Gdybym wszystko powiedział, co o was myślę, toby i w piekle słyhać było!

— Dyabli na tém nic nie tracą. Już wystenografowali mówkę twoją. Bardzo udatna. Tymczasem, zamiast pociechy dla piekła, starajmy się pożytek dla siebie wyciągnąć z tój zamiany słów. Wyjeżdżasz?

— Chyba nikt o tém nie wątpi?

— Masz słusność, co ci się nie często zdarza. Otóż myślę, że wkrótce Lila kroki rozwodowe po-

czyni; może teraz bez uniesienia powiesz mi, czy się zgadzasz na rozwód, czy się bronić będziesz?

— Chybabym ostatecznie zwaryował, gdybym się miał bronić! W miłych stosunkach z wami dziwię się tylko, że mnie sto razy apopleksya nie tknęła.

— Pokryłoby to żałobą społeczeństwo całe. Nie trzeba się na to narażać. Więc jesteście w zgodzie?

— Byłem was wszystkich więcej widzieć nie potrzebował, to się zgoda utrzyma — odparł, śmiejąc się hałaśliwie de Groeck.

W tydzień później interesujący margrabia rozbił się po bruku paryskim, zdecydowany przehulać, co się tylko da za życia, aby dzieci i żona nie mogły „tańczyć na jego pogrzebie” — jak się wyraził do panny Petit-coeur, bardzo znaney baletnicy w Paryżu; przyczém podarował jej parę koni, które niedawno Lilę woziły, dodając uprzejmie w chwili, gdy pierwszy raz do powozu, zaprzężonego temi końmi, siedli:

— A uważaj, małpo, żeby szkap nie zmarnować, bo drugich nie dam, pamiętaj!

W Sieniawce tymczasem o tyle swoboda wróciła, że Lila wymogła na matce i siostrze zezwolenie na rozwód i oddawała się nadziei szczęścia, choć ksiądz Wiktor niezwykle surowy wyraz twarzy przybierał, gdy o rozwodzie tym mówiono.

Skępowany był widocznie w stosunkach z Lilą, obojętnie i chłodno ją traktował, a księżnej zwracał

kilka razy uwagę na pominięcie praw Boskich i kościelnych. Niezadowolony był bardzo. Widocznie gnębiła go myśl, że w najbliższej jego rodzinie ma się spełnić fakt, tak surowo przez kościół potępiany.

Lili ta zmiana w bracie-księdzu bardzo była przykrą, ale nie wątpiła, że on z czasem oswoi się z tą myślą i na chwilę nie wahała się więcej, uspokojona tём, że mąż nie myśli jej dzieci odebrać.

Natychmiast po owęj pamiętnęj scenie małżeńskieję, księżna wymogła na Lili obietnicę, że się nie będzie sprzeciwiała wyjazdowi Bertranda.

— To musi być — mówiła — szczególnieję, jeżeli chcesz się starać o rozwód, obecność tego człowieka jest tutaj niestosowną i niemożliwą. Ty to rozumiesz przecie.

Lila przyznała słusność matce i odparła z rezygnacją:

— Ja wiem, że on musi wyjechać, ale, mamó pozwól, abym ja mu to sama powiedziała.

Księżna nie opierała się temu, a Lila skorzystała z pierwszej sposobności i wieczorem w dzień pamiętny dla nich obojga, złączyła się z Bertrandem w parku, by mu wolę matki wyrazić.

Szli zwolna cienistą aleją świerkową.

Świerki piramidalne szumiały ciemnymi gałazkami, szumiały smutno, wieczny swój cichy a melancholijny rozhovor prowadząc. Zapach żywiczny rozchodził się w przestrzeni.

Kilka niepewnych promieni księżyca wydobywało się chwilami z pod chmur, snujących się na niebie i oświecało bladą twarzyczkę Lili.

Z ręką, opartą na ramieniu Vansonckena, mówiła:

— Dzisiaj sobie wyrzutów nie robię. Zanim wolną nie będę, ostatni raz się widzimy. Póki rozwód mój potwierdzonym nie zostanie, musisz mi obiecać, że nie będziesz się starał zobaczyć ze mną.

— Tak długo!

— Nie utrudniaj mi pożegnania, Bertrandzie, ty mi sił dodać musisz, ty wiesz, że ja taka słaba jestem.

Bertrand spojrział na nią; rzeczywiście w tej chwili wyglądała nie jak kobieta z krwi i kości, do życia stworzona, ale jak eteryczne, drobne, delikatne zjawisko napół tylko z tego świata.

— Ukochana moja — wymówił z cicha Bertrand — tyś doprawdy do walki nie stworzona; ja ci jej utrudniać nie będę, zrobię, co każesz.

— Jakiś ty dobry Bertrandzie — odparła Lila, patrząc w jego oczy.

On ręce jej ujął i tulił do ust, zwalczając pokusę przygarnięcia jej do serca. Ale ona wysunęła rączki z jego dłoni i zarzuciła mu je na szyję, szepcząc:

— To ostatni raz, ostatni raz, raz jeden!

I stali tak chwilę, spleceni w uścisku, z sercami wezbranemi miłością bezbrzeżną.

Lila pierwsza wyrwała się z objęć ukochanego, on jej oporu nie stawiał. Poprzysiągł sobie w duchu, że ta kobieta z jego powodu chwili walki nie stoczy. On ją ogarnie taką miłością, że zapomni o wszystkich okropnych przejściach życia swego.

Wsuwając teraz rękę pod jego ramię, Lila oparła główkę, dodając znowu:

— Ostatni raz, to wolno, na pożegnanie. Nieprawdaż, że to wolno? Czy to bardzo źle?...

— Moja jedyna, czemu mówisz: „ostatni raz” — przedźnij „pierwszy” powiedzieć trzeba. Nie rób sobie wyrzutów, tak się długo nie zobaczymy. To na tak długo wystarczać musi.

Ku domowi się zbliżali. Świerki szumiały za nimi smutno bardzo, tajemniczo, niezrozumiałą prowadząc rozmowę.

Księżyc żałobne światło rzucał na nich, gdy tak, jak dwa duchy nocne, wysuwali się z ciemnej alei.

Ostatni pocałunek, w którym całą duszę swoją byłby chciał w nią przelać, złożył Bertrand na ustach Lili.

Nazajutrz pożegnał towarzystwo i podążył do swojej ulubionej rezydencji normandzkiej, postanawiając w duchu sprzedać posiadłości swoje we Francji i osiedlić się w kraju Lili, aby tylko ukochanej kobiecie dogodzić.

Minęło kilka miesięcy. Szczęście i stosunkowy spokój zamieszkały w Sieniawce, bo chociaż sprawa

rozwodowa, tocząca się w Paryżu, zakłócała często harmonię, to przecież księżna de Poligny nie umiała oprzeć się wielkiemu zadowoleniu, które w duszy jej zamieszkało, gdy spoglądała na dwoje narzeczonych i na Lilę swobodną, patrzącą w przyszłość okiem pełnym ufności.

Mijał dzień za dniem, a trzy kobiety inteligentne, wyższe sercem i umysłem, zapępiały każdą godzinę użytecznie.

Lila dziećmi, muzyką, ogrodem zajęta; Klima ratowaniem chorych; zdaleka schodzono się do niej po lekarstwa i żartobliwie w domu „doktorem” ją nazywano; uczyła dzieci, czytała głośno matce i nieskończone rozmowy z Leonem prowadziła.

Księżna głównie ręcznej robocie się oddawała, a koszulki i kaftaniki dla biednych całemi tuzinami rozdawała i rozsyłała między protegowanych.

Miły był widok domu tego, w którym troska zdawała się chwilowo nie istnieć; nawet ksiądz Wiktor cieszył się trybem życia, jakie w Sieniawce prowadzono, a choć go gnębiła zawsze myśl rozvodu, choć potępiał ją systematycznie, widząc, że nagana i perswazyje na nic się nie zdadzą, wolał nie zasepiać twarzy daremnym usiłowaniem przerobienia tego, co już przerobionym być nie mogło.

Zagraniczni goście rozjechali się; nawet książę de Poligny opuścił Sieniawkę, znudzony zbyt patriarchalnym życiem.

Już i wrzesień minął, a nie było mowy o wyjeździe do Paryża.

Księżę popychał sprawę rozwodową i zdawał raporta Lili, omijając szczegóły drażliwe.

W październiku list księcia zmałował chwilowo spokój; uprzedzał Lilę, że jej obecność będzie potrzebną w Paryżu i że do drogi sposobić się powinna.

Księżna ze smutkiem myślała, że Lili samą puszczając nie może w tę podróż daleką i przygotowaną była na towarzyszenie jej. Jednego dnia, chodząc po parku nad brzegiem wody, pośliznęła się tak nieszczęśliwie na gruncie mokrym od deszczu, że padając zwichnęła nogę.

Córki, unieszczęśliwione tym wypadkiem, otoczyły matkę najczulszą troskliwością, nie odstępując jej na chwilę.

Smutny był dzień, dżdżysty i zimny pod koniec października; wiatr jęczał żałośnie i szarpał liście z żółkłe, poczerniałe, z drzew parkowych; rozrzucał je, roznosił, ciskał o ziemię, by znowu podnieść i tumanami na cztery strony świata miotać niemi.

Drobny, zimny deszczyk uderzał hałaśliwie z jakąś zaciętością i złym humorem o szyby, a jedynym silniejszym akordem w tej smutnej symfonii było krakanie wron, przeciągłe, denerwujące.

Ogień palił się na kominie; dzieci Lili, nie zważając na przygnębiające powietrze, goniły się wesoło po pokoju. Księżna spoglądała na wnuki z dumą

prawdziwą i szydełkiem ciepłe chustki dla biednych sposobila na zimę; nogi, wyciągnięte na szeslongu, świadczyły, że ruszyć jej się nie wolno; całe dnie w tej samej pozycyi spędzała. Lila obok matki przeglądała pakiet nut, świeżo nadesłanych z księgarni i próbowała decyfrować głosem na pamięć bardzo jej zalecaną pieśń Tostiego.

W tej chwili wsunął się do pokoju księżnej lokaj, niosąc telegram na tacy.

Księżna i Lili równocześnie schwyciły za niego.
— Z Paryża — mówiła księżna.

— To od papy, pewnie mnie wzywa, co ja zrobię! Mama się ruszyć nie może.

Telegram adresowany był do księżnej; otworzyła go; naraz okrzyk przestachu wyrwał się z ust jej i spojrzała trwożliwie na Lilę, mnąc telegram w ręku, jakby go przed córką ukryć chciała.

Zapomniała widocznie w pierwszej chwili przestachu, że dla Lili wiadomość, zawarta w depeszy, będzie wprawdzie ciosem, ale nie sercu, tylko w ogóle współczującej kobiecie zadany.

Lila, której myśl, na widok pomieszania i przestachu matki, przedewszystkiem na Bertrandzie się zatrzymała, zbladła i nerwowym ruchem telegram z ręki księżnej wyrwała prawie przemocą.

Wypadł jej z ręki, gdy go oczyma przebiegła, a słowa:

— De Groeck sparaliżowany; żyje, ale nieprzytomny — zaryły się w jej mózgu boleśnie.

To przecież mąż jej, umiera teraz może, a ona zdaleka od niego.

Gdy tylko ochłonęła z pierwszego wrażenia, zawołała ze łzami w oczach:

— To straszne! Mamo, ja jadę natychmiast. Biedny Karol!

Że jechać musiała natychmiast, to było jasnym dla wszystkich i nikt jej perswadować tego nie myślał. Ale z kim?

Nie z matką, która ruszyć się nie mogła; nie z Klimą, która wobec czasowego kalectwa matki opuścić jej nie była w stanie, szczególnie, że dzieci komplikowały położenie rzeczy, potrzebując troskliwej opieki.

Lila, to płakała, to znowu przebiegała jej myśl po głowie:

— Bóg mnie sam z nim rozłącza; widocznie nie chce rozvodu, kiedy mu śmierć zesłał.

Nie wątpiła na chwilę, że mąż jej albo już umarł, albo umrze wkrótce i gorzkie sobie robiła wyrzuty na myśl, że go opuścić chciała dobrowolnie.

Inaczej jednak sądziła księżna, wyrażając swe obawy, gdy sama z Klimą została.

— To wielkie nieszczęście — mówiła — Lila zupełnie sobie z tego sprawy nie zdaje. Karol żyć może długo bardzo i cóż wtedy pocznie to bieda-

ctwo? Bo w takich warunkach przecież rozwieść się nie może?

Klima, jaśniej teraz patrząca na wszystko, odparła:

— Wątpię, mamó, aby on żył długo, może w tej chwili już go nie ma na ziemi. Przykro to bardzo, ale trudno mi nie pocieszać się myślą, że to jednak oswobodzenie dla Lili.

Księżna jednak, trwając w obawach, posłała po księdza Wiktora, by się z nim naradzić i zanieść do niego prośbę gorącą.

W kilka godzin później ksiądz się tłómaczył:

— Jakże ja mogę opuścić tak nagle wszystko? Przecież ja mam tysiące obowiązków, koniecznych do spełnienia.

— Tamten pierwszy — odpowiadała księżna. — Nawet sumienie ci dyktuje, że Lili samęj puścić nie można. Pomyśl tylko, co ją tam czeka. Jeżeli śmierć męża, to potrzebny jej będziesz koniecznie, a może i jemu; jeżeli żyć będzie, to musisz na nią wpłynąć i wyperswadować jej rozwód. Inaczéj być nie może. Ty jeden tylko wpłyniesz na nią w tej mierze. Jabym nawet odwagi nie miała. A potem, widzisz, ja się ruszyć nie mogę.

— Niech jej Leon towarzyszy. Co tu parafia pocznie bezemnie? Tyle chorych teraz we wsi; nie mam zastępcy.

— Zatelegrafuję do biskupa, napiszę; on pojmie, przyśle zastępcę. Musisz, księżę; to także dusza rątku i oparcia potrzebująca, dusza siostry twojej. Cobyś Bogu odpowiedział, gdyby ta dusza nie obrała prawej drogi, a tyś ją na nią mógł wprowadzić?

I ksiądz Wiktor, przekonany, że mu sumienie nakazuje towarzyszyć siostrze, sposobił się do drogi.

Nietylko on, ale i Leon.

— W każdym razie przydać jej się mogę — mówił Klimie — jeżeli śmierć nastąpi, tyle jest przykrych formalności do załatwienia; jeżeli nie, to doprawdy rozpaczliwe będzie położenie i jeszcze potrzebniejszym być mogę.

Nazajutrz rano Lila, w towarzystwie dwóch pań, wyjechała, zalewając się łzami.

W kilka dni później, siedząc przy łóżku chorego, patrzyła na niego, zawsze jeszcze zdumiona, nie mogąc się oswoić z tym widokiem.

Więc to ten sam człowiek, który taki postrach w niej wzbudzał, którego spojrzenie nieraz dreszczem ją przejmowało? Ta wielka, ciężka masa ciała bezwładnego, obumarłego; ta twarz bez wyrazu, te oczy nieprzytomne i zamglone? To Karol? To ten sam, którego ona kochała pierwszą, gorącą miłością pełną iluzji, pełną poddania się woli jego despotycznej? To ten sam, który potoki łez wyciskał z jej oczu?

I serce jej ścisnęło się z żalu, gdy temu do zby-

tku niezależnemu człowiekowi oddawała posługi; gdy myślała za niego, w usta mu pokarm wlewając, gdy układała i czesała głowę jego, obmywała twarz tę nabrzmiałą, siną i taką straszną w swym obumarłym wyrazie.

Drugi dzień już czuwa Lila nad mężem i noc całą przy nim spędziła na zapewnienie doktora, że chwila nieuwagi, a chory umrzeć może.

Nad jednem tylko zastanowiła się od chwili przyjazdu, że życie jego od jej troskliwości zależy, więc pielęgnowała go, oka z niego nie spuszczając.

Automatycznie pełniła przy nim posługi, nie śmiała myślą wybiegnąć naprzód, w przyszłość zajrzeć.

Tak minął dzień, drugi, trzeci i czwarty, a oczy chorego spoglądały przytomniej, twarz życia nabierała, tylko ciało pozostało bezwładnem.

Gdy dni mijały, myśl Lili także pracować zaczęła, ale to, co w niej się rysowało, było tak okropnem, że z przerażeniem, z sercem obumierającym z bólu, cofała się przed tem, co ją czeka.

Ksiądz Wiktor, Leon i księżę de Poligny zmieniali się przy łóżku chorego.

Ksiądz Wiktor do tej pory zostawiał Lilę samęj sobie o tyle, że nie dotykał przedmiotów, od których życie jej i przyszłość cała zawisły.

Jednego dnia miał długą konferencyę z doktorem.

Po owej rozmowie zjawił się w pokoju paralityka i siadając obok Lili, pytał:

— Czy nie weźmiesz mi za złe, że jedną z pierwszych moich czynności po przybyciu do Paryża było staranie się, by proces rozwodowy zatrzymać?

Lila podniosła na niego trwożliwe spojrzenie; tak się bała, tak bardzo się bała, by to, co w głowie jej niewyraźnie majaczyło, nie wyszło z ust księdza.

On mówił dalej:

— Mąż twój umierał, nie mogła się przecież równocześnie toczyć skandaliczna sprawa, publicznie roztrząsana, ty nie byłabyś zniosła tego nieprawdaz? Masz zanadto chrześcijańskie i delikatne uczucie na to.

Lila zdobyła się na odpowiedź:

— Miałeś słusność.

— A teraz, Lileczko, doktor mi mówił, że...

I tu ksiądz uciał, odwagi mu brakło, by dokończyć.

— Mówił ci, że Karolowi lepiej? że żyć może długo jeszcze? — pytała Lila głosem drżącym, który się utrwalić starała.

— Może. Dziecko drogie, Chrystus kładzie ci ciężki krzyż na ramiona, czy postarasz się go unieść?

Lila zbladła mocniej jeszcze. Wielkie jej oczy świeciły ciemnym połyskiem, pod niemi dwie czarne obwódki świadczyły o nocach bezsennych i zdenerwowaniu młodej kobiety.

Na wyraźne zapytanie księdza bunt się podniósł w jej sercu. Teraz już rozumiała, czego od niej żądają, do jakiej nadludzkiej ofiary chcą ją popchnąć.

— Krzyż? Nie, Chrystus go na mnie nie kładzie. On Bóg! On zna siły moje. On wie, że tego, czego żądasz odemnie, zrobić nie mogę.

Księdzu łyzy się w oczach zakręciły; misya, którą miał przed sobą, była dla niego gorzkim kielichem do spełnienia.

Walczyć z tą kobietą, o dziecinną twarz, delikatną, jak cacko, wrażliwą, jak harfa eolska, żądać od niej tego, przed czembym się najsilniejsza cofnęła, a jednak to być musi — musi, powtarzał sobie w duchu i mówił dalej:

— Więc ty byłabyś w stanie porzucić tego człowieka bezsilnego, bezbronnego, obumarłego, któremu przysięgłaś wiarę dozgonną, porzucić go teraz, kiedy on twojej pomocy potrzebuje, kiedy ci już nic złego wyrządzić nie może? Serce twoje nie buntowałoby się przeciw takiemu okrucieństwu?

Lila postanowiła walczyć. Przecież to o długie lata może chodziło, przecież nie tylko z siebie przyszłoby jej zrobić ofiarę, ależ Bertrand!

I na samą myśl wyrzeczenia się ukochanego człowieka, serce jej wielki bunt podnosiło.

— To nie byłoby okrucieństwem. Jeżeli Karol przytomności nie odzyska, wiedzieć nie będzie kto nad nim czuwa — wszystko mu jedno, a jeżeli przyjdzie całkiem do zdrowia, to znów znęcałby się nademną zaczął. Ty, księżu, nie wiesz, co ja wycierpiałam.

— Lileczko, czy ty, patrząc na tego, w ostatniój nędzy pogrążonego człowieka, masz odwagę wspomnieć o tém, co dawniej było? Bogu to zostaw. Ty siebie nie znasz, to jest chwilowe uniesienie, cofasz się przed wielką ofiarą. I nic dziwnego, Jezus przed męką konania bał się także. Ale ty wiesz, dziecko moje, że w takich warunkach, choćbyś stanowczo odrzuciła krzyż, jaki ci Bóg zsyła, nie miałabyś ani chwili szczęścia, ani sekundy spokoju. Patrz, Lileczko, ty czuwasz nad nim, on twojój opieki potrzebuje, dajesz mu ją nad siły twoje; nie zastanawiasz się nawet, dlaczego to robisz. Robisz, bo musisz, bo cię serce i sumienie do tego popycha. Czyżbyś mogła z zimną krwią myśleć o rozwodzie, być szczęśliwą z innym człowiekiem, wobec takiego położenia rzeczy? Powiedz, mogłabyś?

Lila głowę miała spuszczoną, po twarzy jej łyzy gorzkie palące krwawe się staczały.

— Więc wy chcecie — mówiła zmienionym do niepoznanego głosem — chcecie, żebym się tamtego na zawsze wyrzekła? Żebym temu, który mi życie zламаł, służyła, jak niewolnica, długie lata może?

— Nie my chcemy, Bóg tego chce, dziecko drogie i Bóg ci sił doda. Choćbyś pod ciężarem, który nieś będziesz, upadała, to Bóg cię podźwignie. Masz dzieci, dla nich żyć będziesz. Twoja ofiara na nich błogosławięństwem spłynie.

Lila zerwała się z miejsca i nie dając księdzu odpowiedzi, wybiegła do sąsiedniego pokoju.

Tam rzuciła się na szezlong i łkała rozpaczliwie. Konwulsyjne drgania podrzucały całą jej drobną figurkę.

Od czasu do czasu jęk cichy wyrywał jej się z piersi, głowa jej bezwładnie opadła, omdlała z bólu. I znowu otwierała oczy wielkie, przerażone, prawie obłąkane z trwogi i żalu, a łzy spływały gradem po jej wybladłej, zmęczonej twarzyczce.

— Nie mogę, nie mogę — szeptała.

Ksiądz był świadkiem tej bolesnej strasznej walki między sumieniem a sercem i modlił się cicho, opierając głowę o rękę paralytyka:

— Boże, dopomóż jej! Boże, dopomóż jej!

A pewien był zwycięstwa.

Nazajutrz Lila była u spowiedzi i Komunii świętej, a wracając, zbliżyła się do księdza Wiktora.

— Proszę cię — rzekła smutnym głosem — cofnijcie stanowczo proces. Karola musimy do Sieniawki zabrać.

Ksiądz w milczeniu rękę siostry ucałował. A w dwa tygodnie później smutny orszak zbliżał się do Sieniawki. Od stacyi kolejowej niesiono paralytyka na noszach; powóz, w którym siedział z Lilą, toczył się zwolna za noszami. Leon szedł obok Karola, czuwając nad ludźmi, dźwigającymi to ciało, zdruzgotane chorobą.

XV.

Bertrand Vansocken, pełen najświetniejszych nadziei na przyszłość, dumiał tylko nad tem, jak skrócić sobie czas do chwili, w której mu Lila napisze, że go czeka.

Koniec października, równocześnie, kiedy de Groeck sparaliżowany łamał ostatecznie przyszłość żony, zastał Bertranda w Marsylii.

Wiadomość o tem, co zaszło w rodzinie Lili, nie doszła go wcale. Wiedział, że od niej, póki ona rozwodu nie dostanie, listu mieć nie będzie, uprzedziła go o tem, stosując się do woli matki. Na milczenie z tej strony był przygotowany.

Pozostawał mu tylko ksiączę, jako łącznik, ale ksiączę nie lubił korespondencyi; raz tylko w krótkich wyrazach doniósł mu, że proces rozwodowy idzie na przód i jest na najlepszej drodze, poczem zapadł w milczenie, tem głębsze, im dla Bertranda czarniejsze chmury gromadziły się na horyzoncie.

— Ja mu nie doniosę o tej zmianie decyzji — myślał ksiączę. — To głupie egzaltacye chwilowe. Czas wybije Lili z głowy owe mrzonki poświęcenia. Nie doniosę mu o krachu tego heretyka Karola. Po co? Przestraszyłby się, przyjechał, naglił, prosił, błagał i wszystko-by popsuł. To nie pora. Gdy będzie czas, uprzedzę go o wszystkiem, sam go do Sieniawki zawiozę.

Dla tych to powodów Bertrand w listopadzie jeszcze o niczém nie wiedział.

Paryż tak był pusty, gdy owe tragiczne sceny w Pałacu de Poligny się odbywały, że mało kto wiedział o tém, co zaszło. Bertrand ze swęj strony unikał wszelkiego spotkania ze znajomymi z bulwarów i klubów paryzkich.

Szukał samotności. Najpiérw dlatego, że marzycielskie jego usposobienie więcéj lgnęło do ciszy, do pięknej natury, niż do zgiełku światowego; powtóre, że z wielką miłością, która umysłem, sercem i duszą jego zawładnęła, wołał sam na sam przebywać; nie lubił, gdy go na chwilę choćby obowiązki światowe odrywały od nieopuszczającej go *idée fixe*.

Myśl o zimie napelniała go obawą i tęsknotą wielką.

Bez nadziei zobaczenia Lili i bez słówka od niéj tyle przeżyć miesięcy, długich jak lata!

Zająć się pracą? Nie mógł chwilowo, bo wszystko dla niego pozostawało w zawieszeniu. Dał słowo Lili, że dopóki ona piérwsza się nie odezwie, on pod żadnym pozorem nie będzie jéj mącił spokoju, mówiąc o przyszłości, o której mówić będzie mu wolno dopiero, gdy ona już oswobodzoną zostanie z małżeńskich więzów.

Słowa naturalnie miał zamiar dotrzymać i dlatego nie dopytywał ją o rady i wskazówki co do przyszłości ich wspólnej. Wiedział tylko, że pole dzia-

lania dla niego otwiera się w kraju Lili, a nie we Francyi, do której, będąc obcego pochodzenia, mniej był przywiązany, niż rodowity Francuz. Nie chciał się krępować nowemi interesami, wiązać sobie rąk załatwieniem jakiegokolwiek ważniejszej sprawy i ten brak chwilowego zamięłowania w pracy podwajał jeszcze tęsknotę jego i niecierpliwość wyczekiwania.

Lila miała stały adres jego w Paryżu, ztamtąd zaś korespondencye wysyłać sobie kazał to tu, to ówdzie, gdzie go interesa lub fantazyja zanosila.

Dotychczas jednak żaden list z Sieniawki go nie doszedł.

Gdzie zimę spędzić? co z zimą począć? — to był główny kłopot Bertranda w tej chwili.

— Na Rivierę nie pojedę, tam Paryż na każdym kroku; niedyskretne pytania, plany swatów, matki polujące na mój majątek, zgrani klubiści, poszukujący mój przyjaźni dla spłacenia długów; agenci, włóczący się za mną z propozycjami „kolosalnych interesów” — tam mnie zanadto znają, albo za prędko się dowiedzą o moim majątku. Do Algieru? — słońce, ciepło, morze! To jedno, co mogłoby tęsknotę moją zagłuszyć do pewnego stopnia, ale tam tak daleko; a gdyby mnie wezwała, a gdyby list od niej nadszedł, zanim odbiorę... Do Egiptu? — to samo, za daleko.

Jednego dnia w Marsylii, gdy leniwie palił poobiednie cygaro przy czarnej kawie w restauracyi angielskiej, wpadł mu w rękę wiedeński dziennik, reklamujący silnie Abazyę tę nowoutworzoną wodną

stacyę klimatyczną, położoną nad modrym Adryatykiem, tuż w sąsiedztwie uroczego portu Fiume.

— *Ça y est!* — zawołał w duchu. — Tam mnie Francuzi prześladować nie będą, bo ich tam niema. Niemców nie znam wielu. Piękna natura, morze, góry, tego mi potrzeba.

Grudzień dobiegał do końca. Nadchodziły święta Bożego Narodzenia.

Bertrand przenosił się myślą do Sieniawki i smutno mu było dnia tego.

Wigilia!

Widział stół, dokoła którego cała rodzina się zgromadziła i ów opłatek—chleb miłości, którym się dzielono, i drzewko, które dla dzieci Lili przystrajano z pośpiechem i radością; widział to jasno, wyraźnie, tak, jak trzy lata temu w Paryżu, gdy zaproszony uczestniczył w owym tradycyjnym obiedzie, razem z wielu innymi. Pamiętna to była chwila dla niego, w której spostrzegł, jak głęboko młoda margrabina de Groeck zaryła mu się w sercu.

Teraz żywo mu to wszystko w pamięci stanęło, gdy małą łódeczką posuwał się na falach Adryatyku. Wiosłował od niechcienia, a łódka kołysała się i rzucała, niesiona spienioną falą.

Niebo chmurne było dnia tego. Chmury pokryły i księżyc i gwiazdy. Szeroki powiew wiatru podnosił, drażnił i burzył morze gniewliwe.

Bertrand szukał umęczenia. Tęsknota pożerała

go, znęcała się nad nim, rady jój dać nie mógł, tylko wielkie znużenie fizyczne usypiało ją czasami.

Zadumany był głęboko. Z żalem myślał, że choć w tym dniu, wyjątkowo w kraju jój uroczystym, mogła Lila zdobyć sobie upoważnienie i napisać do niego słów kilka, podzielić się z nim opłatkiem. Spodziewał się tego.

Z bijącym sercem poczty wyglądał i z wielkim żalem żegnał codziennie nadzieję listu.

Tymczasem fala niosła go mniej więcej, gdzie sama chciała. Bertrand tyle tylko żył w chwili obecnej, o ile machinalnie wykonywał ruchy potrzebne do utrzymania równowagi.

Pozostawał jednak zawsze blisko wybrzeża, bo wiatr, idąc od południa, odrzucał fale ku północy, a fala łodzi oddalić się nie pozwalała.

Wielkie hotele „al giorno” oświetlone setkami drobnych płomyczków, noc ciemną rozświetlały. „Villa Stefanie” majaczyła białością swych murów w oddali.

Hôtel Quarnero, majestatyczny, wspaniały, wznosił się wysoko nad wybrzeżem morza i rozweselał posępność widoku blaskiem swych wielkich, jasno oświetlonych okien.

Na prawo, na lewo, coraz wyżej i wyżej, migotliwe światełka świadczyły o wysokich wzgórzach, po których pną się wille i pałacyki eleganckie.

Bertrand zatrzymał wzrok na oknie hotelu Quar-

nero. Tam micszka, za chwilę wróci i zostanie sam znowu, bez ochoty połączenia się z kimkolwiek — sam jeden, może na noc bezsenną, pełną niepokoju.

Tak jak fala morska, tak serce jego wzbierało, szamotane napływem przeróżnych uczuć.

Kochał już dzieci Lili, zdawało mu się, że kochał je miłością ojcowską. Kochał jej otoczenie, wszystkich, co do niej należeli, których ona kochała. Myślał, jak uszczęśliwi tych wszystkich, których szczęścia ona pragnie; snuł plany śmiało przyszłości słonecznej, promienną uśmiechem Lili i serdecznym jej spojrzeniem.

Czuł rączki jej w swym ręku, czuł główkę jej, opartą o jego ramię; usta jej, jak kwiat przecudny, rozchyłały się pod jego pocałunkiem i odurzały go i upajały, porywając go w uniesieniu rozkoszy w jakieś krainy zaczarowane, gdzie myśl, uczucie, egzystencja cała jest jednym pasmem zachwyty.

Myślał w tej chwili, chłostany powiewem wiatru i rozbryzgującą się falą, jaki go wieczór, jaka go noc czeka w tym hotelowym pokoju, czy tęsknoty bezdenną, czy nadziei rozkosznej?

Łódź jego już tylko o kilka kroków oddzieloną była od wybrzeża; zapomniał, że te kilkanaście łokci najtrudniejsze są do przebycia, że ogromne, czarne głazy sterczą dokoła, porozrzucane w nieładzie. Rybacy mówią, że rozrzucił je szatan, któremu się Adryatyk cały za pięknym dla świata tego wydał, aby ze-

psuć dzieło Boże. To pewna, że potworne są kształty tych kamiennych strażników morskich granic, złowrogie i niebezpieczne.

Łódź, niekierowana ni sterem, ni wiosłem nawet, uderzyła raptem o głaz taki i Bertrand zanurzył się pod wodę, oszołomiony, tracąc przytomność.

Gdy go fala na powierzchnię wyrzuciła, potracił ręką o szczątki łodzi, tąż samą ręką chwycił się rozpaczliwie ostro wystającego cypla nadbrzeżnej skały i wydobył się jednym gwałtownym ruchem na szczyt głazu.

Wśród ciemnej nocy nie narażał się więcej, by wpław do brzegu dopłynąć, potwory skaliste czyhały na życie śmiazków. Wołanie jego o ratunek prędko usłyszane zostało; na esplanadzie, tuż przy hotelach, ruch ciągle panuje.

Z pochodniami, w wielkiej łodzi, podążono mu na pomoc, a dla Bertranda niespodziana kąpiel i emocya, przebyte dnia tego, wyszły na korzyść o tyle, że otrząsnął się trochę ze smutku, w jaki się codziennie głębiej pogrążał.

— Gdyby mi się co złego stało, Lila byłaby bardzo nieszczęśliwa.

A to przekonanie, że potrzebnym jest ukochanej kobiecie i że los jego łączy się dziś z jej losami, napełniało go uczuciem wielkiej rozkoszy.

Postanowił nie unikać tak bardzo towarzystwa, aby nie popaść w mizantropię, przeciwnie, obiecywał

sobie korzystać z pobytu w Abazyi kilku sympatycznych wiedeńczyków, aby z nimi razem polować we wspaniałych lasach, pokrywających góry kroackie. Niespodziana kąpiel spowodowała zupełną w nim reakcyę.

Tydzień nie minął, gdy się Bertrand zapoznał z polską kolonią, wyjątkowo sympatyczną dla niego, jako składającą się z rodaków Lili.

Dnia jednego wybrano się na długi spacer, korzystając z cudownego słońca i majowego ciepła, co się niecodziennie zdarza w Abazyi o téj porze.

Nowoprzybyła pani Rz., młoda wdowa, wyjątkowo uprzejmą była dla Bertranda, chociaż poznali się dopiero przed godziną.

Bertrand z całą dyplomacyą czekał stosownej chwili, by zapytać o Sieniawkę, w nadziei, że się dowie czego o osobach, tak bardzo mu drogich.

Nie omylił się tym razem. Ledwie wymienił nazwisko księcia de Poligny i margrabiny de Groeck, gdy potok słów popłynął z ust pani Rz. Znała dość dobrze Sieniawkę i wszystkie szczegóły przejść ostatnich były jęj wiadome.

Poczęła się roztkliwiać nad losem Lili, nad jęj nieograniczonem poświęceniem dla człowieka, który podobno najgorszym był mężem; mówiła o procesie rozwodowym, który był już rozpoczęty, a który w skutek choroby margrabiego cofnięty został.

Bertrand słuchał, słuchał, nie mogąc się zdobyć

na żadną uwagę. Uszom niezupełnie dowierzał, zdawało mu się, że pogrążony jest w jakimś śnie przykrym.

Pani Rz., zdziwiona jego milczeniem, podniosła rozmarzone oczy na niego, ale spojrzenie jej przybrało natychmiast inny wyraz, gdy spostrzegła pomieszczenie Bertranda.

— Co panu jest? — zawołała. — Pan chory pewno?

— Miewam czasem newralgiczny ból głowy, który mi przytomność odbiera i tak niespodzianie przychodzi — odparł Bertrand, korzystając z dolegliwości, na którą cierpiał czasami, by się wytłómaczyć.

— Niech się pan nami nie krępuje, — mówiła uprzejmie pani Rz. — w takich razach spokój, to jedyne lekarstwo, najlepiej do hotelu wrócić i samemu zostać.

Bertrand skorzystał z pozwolenia i w chwilę potem w ciszy swego pokoju, oszołomiony, strwożony, próbował myśli do ładu doprowadzić.

W kilka dni później dojeżdżał pociągiem błyskawicznym do Paryża.

— To jedyne sposob, — myślał — tu się całej prawdy dowiem. Byłem tylko księcia de Poligny zastał. Inaczéj oszaleję z niepokoju. Ale to być nie może. Ona się nie cofnie. Ona mi takiéj krzywdy nie zrobi.

Mimo téj pozornéj pewności co do Lili, w głébi duszy głos jakiś szeptał:

— Ona gotowa się poświęcić.

W godzinę po przebyciu do Paryża rozmawiał Bertrand z portyerem pałacu de Poligny.

— Książę pan wyjechał na ślub panny hrabianki Klementyny.

— Dawno temu?

— Z dziesięć dni pewnie.

— Nie mówił kiedy powróci?

— W końcu stycznia go się spodziewamy.

— Podobno margrabia de Groeck chory?

— Sparalizowany, panie. Pani margrabina przyjechała po niego, razem z księdzem i panem narzeczonym panny hrabianki, i zabrali go.

Portyer rad był, że pogawędzi z tym panem, którego napiwki najczulsze zostawiły wspomnienia w jego pamięci.

— A więc to prawda!—myślał rozpaczliwie Bertrand, dążąc pospiesznie, gorączkowo do adwokata Lili, aby co do rozvodu wieści zasięgnąć.

W godzinę później, opuszczając biuro pana Lesnesa, powtarzał w kółko:

— Wszystko prawda! wszystko prawda!

I zdawało mu się, że ziemia usuwa się z pod nóg jego.

Gdy Bertrand w Abazyi oddawał się to rozpaczy,

to nadziei, równocześnie w Sieniawce sposobiono się do ślubu Klimy.

Niewielkie robiono przygotowania; ślub, z powodu choroby Karola de Groeck, miał się odbyć cicho, w najbliższém kółku rodzinném.

Klima z Lilą długie prowadziła rozmowy.

Ta ostatnia słuchała uważnie wskazówek starszej siostry i rad jęj, zdecydowana zrobić wszystko, co w jęj mocy, by podolać zadaniu, podwójnie ciężkiemu z chwilą, gdy na Klimy pomoc liczyć już nie będzie mogła.

Panna Sieniawska na kilka dni przed ślubem oddawała siostrze swoje uczennice, o każdęj dziewczynce mówiąc z wielką troskliwością.

— Nie psuj małej Horpynki, — prosiła — ona jest bajecznie leniwa i niezwykle zdolna, musisz na nią zwrócić baczną uwagę; kłamie przy każdęj sposobności, ale ma najlepsze serce. Z nięj w przyszłości trzeba zrobić gospodynię, bo do igły nikt jęj nie napędzi, a lubi kury, indyki, krowy; dziś już zna się na serze, maśle i jajach, tylko próżniactwo wytepić z nięj trzeba. A pamiętaj o Parasce, to biedactwo, sierota! to takie ciche, potulne, byle czego płacze. Nie pozwól jęj się mazać. Słodyczy jęj nie dawaj, bo jęj szkodzą, lepiej owoce. Ale, Lileczko, nie trzeba być dla nich za łagodną, nicbyś nie osiągnęła. Chłopcy szczególnięj energicznęj ręki potrzebują. Czy ty dasz sobie radę, kochanko moja bie-

dna? — pytała Klima słodkim, pełnym przywiązania głosem.

— Myślę, że dam — odparła Lila z uśmiechem, jak obcy gość na ustach jej się pojawiającym, gość smutny, który się na wesołość sili.

— Tylko się nie zamęczaj. Karol, twoje dzieci, wiejskie dzieci, ogród, tyle, tyle zajęcia! Tybyś temu nie podołała, ale mama, dzięki niebu, taka zdrowa teraz, to ci pomoże w niejednym.

— Podołam wszystkiemu, — mówiła Lila — ty wiesz, że dla mnie zajęcie jest koniecznym, inaczéj taką mam słabą głowę, że zaraz w niej chaos panuje.

Klima spojrziała na siostrę z najżywszém współczuciem.

— Ja robię sobie wyrzuty, — mówiła — że was teraz opuszczam; nie powinnam za mąż wychodzić, teraz potrzebną wam jestem.

Lila roześmiała się napozór wesoło, mówiąc:

— Leon innego jest zdania. Zresztą, ty musisz Olwiopol i Mielsztynówkę cywilizować, my tu już potrafimy popychać dzieło, przez ciebie rozpoczęte.

— Żartujesz, Lilo. Rozpoczynałyśmy razem. Jeszcze jedno. Czemu ty, kochanko, nie śpiewasz teraz wcale? Karol już doskonale słyszy; uważałam, że gdy ksiądz przyjeżdża i gra na fortepianie, Karola twarz inny wyraz przybiera. Tybyś mu pewnie przyjemność zrobiła śpiewem twoim.

— Czy myślisz? Dobrze, postaram się.

Lila, gdy sobie raz powiedziała, że dla niej oświadczenie nie ma już przyszłości, żyła tylko dla drugich, z taką niezmienną słodyczą i dobrą wolą, że wszędzie, gdzie weszła, niosła pomoc i pociechę.

Ale z dawniej Lili cień pozostał tylko, tak bardzo zeszczupiała, tak bardzo oczy jej, podbite siłą obwódka, smutnego nabrały wyrazu.

Co się działo w jej duszy wtedy w Paryżu? W dniu tym, gdy rano Bóg do jej serca wstąpił, gdy chwilę później księdza o cofnięcie rozwodu prosiła, trudno wiedzieć. Od tej pory jednak łzy jeszcze nie wylała, ani jedna skarga nie wydobyła się z ust jej.

Tylko nikła w oczach, a serca kochających ją osób z bólu się ścisnęły. Lgnęła coraz więcej do dzieci swoich i dzieci do niej. Lulu oderwać nie było można od boku matki i odrywać go nie myślano, przeciwnie, gdy Lila, siedząc obok męża, popadała czasem w taką zadumę, że zdawała się chwilowo przytomność tracić, przysyłano jej syna ukochanego i twarz matki zawsze na uśmiech wtedy zdobyć się umiała.

Takim chwilom bezmyślności, oszołomienia, nie poddawała się Lila. Gorączkowo, nerwowo zajmowała się pracą od rana do nocy. Tylko nigdy, nigdy samą pozostać nie chciała; nawet na noc z matką pokój dzieliła.

— Nie zostawiajcie mnie samej — zawołała kilka razy z dziwnym jakimś przerażeniem w oczach.

Stosowała się we wszystkiém do życzenia drugich.

To téż, gdy Klima śpiew jój przypomniała, prosząc o niego, wieczorem Lila siadła do fortepianu i głos jój sopranowy, niewielki, ale dziwnie dźwięczny, dzwonił w przestrzeni. Lila wzięła do ręki melancholijną pieśń Tostiego, dorobioną do cudnych słów Sully Prudhomme:

„Ici-bas tous les lilas meurent,
Tous les chants des oiseaux sons courts.
Je rêve aux étés qui demeurent
Toujours.”

Ale widocznie wysiłek był zbyt wielki, głos Lili się złamał i w łkanie się zamienił. Wybiegła z salonu i w swoim pokoju zanosila się od płaczu, a łzy płynące zabierały z sobą ciężar z serca — ciężar, pod którego naciskiem zdawało jój się nieraz, że to biedne serce pęknie.

Tym razem nikt za nią nie poszedł.

— Niech się wypłacze — mówiła księżna, z wielką ulgą na myśl, że łzy dla Lili lekarstwem być mogą.

Odbył się ślub Klimy w kościółku nad Rosią. Ksiądz Wiktor związał ręce młodej pary i błogosławił jój.

Lila bledziutka, w swój pięknej toalecie, pierwszy raz przy tak wielkiej okazji nie pomyślała o tém,

czy jęć ładnie w tęg sukni, czy jęć w kapeluszu do twarzy. Minęły te czasu—minęły bezpowrotnie, gdy się Lila radośnie do lustra uśmiechała, ciesząc się z samej siebie.

W tęg chwili stoi przy ołtarzu, patrząc na ukochaną siostrę i chce się modlić, ale myśli zebrać nie może.

Ta biała suknia powłóczysta, ten welon długi, spływający w lekkich fałdach z ramion Klimy, to wszystko hypnotyzuje wzrok Lili; patrzy na siostrę niezupełnie przytomnie i tylko łza za łzą stacza się z jęć oczu; bezwiedne łzy, ona sobie z nich sprawy nie zdaje.

Lulu z boku spogląda na matkę i dziwi się bardzo łzom jęć. Jemu się to wszystko tak podoba. Taki ładny kościół, pełen kwiatów z oranżeryi sieniawskiej, taka piękna ciocia Klima, cała biała, i babunia, i mama! A wszyscy mają bukieciki u boku, przypięte śliczną szpilką, i on ma, a to go w dumę wbija, zdaje mu się, że jest dorosłym człowiekiem.

— Czemu mama płacze? — myśli.

W końcu coraz głębszy żal łzy Lili w sercu jego budzą, przesuwają się pomiędzy gośćmi, ciągnie matkę za rękę i półgłosem pyta:

— Co ci się stało, mamuniu? Czemu płaczesz?

Teraz Lila opamiętała się, że to ślub Klimy, że

modlić się trzeba; uśmiechnęła się przez łzy do dziecka.

— Bo nam ciocię Klimę zabiorą — odpowiada szeptem i próbuje wznieść myśl do Boga.

Pojechała Klima i pusto zrobiło się w Sieniawce; pusto i dziwnie smutno. Gdyby nie szczebiot dzieci, to w grobowcu smutniej być nie mogło.

Wrócono do zwykłych zajęć. Ksiądz przyjeżdżał kilka razy tygodniowo, widząc, że domowi temu potrzeba wiele pociechy, że matce i córce sił zabraknąć może, tak głęboko księżna zmianę w Lili odczuwała.

Ksiązę de Poligny spoglądał z osłupieniem na to, co się dzieje.

— Powaryowały, — myślał — zamiast chorego oddać pod dobrą opiekę, w Paryżu go umieścić, to one życie sobie zatruwają. Tak dalej iść nie może. Lilę zabijają te egzaltacye. Już dosyć tego. Przywiozę jej tu gościa. Zobaczymy, czy się ostoi.

Z tą myślą ksiązę de Poligny opuszczał Sieniawkę.

Atmosfera pory roku i moralnego przybicia tłoczyć go zaczęła zbyt silnie. Kontent był z siebie w chwili wyjazdu, nietylko na myśl, że Lilę uratuje, ale i z innych jeszcze powodów, które mniej jasno rysowały się w jego umyśle, prawie bezwiednie w nim się gnieźdząc.

Zobaczyć Bertranda, a zdobyć kilkanaście tysięcy franków, to na jedno wychodzi.

Z jaką gorączkową zaś niecierpliwością czekał Bertrand powrotu księcia, łatwo zrozumieć.

Natychmiast po wypoczęciu w pałacu Poligny, ksiązę posłał po młodego człowieka, ale te wiadomości, których mu udzielił, nie były pociechą dla Bertranda, choć mu ksiązę powtarzał:

— Nie trać nadziei, ty sam musisz się z Lilą zobaczyć, to jedyny sposób, ty jeden możesz ją do rozsądku powrócić.

Bertrand, pomimo szalonej pokusy, by natychmiast z rady księcia skorzystać, miał pewne skrupuły.

— Czy to nie będzie natręctwem z méj strony? Dałem słowo, że się pierwszy nie odezwę. Może umęcę ją tylko gorzej jeszcze.

— Nonsens! Nie pozwolisz przecie, aby jak męczennica średniowieczna padła ofiarą wyrafinowanej egzaltacyi mojej żony i księdza. Nasz obowiązek ratować ją. Nie pozwolisz jej przecie zmarnieć za młodu.

Jednego dnia, w chwili, gdy Lila dawała lekcję Pisma świętego synkowi, odezwały się nagle dzwonki sanek, a w nich podróżny, otulony w futro, zatrzymał się przed gankiem.

Lulu z ciekawością wielką, porzucając książki, pobiegł do okna, aby się dowiedzieć, kto przyjechał?

Raptem Lulu ze zdziwieniem i radością wielką zawołał:

— Mamo, mamo! to pan Bertrand!

Lili w oczach pociemniało; szum jakiś odezwał się w jej uszach. Trzymała się mocno stołu, przy którym siedziała, by nie stracić równowagi i nie upaść. Ona taka była osłabiona.

Ale Lulu, nie zwracając uwagi na matkę, nie pytając nawet o upoważnienie, wybiegł z pokoju, by gościa powitać. Bertrand tak go psuł zwykle, że dziecko nie mogło zapomnieć młodego człowieka.

Lila została samą przez chwilę; mogła teraz zapanować nad sobą.

— Może tak się chłopcu zdawało? — myślała.

Ale serce jej biło szalonem tempem, a czasami zamierało w niej z obawy.

Bertrand to był rzeczywiście.

Na jego spotkanie wyszła księżna, tocząc walkę z sobą, czy mu pozwolić, czy nie z Lilą się zobaczyć.

— Jeżeli ona nie oprze się pokusie?—myślała — to popelni czyn nikczemny i wstydem się okryje, i przyszłość jej będzie jednym wyrzutem sumienia. Jeżeli się oprze i wyjdzie zwycięzko, taka straszna próba zabić ją może.

Długo już trwała rozmowa księżnej z młodym człowiekiem, gdy do salonu wszedł ksiądz Wiktor, pożądaný gość dla księżnej.

Sanki jego, cicho sunąc się po śniegu, nieopstrzeżenie zatrzymały się przed dworem.

Bertrandowi sił zabrakło.

— Jeden przeciwnik więcej — myślał.

I poczęły się nanowo argumenta.

— Zabijecie ją — mówił z goryczą młody człowiek.

— Bóg jej sił doda. Jego wola stać się musi — odpowiadała matka.

Zmęczona, przygnębiona rozmową z Bertrendem, wyszła księżna uprzedzić Lilę o jego przybyciu.

Lila klęczała przy łóżku chorego, modląc się. On patrzył na nią z widocznym niepokojem.

Głosu nie odzyskał, ale w oczach jego tlała myśl i zwykle wodził wzrokiem za Lilą, tylko nikt się nie miał dowiedzieć, co się tam działo w tej schorzałej głowie; ręce bezwładne pisać mu nie pozwalały. Że słyszał i myślał, to było jednak widoczne.

— Lileczko, — zawołała księżna — czy możesz przyjść na chwilę?

Lila wiedziała już, co jej matka chce powiedzieć.

Usunęły się obie do sąsiedniego pokoju, obawiając się mówić o sprawach osobistych w obecności chorego.

— Ja już wiem, mamó! — zaczęła Lila, widząc, że matka nie umie słów dobrać, by ją o przyjeździe Bertranda uwiadomić.

— Wiész, że przyjechał?

— Bertrand? Wiem. Wiedziałam... Lulu mi powiedział.

— Chce się z tobą widzieć.

— Naturalnie.

— Mnie się zdaje, że lepiej byłoby dać temu pokój. Na co sobie serce zakrwawiać? Ty już tak masz sił mało.

— Muszę się z nim widzieć, mamó. To mu się należy. Mnieby to dużo więcej kosztowało, gdyby on wyjechał ztąd bez zobaczenia się ze mną.

— Jak chcesz, kochanko. Ja ci ufam, ja o tobie nie wątpię — dodała księżna, wmawiając w Lilę to, czego sama pewną nie była i brak pewności w tym względzie napelniał ją wielką obawą.

— Zobaczę się z nim. Ale nie zaraz. Wprzód on wypocząć musi, on taki zmęczony pewnie. Niech wprzód wypocznie, a potem obiad zjemy. Wieczorem z nim pomówię. Teraz nie mogę. On tu przecież nocować musi, co? Nie zabronisz mu tego, mamó?— pytała Lila stanowczo tym razem, widocznie do buntu gotowa.

Gdyby Bertranda wypędzano, nie pozwalając mu spocząć nawet, onaby się oparła.

Ale księżna czuła to instynktem matki i rzekła:

— Naturalnie, musi odpocząć. Ja mu powiem, że później się z nim zobaczysz.

Co ksiądz Wiktor powiedział Bertrandowi, jakich argumentów użył, by złagodzić rozpacz jego, jakim sposobem ukoił nerwy jego zbolale, to tajemnicą pozostanie. Po tej dłuższej rozmowie między nimi, gdy księżna weszła, aby mu decyzję Lili powtórzyć, Ber-

trand inny miał wyraz twarzy, poważny, wynioślejszy.

Gdy został sam z myślami swemi, powtarzał sobie w duchu tę samą przysięgę, jaką na wyjeźdném z Sieniawki złożył wobec samego siebie:

— Ja jej walki nie utrudnię.

Teraz siedzą wokoło stołu—obiad podany. Ksiądz i księżna podtrzymują rozmowę, a Bertrand nie śmie patrzeć na Lilę.

Jak ma patrzeć, kiedy jej wielkie, smutne oczy serce mu rozrywają, kiedy widok jej wyszczuplonej, drobnej figury takim go bólem napęlnia, że ma ochotę jęczeć i szlochać z rozpacz, kiedy jej twarzyczka wybladła, trwogą o życie tej jedynej, tej ukochanej go napęlnia.

I smutno, strasznie smutno kończy się obiad, żadna uczta pogrzebowa smutniejszą być nie może.

Tylko Bertrand, zapominając o swoim postanowieniu, mówi sobie:

— Wyrwę ją z tej nędzy ostatecznej. Ona tu umrze, ona tu zostać nie może.

W salonie piją czarną kawę. Lila, chwilowo podniecona, zdobywa się na uśmiech i rozmowę. Gorączkowe jej ruchy przykrzejsze jeszcze robią wrażenie, niż jej poprzednie przybicie.

Chwila rozmowy się zbliża. Lila chce się w odwagę uzbroić, ale czy jej sił brakuje, czy też myśl

w niej zamarła, dość, że nie może zebrać uwagi i skupić ję na jednym przedmiocie.

Widocznie księżna uznała, że nie powinno się na później odkładać ostatecznego porozumienia. Skłoniła bowiem na księdza i oboje opuścili salon, zostawiając sam na sam dwoje młodych.

Lila, zatopiona w jakiejś myśli głębokiej, ani spostrzegła wyjścia matki z księdzem, ani oczu na Bertranda nie zwróciła; zapatrzona gdzieś w dal, dziwny i niespokojny miała wyraz w tej chwili. Siedziała nieruchoma, z rękoma splecionemi, opartemi o stolik, jak gdyby zahypnotyzowana, nieprzytomna.

Bertrand patrzył na nią, najpierw z zachwytem i z wielkiem współczuciem, następnie, gdy długo trwało już milczenie, a ona zdawała się gdzieś, na innym świecie przebywać, przestraszył się bardzo. Ten wzrok ję nieprzytomny, ta nieruchomość posągu, z marmuru wykutego, dreszczem obawy go napęłniły.

— Pani, Lilo! — zawołał nagle, rękę ję ściskając dość silnie w swęj dłoni — co tobie jest? Ty chora jesteś? Powiedz, co się tobie stało?

Lila, jak gdyby się ocknęła. Przytomniej spojrziała na Bertranda, trochę zdziwiona.

— Mnie nic nie jest, — odparła — pewnie się znowu zamyśliłam, sama nie wiem o czém. Taka roztargniona bywam od pewnego czasu. To już minęło.

Bertrand puścił jej rękę i doznał rozpaczliwego uczucia niemocy. Miał ochotę krzyczeć w niebogłosy:

— Oddajcie mi ją, ona zginie!

Ale nie śmiał; nie śmiał nawet do niej o litość nad sobą samą i nad nim wołać.

— Ja muszę z panem pomówić—odezwała się Lila—o rzeczach ważnych. Pan już wiesz o Karolu, to bardzo smutne, co?—pytała.

— Bardzo—odparł głucho Bertrand.

— Pan pewnie przyjechałeś przypomnieć mi obietnicę? Ja bardzo względem pana zawiniłam. Chciałam pisać, donieść panu o wszystkim; mama chciała uprzedzić pana listownie o tém, co zaszło; ale ja jej nie pozwoliłam. Uparta jestem czasem—dodała Lila ze smutnym uśmiechem — chciałam, aby pan odemnie wiedział, że... że się wszystko zmieniło. Potem sił mi brakło, nie miałam odwagi. Ja tak mało, tak bardzo mało mam odwagi, bo tak się wszystko zmieniło — kończyła coraz cichszym głosem, nie śmiejąc oczu zwrócić na Bertranda.

— Zmieniło się chwilowo tylko, Lileczko, to długo niepotrwa. Ty nadziei nie wyrwiesz z mojego serca; taka młoda jesteś, oboje młodzi jesteśmy, długie jeszcze życie przed nami — mówił z zapalem Bertrand, chcąc jej dodać otuchy, chcąc wywołać, choćby raz jeden, jakiś cień ożywienia na tę bladą, wynędzniałą twarzyczkę, ale sam bał się słów swoich, spoglądając na nią.

„Długie życie” — chciał temu wierzyć, wmawiał to w siebie, a jednak na dnie duszy jego trwoga zasiała.

Lila zwróciła w tej chwili oczy na niego, oczy dziwnie zmienione, tak niepodobne do dawnych jej promienistych, pełnych wesołego uśmiechu oczu szafirowych.

— Czy znasz pan tę pieśń francuską: *Ici-bas tous les lilas meurent?* Widzi pan, już mnie szrony i upały życia zwarzyły — mówiła swobodnie napozór. — Nie umiem nieść krzyża, nie umiem, choć mnie ksiądz uczy; on-by potrafił, ale ja takiego tchórzliwego ducha jestem. Wszystkiego się boję, nawet śmierci. Doprawdy, ja się bardzo śmierci boję.

Bertrand patrzył na nią i mówić nie mógł; czuł, że gdyby się odczuwał, głos jego zmieniłby się w łkanie, w krzyk bólu. Zdawało mu się w tej chwili, że gdyby kto z serca jego pełnemi garściami gorącą krew wyciskał, nie doznałby w części bólu podobnego temu, który go teraz dławił i za gardło chwycił, głos mu odbierając.

— Wszystko się zmieniło—powtórzyła raz jeszcze Lila. — To pewnie kara Boża. Nie miałam prawa rozwodzić się. Byłam zła i szalona i jestem jeszcze, bo nie umiem wzbudzić w sobie żalu za to szaleństwo moje. Bardzo zła jestem; nie wiem czy mi Bóg przebaczy, dlatego śmierci się boję.

Ale teraz Bertrand zapanował nad głosem i po-

czał błagać, przekładać, zaklinać Lile, by się opamiętała, by się otrząsnęła ze strasznych myśli, jakie nią owładnęły, by się wyrwała z łańcucha, w jaki się dobrowolnie zakłała.

— Nie wtedy byłaś szaloną, ale teraz. Lilo, Lilo! zlituj się, zmiłuj się nad sobą samą. W jakim celu się poświęcasz? Dla kogo? Ty temu człowiekowi potrzebną nie jesteś; każda siostra miłosierdzia równą ulgę przynieść mu może. O Lilo! ty nie masz prawa nieść życia w ofierze. Życie twoje należy do dzieci twoich, do mnie. My cię uratujemy. O, zlituj się Lilo! — błagał Bertrand, ręce do niej wyciągając.

Cała jego przyszłość ważyła się w tej chwili, byłby chciał czolgać się u nóg jej i błagać, by mu nie wrywała serca z piersi, by miała miłosierdzie nad nim. Zdawało mu się, że skonać tysiąc razy łatwiej, niż oderwać się od tej kobiety, niż opuścić ją w tej wielkiej niedoli.

— O nie mów tak, nie mów! Ja nie mogę znieść tej myśli, że ci życie łamię; ta myśl mnie zabija, a jednak oswoić się z tem trzeba; ty wiesz, że ja do ciebie należeć nie mogę, nie będę.

— Lileczko, nic nie postanawiaj dziś jeszcze; zostaw mi nadzieję; za rok, za dwa... Dziś ty sama nie wiesz. Za dziesięć choćby! Ty nie obliczyłaś się z siłami swojemi. Ja nie mówiłbym ci tego; postanowiłem nic nie mówić, by ci walki nie utrudniać, ale taka zmieniona jesteś, chora widocznie. To, co

postanowiłaś, jest nad siły twoje; myśl o twoich dzieciach; powiedz, że za rok, że kiedyś, później, zmienisz zdanie — przekładał Bertrand głosem drżącym, w którym całe jego wszechwładne uczucie się mieściło, głosem do modlitwy podobnym.

— Nie, mój drogi, tego powiedzieć nie mogę. Nie mogę procesu rozwodowego rozpoczynać na nowo; onby się już bronić nie mógł. Ty przecież podłości żądać nie będziesz odemnie, a to byłoby podłością.

— Ale on może przyjść jeszcze do zdrowia — to się czasem zdarza. Nie odbieraj mi wszelkiej nadziei. O, Lilo! miej litość nademną! — wołał teraz Bertrand rozpaczliwie, zapominając o wszystkich postanowieniach; cała natura jego wzdragala się przed tą ofiarą, której od niego żądano.—Czy to być może, aby się tak wszystko skończyło? Czy to być może? Ty nie wiesz, co mówisz! Ty tego sama nie zniesiesz.

Lila zdawała się nie słyszeć więcej. Przestraszonym, błędnym wzrokiem w dal patrzyła; od czasu do czasu konwulsyjne drganie wstrząsało jej ciałem.

Bertrand chwycił ją za rękę, nieprzytomny prawie z bólu i trwogi, przyciągnął ją do siebie, ale ona gwałtownym ruchem wyrwała się z jego objęć.

— Nie mów do mnie! Nie mów do mnie! Idź już, idź! — wołała. — Ty wiesz, że tak być musi...

ty wiesz, że ja nic więcej zrobić nie mogę. Idź już! Tak być musi, musi!—powtarzała.

Bertrand oprzytomniał. Widok téj strwożonej, znękanéj walką, kobiety, przypomniał mu, że on sam ją katuje, że wycieńcza ją ostatecznie tą walką nad jéj siły.

Złamanym, bolesnym głosem, upokorzony własną słabością, zbuntowany na siebie samego, odezwał się w téj chwili:

— Przepraszam cię. Bardzo zawiniłem... Masz słuszość, pani moja, tak być musi...

Księżna, zaniepokojona zanadto przeciągającą się rozmową, weszła teraz do salonu. Bertrand zwrócił się do niéj, mówiąc:

— Pozwolisz, księżno, pożegnać się. Chciałbym być u pani Klimy, zanim te strony opuszczę, a jutro wyjeżdżam do Paryża.

Księżnej spadł z serca kamień, ale, by zadosyć uczynić jego żądaniu, odparła:

— Czy nie lepiej byłoby przenocować w Sieniawce?

— Nie mogę — rzekł Bertrand zdławionym, zmienionym do niepoznania głosem.

Księżna nie nalegała. Ksiądz wszedł także do salonu. Po kilku chwilach wniesiono herbatę; w kwadrans później sanki, zaprężone końmi sieniawskimi, zadzwoniły przed gankiem, oznajmiając gotowość do jazdy.

Lila nie zważała na obecność księdza Wiktora i matki: chwilowo nieco uspokojona, rzekła, podając obie ręce Bertrandowi:

— Nigdy się już pewnie nie zobaczymy. Trzeba się pożegnać. *Adieu!* — dodała, kładąc nacisk na ostatnim wyrazie.

Bertrand schwycił rączki jej w swe dłonie i pytał półgłosem, pochylony nad nią:

— Raz jeszcze, raz ostatni. Czy nie ma już żadnej nadziei w tym życiu? Życie jeszcze takie długie, takie bardzo długie może.

— Czy tak długie? — pytała Lila — to tylko złudzenie. Ani spostrzeżemy, gdy koniec nadejdzie. *Adieu!*

— *Adieu!* — odparł Bertrand, siadając do sa- nek w noc ciemną, mroźną. Z śmiercią w duszy przesłał ostatnie spojrzenie i ostatnie słowo pożegnania temu kwiatkowi wiosennemu, tej Lili, która była wszystkiem dla niego.

Teraz dopiero gdy on znikł z jej oczu, Lila pobie- gła do swego pokoju, padła krzyżem przed Krucy- fiksem i ostatnie krwawe, sączące się lzy gorzkie, Bogu ofiarowała, konając z bólu.

Nikt za nią podążyć nie śmiał — ani matka, ani ksiądz Wiktor nie czuli się na siłach dodać jej teraz otuchy, pocieszyć tę duszę zbolalą. Tylko ksiądz przypomniał sobie, jak wielki wpływ muzyka na Lilę wywiera, on tylko zapamiętał słowa jej:

— W trwodze, w nieszczęściu, w rozpoczy, nie powinno się mówić do ludzi, tylko grać im, grać na organach.

Te słowa Lili upamiętniły się teraz księdzu. Siadł do harmonium obok jój pokoju. Płacz i jęki wydobywały się z pod ręki jego; trwoga i wołanie o pomoc, potem pianissimo tylko, skarga, pełna rezygnacyi, pełna słodyczy unosiła się w powietrzu i rozplynęła w ostatnim cichym akordzie.

Lili zdawało się w tój chwili, że skoro za pokutę spełniła do dna kielich goryczy, to wszystko przebaczoném jój zostało, że się już teraz śmierci nie boi, że czeka jój z gotowością, gdyby nadejść miała. I rezygnacya, słodycz, uciszenie wstąpiły do serca jój z ostatnim akordem „Fugi” Bacha.



30246

4/10/20

Biblioteka UJK Kielce

UJK



0472747